BRAK MILIONA PRACOWNIKÓW

POLSKA SKAZUJE DZIECI NA ŚLUB

CO CZEKA CHRZEŚCIJAN

BRONIMY PANA KLEKSA

Kraków 10 – 16 stycznia 2024 nr 2 (3888) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

W co gra Andrzej Duda

- TO NIE BĘDĄ TYLKO WETA
- PLAN NA WOJNĘ Z RZĄDEM
- KTO ZA NIM STOI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo macie pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważny jest dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Gdyby księży było mniej*

Kim jest profesor John Milbank, z którym rozmawiamy na łamach tego wydania o chrześcijaństwie przyszłości? Jak czytamy: „W świecie przyzwyczajonym do podziału na konserwatystów i liberałów postać ta może być interesującą odmianą. Zwłaszcza że dyskurs w Kościele rzymskim zaczyna się przesuwać w taką stronę, gdzie te linie też już przestają być jasne”.

Milbank jest dobrym obserwatorem, teologiem i znawcą historii. Widać to np., gdy mówi o kobietach, które w średniowieczu „były bardzo zaangażowane w sferę pracy i posiadania, rzemiosło i handel, co uległo zmianie dopiero w nowożytności”. Jest też dobrym teologiem, bo wie np., że dla uzasadnienia kapłaństwa kobiet nie wystarczy głębokie przekonanie, ale że musi być ono uzasadnione teologicznie – twierdzi, że takie uzasadnienie można odnaleźć w mariologii i przypomina figurę Maryi głęboko związanej ze świątynią.

Nie czuję się ani mądrzejszy, ani lepiej przygotowany od prof. Milbanka. Jego hipotezy mogą – kto wie? – zrealizować się prędzej czy później. Przed laty ukończyłem seminarium, studiów teologicznych ani biblijnych nie mam za sobą. Wiedzę nabytą w seminarium uzupełniałem lekturami z całą pewnością gorszymi niż książki, które czytał i pisał prof. Milbank. Nie będę się więc mądrzył. Powiem nawet szczerze, że wiedzę staram się przyjmować nawet wtedy, gdy sprzeciwia się ona dotychczasowej znajomości rzeczy.

Profesor Milbank porusza się w sferze hipotez. Ja wierzę, że kapłaństwo dane było przez Chrystusa mężczyznom nie przez pomyłkę. Inna sprawa, czy w zamyśle Chrystusa kapłaństwo miało wyglądać tak, jak wygląda. Nie zawsze i nie wszędzie, ale nader często jest to sposób na życie bezpieczne i wygodne. Nie sądzę, by taki był zamysł Założyciela Kościoła. Czy od Niego pochodzą rozmaite prałatury, inne kościelne godności i dochody?

Nie wydaje mi się jednak, by wizerunek kleru miały zmienić święcenia kobiet. Zmieni go raczej jego położenie. Można sądzić, że funkcje duchownych w zamyśle Założyciela Kościoła miały być jednak nieco inne, niż są obecnie. Ci zaś księża, którzy jakąś dziwną intuicją wiary są blisko tamtego pierwotnego, założycielskiego zamysłu, wyróżniają się i... nie mają łatwego życia. Choć bywa, że po śmierci są wynoszeni na ołtarze.

Nie chcę pisać przeciwko nikomu. Księża, którzy lepiej lub gorzej pełnią powierzone im funkcje, są ludźmi. Kiedy stukali do drzwi seminarium, byli ludźmi bardzo młodymi. Potem, jeśli konstatowali, że ten sposób życia nie jest dla nich, nie było im już łatwo wyjść, wycofać się. Bo byli już księżmi. Nie ośmielam się tu dodać pytania, czy na pewno wszyscy byli do tego zajęcia przez Niego wezwani.

Nie ośmieliłbym się też twierdzić, że księży jest zbyt wielu. Jednak czasem myślę, że gdyby było nas mniej, za to sami tacy, którzy rzeczywiście zostali wezwani... Takie cuda oczywiście nie są możliwe, choćby dlatego, że człowiek się zmienia i ludzkie historie są różne. Ale teraz, gdy chętnych do seminariów jest znacznie mniej niż kilkanaście lat temu, być może ów błogosławiony moment nadchodzi. Każdy ksiądz, który przyjął święcenia, będzie świadkiem Pana Jezusa. I to nie przez to, co mówi, ale przez to, jakim jest człowiekiem.

Czasy nasze są niezwykłe dla Kościoła. Wie o tym papież Franciszek i stara się sprostać ich wyzwaniom. Idealnego sprostania trudno się spodziewać. Trudno nie przyznać racji krytycznym uwagom Johna Milbanka na jego temat, a jednocześnie trudno nie wskazać na to, co Franciszek robi. Ten papież wręcz dramatycznie stara się odnaleźć myśl Chrystusa na nowo. ©℗

PS. Wszystkim moim korespondentom serdecznie dziękuję za listy. Dziękuję za życzenia świąteczne i z okazji imienin. Wybaczcie, że nie odpisuję każdemu, ale to ponad moje możliwości. Wszystkim składam serdeczne życzenia noworoczne wsparte modlitwą.

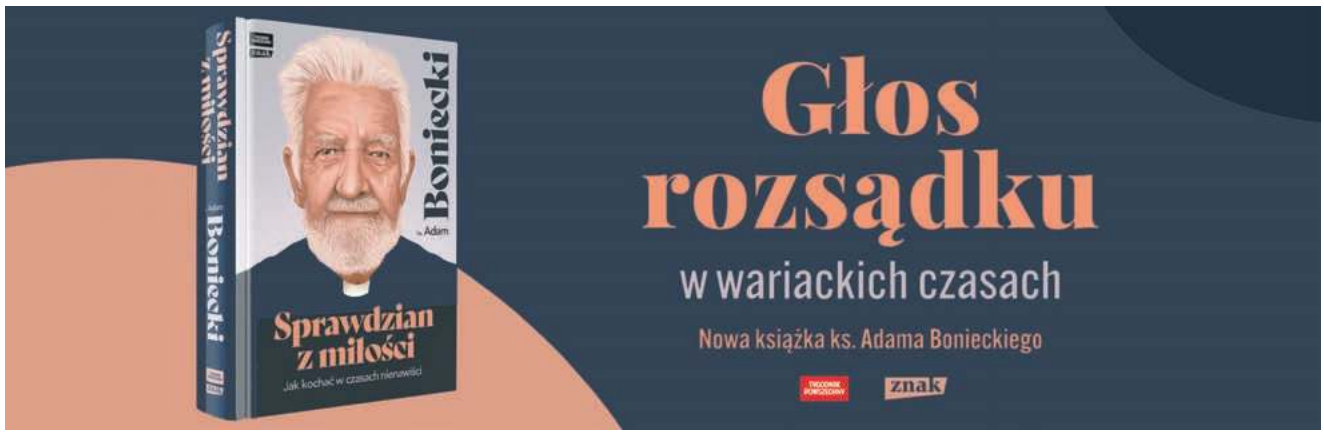

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Był sobie pracownik
MAREK RABIJ
Zapowiada się wyjątkowo udany rok dla tych, którzy szukają pracy. I zarazem niezwykle trudny – dla tych, którzy chcieliby kogoś zatrudnić.

26 Z ważnych powodów
ANNA GOLUS
Szesnastolatka w Polsce nie może bez zgody rodziców iść do ginekologa, ale może złożyć do sądu wniosek o zezwolenie na zawarcie małżeństwa, wyjść za mąż i uzyskać pełnoletność.

34 Tradycja ma przyszłość
ROZMOWA Z JOHNEM MILBANKIEM, JEDNYM Z CZOŁOWYCH WSPÓŁCZESNYCH TEOLOGÓW
o ryzyku schizmy i napędzaniu polaryzacji, o autorytetach i autorytarności, o pozornych podziałach i pozorach niezmienności, o uzasadnieniu kapłaństwa kobiet i sensie parafii.

53 Kongijski Sezam
WOJCIECH JAGIELSKI, ALEXIO RASHIRAI Z HARARE
Urzędujący prezydent Demokratycznej Republiki Konga Félix Tshisekedi został ogłoszony zwycięzcą grudniowej elekcji, choć nie wiadomo, czy ją wygrał.

60 Kosmos się opłaca
ROZMOWA ZE SŁAWOSZEM UZNAŃSKIM, ASTRONAUTĄ
Urodziłem się 12 kwietnia, w rocznicę lotu Gagarina. Mama zawsze składała mi na urodziny życzenia szczęśliwego Dnia Kosmonautów. Chyba tak się to zaczęło.

64 Siła sprawcza
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ PRZEPIÓRSKĄ, AKTORKĄ:
Tli się we mnie tęsknota za delikatnością i łagodnością, by móc wreszcie z tej perspektywy opowiadać świat.

ARKADIUSZ ZIÓŁEK / EAST NEWS // TATSIANA VOLKAVA / ALAMY / BE&W // MOSES SAWASAWA / AP / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // MIKOŁAJ ZACHAROW / REPORTER // JACEK TARAN

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Fantomowe państwo
WŁODZIMIERZ WRÓBEL

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Był sobie pracownik
MAREK RABIJ

23 Nie stać nas na tanie państwo
PIOTR WÓJCIK
W radości po końcu rządów PiS łatwo wyprzeć pytanie: a co, jeśli liberałowie nie pozbyli się wyobrażeń o państwie z kartonu?

26 Z ważnych powodów
ANNA GOLUS

■ ■ Z ODDECHEM

30 Człowiek, który oswoił wyspę
OLGA DRENDA *o krajoznawcy, który pozwolił powojennym mieszkańcom Wolina poczuć się u siebie*

■ ■ WIARA

34 Tradycja ma przyszłość
ROZMOWA Z JOHNEM MILBANKIEM

39 Parafia na zielono
KRZYSZTOF STORY
Czy polski Kościół jest na bakier z ekologią?

41 Postkatolicki kraj papieża
DOMA MATEJKO
Wierni w Argentynie przechodzą do Kościołów ewangelikalnych lub odchodzą od katolicyzmu po cichu i nieformalnie

■ ■ ŚWIAT

44 Ameryka pod ścianą
MARTA ZDZIEBORSKA
Trump sięga po coraz bardziej skrajną retorykę

TEMAT TYGODNIKA

MICHAŁ ŻEBROWSKI / EAST NEWS

Prezydent chciałby pogodzić dwie sprzeczne role – strażnika konstytucji i lidera opozycji, który zawalczy o spadek po Jarosławie Kaczyńskim. By to uczynić, musiałby stać się nowym Andrzejem Dudą.

12 Buława w błocie
MAREK KĘSKRAWIEC, PIOTR ŚMIŁOWICZ

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK
63 ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
ANDRZEJ DUDA i DONALD TUSK (tyłem), 20 grudnia 2023 r.
FOT. JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Redaktor prowadzący:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

48 Trochę już tu świrujemy
ANTONINA PALARCZYK
Jak Charków radzi sobie z nieustającym zagrożeniem z powietrza?

50 Rosyjska kobieta na czas wojny
FILIP RUDNIK *o antyaborcyjnej kampanii w Rosji i jej możliwych skutkach*

53 Kongijski Sezam
WOJCIECH JAGIELSKI I ALEXIO RASHIRAI Z HARARE

■ ■ HISTORIA

56 Redaktor „Grydz"
PIOTR HAPANOWICZ *o „Wiadomościach Literackich", najważniejszym piśmie dla inteligencji II RP*

■ ■ NAUKA

60 Kosmos się opłaca
ROZMOWA ZE SŁAWOSZEM UZNAŃSKIM, ASTRONAUTĄ

■ ■ KULTURA

64 Siła sprawcza
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ PRZEPIÓRSKĄ, AKTORKĄ

68 Zupełnie nowa bajka
MONIKA OCHĘDOWSKA
Złe recenzje „Akademii pana Kleksa"? Niesłusznie!

71 Czekajcie, słuchajcie
DOROTA KOZIŃSKA *o Agnieszce Budzińskiej-Bennett, wykonawczyni muzyki średniowiecza*

74 Inne wibracje
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Totem" Lili Avilés*

75 Czworokąt przyjaźni
LEKTOR *o korespondencji Porębskich i Różewiczów*

■ ■ ZMYSŁY

78 Co się czai pod łóżkiem
PIOTR SZYMANEK
Dlaczego noc jest domeną potworów i skąd to nieprzyjemne uczucie po zmroku? Rzućmy na to trochę światła

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Putin nasila terror przed wyborami
Wszystko, co aktualnie dzieje się w Rosji, podporządkowane jest jednemu celowi: „wyborom Putina" – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA**
| TygodnikPowszechny.pl/RosyjskaRuletka

Zmiany w Lasach Państwowych
Donald Tusk wskazał nowego dyrektora Lasów Państwowych. Witold Koss, doświadczony leśnik, ma przed sobą bardzo trudne zadanie – ocenia **KRZYSZTOF STORY** | powszech.net/koss

TYGODNIK POWSZECHNY

Nowości na VOD poleca co tydzień **Anita Piotrowska**
TygodnikPowszechny.pl/weekend

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

FANTOMOWE PAŃSTWO

W normalnym kraju organem, który rozstrzygnąłby nasze spory, byłby Trybunał Konstytucyjny. Zdewastowano go jednak do takiego stopnia, że musimy oprzeć się na innych sądach.

WŁODZIMIERZ WRÓBEL

POWYŻEJ:
Gmach Sądu Najwyższego. Warszawa, luty 2023 r.

Zewsząd słychać głośne biadania nad chaosem prawnym i podwójnym państwem, w którym działają nieuznające siebie nawzajem instytucje. Tymczasem budowanie alternatywnego państwa nie zaczęło się przy okazji sprawy z wyrokiem na dwóch byłych posłów, ale w 2015 r., kiedy po wyborach parlamentarnych okazało się, że zdobyte przez nową władzę poparcie i większość w Sejmie nie są jednak wystarczające do zmiany Konstytucji. Pojawili się więc sędziowie dublerzy w Trybunale Konstytucyjnym oraz wyznaczeni przez prezydenta komisarze zastępujący prezesów i wiceprezesów najwyższych instancji sądowych. Powstały też organy, które tylko z nazwy spełniały swoją funkcję (Krajowa Rada Sądownictwa) albo równoległe instytucje zastępujące te umocowane w Konstytucji, jak Rada Mediów Narodowych, przejmująca uprawnienia KRRiT. Utworzono zarazem sądy specjalne (Izba Dyscyplinarna, Izba Kontroli Nadzwyczajnej, Izba Odpowiedzialności Zawodowej), które miały ubezwłasnowolnić Sąd Najwyższy. Dodajmy do tego media „publiczne", wybory prezydenckie, które miała przeprowadzić Poczta Polska, a na dokładkę pozorny budżet, z którego ogromne środki przeniesiono do różnych agencji i funduszy o coraz bardziej egzotycznych nazwach.

Zdemolowane przez nową władzę instytucje zaczęły produkować neosędziów i „nie-do-końca" sędziów (asesorów), wprowadzać niby-stany wyjątkowe (stan epidemii), a w ostatniej fazie nawet Prokurator

Generalny został pozbawiony swoich funkcji, które przekazano Prokuratorowi Krajowemu.

Odrzucenie przez społeczeństwo 15 października projektu autorytarnego, zdublowanego państwa nie mogło spowodować natychmiastowej likwidacji jego artefaktów. Wręcz przeciwnie, przegrani uznali, że można tę alternatywną opowieść snuć dalej, wykorzystując poparcie prezydenta i naturalne ograniczenia, jakie w demokracji nakładane są na większość parlamentarną. Jednak alternatywne, fantomowe państwo – z jego nielegalnymi sądami specjalnymi i wadliwie powołanymi prezesami TK czy SN – samo z siebie nie ma faktycznej mocy sprawczej. Jego znaczenie uzależnione jest od zakresu uznania innych organów, a ostatecznie – od społecznej akceptacji.

W sposób widowiskowy owo fantomowe „państwo" zderzyło się z rzeczywistością przy okazji prawomocnego skazania dwóch byłych posłów. Najpierw prezydent, wykorzystując słabą edukację prawną społeczeństwa, przez lata wmawiał nam, że dysponuje magicznymi kompetencjami, które określał tajemniczym słowem „prerogatywy", pozwalającymi mu arbitralnie decydować o tym, jaki jest zakres jego uprawnień, np. dotyczących ułaskawiania skazanych czy mianowania sędziów.

Co z tego, że takiej wizji prezydentury nie zapisano w Konstytucji, a każda instytucja państwa może działać wyłącznie w granicach prawa; co z tego, że Konstytucja przewiduje sądową kontrolę działań każdego organu państwa w indywidualnych sprawach. Prezydent postawił się ponad tym wszystkim – jak monarcha korzystający z prerogatyw od samej Opatrzności. Po czym zderzył się z rzeczywistością w postaci serii orzeczeń różnych sądów, w tym Sądu Najwyższego, wskazujących, że prezydent może dużo, ale nie wszystko – nie może ułaskawiać osób, które nie zostały jeszcze prawomocnie skazane.

Pomiędzy konstytucyjnymi organami mogą zdarzać się spory, co kto może i kto jest ważniejszy. Ustanowiono nawet drogę do ich rozstrzygania – przed Trybunałem Konstytucyjnym. Tylko że autorytarne państwo zdążyło przez osiem lat zdewastować ten organ, wprowadzając do niego sędziów dublerów oraz bezprawnie powołanego prezesa. Prezydent sam się pozbawił arbitra, którego wyroki uznawaliby wszyscy uczestnicy konfliktu.

Kiedy Sąd Okręgowy w Warszawie skazał byłych ministrów na kary po dwa lata więzienia, stwierdzili oni kategorycznie, że są niewinni, a wyrok i wygaszenie mandatów – bezprawne. Nie byli w tym szczególnie oryginalni, takie bowiem jest częste przekonanie osób ukaranych za przestępstwa. Fantomowe państwo przyszło im w sukurs, gdy niekonstytucyjna Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych ogłosiła ustami byłego ministerialnego kolegi obu skazanych, że posłami jednak są. Uznał on prezydencką decyzję o ułaskawieniu z 2015 r., której przedmiotem były kary orzeczone wówczas przez sąd rejonowy, ale w cudowny sposób mają teraz obejmować także wydany 8 lat później wyrok sądu okręgowego, w którym wobec skazanych orzeczono inne kary. W fantomowym państwie wszystko jest możliwe.

Czy inne organy państwa, w tym przede wszystkim Marszałek Sejmu i sąd zajmujący się wykonaniem kary wobec byłych posłów, uwierzą w ten fantom, czy też pozostaną w świecie konstytucyjnej rzeczywistości? Tak czy inaczej, obywatel słysząc dzisiejsze dyskusje polityków i dziennikarzy, ma prawo czuć się zagubiony. Każdy wyciąga swoich prawników i swoje ekspertyzy, które mają udowadniać, że właśnie jego adwersarz stoi „po drugiej stronie lustra". W normalnym państwie organem, który pozwoliłby na rozstrzygnięcie tych sporów, byłby Trybunał. Ale dzisiaj on sam jest fantomem. Wobec tego pozostaje odwołać się do oceny innych sądów, w tym trybunałów międzynarodowych związanych ze wspólnotą, do której Polska należy, i według tej oceny dokonywać klasyfikacji, która z instytucji opiera się na Konstytucji.

Najprostszym sposobem na usunięcie pozostałości autorytaryzmu byłoby uchwalenie stosownych ustaw przy współudziale prezydenta. Przy braku takiego współdziałania pozostaje odmowa uznawania działań niekonstytucyjnych instytucji. Potrzeba do tego „tylko" konsekwencji. I cierpliwości. ©

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL *jest sędzią Izby Karnej Sądu Najwyższego.*

Czysty terror

WOJCIECH PIĘCIAK

Krzywy Róg, Charków, Dniepr, Chmielnicki, Zaporoże: rankiem 8 stycznia z tych ukraińskich miast docierały informacje o eksplozjach. Wróg atakował rakietami balistycznymi i manewrującymi. Wcześniej, nocą, rakiety spadły znów na Charków, a drony na Odessę.

Naloty z 8 stycznia to kolejna fala uderzeń z powietrza w ostatnich dniach. Zaczęło się 29 grudnia, gdy Rosjanie odpalili ok. 150 rakiet i kilkadziesiąt dronów szahed dalekiego zasięgu (produkcji irańskiej), które spadły od Zaporoża po Drohobycz. Był to największy atak z powietrza od początku inwazji. 31 grudnia w ciągu doby uderzyło prawie 100 szahedów i kilkanaście rakiet. 1 stycznia kilkadziesiąt szahedów spadło od Dniepru po Lwów. Nazajutrz leciało co najmniej 99 rakiet i 35 szahedów. Później intensywność ataków spadła, by 8 stycznia znów wzrosnąć. Są przy tym miejsca – jak Charków – codziennie dręczone nalotami. „To, co robi Rosja, to czysty rakietowy terror" – pisze lokalny kanał na Telegramie [relację z Charkowa publikujemy w dziale Świat – red.].

Można już mówić o nowej rosyjskiej kampanii powietrznej, która intensywnością przewyższa tę sprzed roku.

Wtedy celem była energetyka. Dziś to prawdopodobnie – tak twierdzi wielu analityków – zaplecze, które zapewnia funkcjonowanie ukraińskiego frontu, w tym zakłady produkujące dla wojska. A że rosyjska broń nie grzeszy celnością, giną też licznie cywile. Wygląda to tak, jakby Rosja chciała pogłębić kryzys zaopatrzenia ukraińskiej obrony – ten rysujący się na horyzoncie w związku z malejącymi dostawami z Zachodu. Biały Dom ogłosił, że wydał już wszystkie środki na pomoc dla Ukrainy; kolejne blokuje spór między Republikanami a Demokratami. Jeśli nawet dojdzie do kompromisu, pomoc USA – to też Biały Dom zapowiada otwarcie – w 2024 r. będzie mniejsza niż wcześniej.

Pytanie teraz, czy da się przekonać największe kraje Europy Zachodniej, że zwiększenie wsparcia dla Ukraińców jest w ich interesie – nawet gdyby miało to oznaczać uszczuplenie zasobów ich własnych armii. ©℗

MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Komu kredyt, komu?

MAREK RABIJ

Ministerstwo rozwoju przedstawiło założenia kredytu mieszkaniowego „Na start", który w drugiej połowie br. ma zastąpić program „Bezpieczny kredyt 2 proc.". Dofinansowanie ma obowiązywać przez 10 lat i być uzależnione od wielkości gospodarstwa domowego.

W przypadku gospodarstw jedno- i dwuosobowych oprocentowanie wyniesie 1,5 proc. W gospodarstwie trzyosobowym – 1 proc., a czteroosobowym – już 0,5 proc. Pary z trójką dzieci mogą cieszyć się kredytem bez oprocentowania. Warunkiem uzyskania pomocy od państwa będzie jednak kryterium dochodowe: w przypadku singli może to być maksymalnie 10 tys. zł brutto. W gospodarstwie dwuosobowym – do 18 tys. zł brutto.

Z poprzedniego programu mogły korzystać osoby do 45. roku życia bez własnej nieruchomości. Nowy projekt zakłada obniżenie tego progu wiekowego aż o 10 lat. Rodziny 2+3 będą jednak mogły ubiegać się o kredyt, mając już mieszkanie. Rząd chce w ten sposób pomóc im w zamianie lokalu.

Na pierwszy rzut oka nowa wersja programu wsparcia dla osób marzących o własnym mieszkaniu różni się od poprzedniej. W praktyce różnice są jednak niewielkie. Trudno odpowiedzieć też na pytanie, jakie cele społeczne ma realizować. Progi dochodowe, które rząd wpisał do nowego programu, *de facto* zawężają grono jego beneficjentów do grupy podatników przekraczających próg podatkowy lub bliskich jego przekroczenia – a więc osób, które zazwyczaj mają już własne mieszkanie. Jeśli intencją pomysłodawców było także stymulowanie dzietności Polaków, to „Na start" również w tym obszarze wydaje się skazany na porażkę, bo największe wsparcie przewiduje dla rodzin mających już trójkę dzieci.

Kto zatem zyska na nowej propozycji? Z pewnością osoby, które mają już mieszkania.

Rząd ponownie sięga po narzędzie, które musi doprowadzić do kolejnego wzrostu popytu na nieruchomości.

Przy ograniczonej podaży (w Polsce nie istnieje budownictwo komunalne, a deweloperzy dbają o to, by liczba oddawanych do użytku mieszkań nie dogoniła popytu) programy wsparcia przy zakupie nieruchomości skutkują jedynie drożyzną. W ub. roku rząd oczekiwał, że zainteresowanie programem „Bezpieczny kredyt 2 proc." oscylować będzie na poziomie 10 tys. wniosków. Ostatecznie złożono ich ponad 10 razy więcej, a liczba zawartych umów sięgnęła na koniec ubiegłego roku 60 tys. W większości dużych miast zanotowano skok cen mieszkań o co najmniej 20 proc. „Na start" także pod tym względem nie będzie się różnić od poprzednika. ©℗

Sto dni rozpaczy

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Bilans wojny między Hamasem a Izraelem na terytorium Gazy jest dramatyczny. 23 tys. zabitych Gazańczyków, w tym najmłodszych; większość z 2,3-milionowej populacji zmuszona do ucieczki z domów; ogromna część Strefy zamieniona w gruzy. Dla Izraela to pozostający w tunelach Hamasu zakładnicy (ponad 130), ciągły ostrzał izraelskich miejscowości, prawie pół miliona wysiedlonych z sąsiedztwa strefy walk. Na północy narasta intensywność starć z Hezbollahem po tym, jak izraelski zapewne dron zabił w Bejrucie jednego z liderów Hamasu. Napięcie w regionie wzrosło też po zamachu w Iranie, w którym zginęło ponad 100 osób. Teheran oskarża o to Izrael, choć do sprawstwa przyznało się Państwo Islamskie (sunniccy dżihadyści są skonfliktowani z szyickim Iranem).

Dynamika wydarzeń nie pozostawia nadziei. Izraelska armia przewiduje, że krwawa operacja w Gazie, która ma wyeliminować bojowników i infrastrukturę Hamasu, potrwa rok. Tymczasem izraelska skrajna prawica pozwala sobie na hasła, których dotąd nie wypowiadano w przestrzeni publicznej. Ministrowie Itamar Ben-Gvir i Bezalel Smotrich wyrazili nadzieję na „dobrowolną emigracje" Gazańczyków po wojnie. USA określiły tę wypowiedź jako „zapalną i nieodpowiedzialną"; skrytykowano ją nawet w izraelskich kręgach rządowych. Co nie oznacza oczywiście, że w kuluarach te pomysły nie padają.

Bo „dzień po wojnie" jest teraz stałym przedmiotem debat. Minister obrony Yoav Galant twierdzi, że nie ma powrotu do izraelskich osiedli, wycofanych z Gazy w 2005 r. (wkrótce po tym do władzy w Gazie doszedł Hamas). Zapewnia, że powojenną Gazą będą rządzić Palestyńczycy „pod warunkiem, że nie będzie żadnych wrogich działań, gróźb wobec Izraela".

Przed haskim trybunałem zaczyna się w tym tygodniu postępowanie w kwestii skargi wniesionej przez rząd RPA, w której zarzuca Izraelowi ludobójstwo. W zgłoszeniu można przeczytać, że Izrael dopuścił się masowego użycia siły i przymusowego wysiedlenia mieszkańców z Gazy i że jest zaangażowany w „zbrodnie przeciw ludzkości i zbrodnie wojenne".

Skoro może to potrwać jeszcze rok, trudno sobie wyobrazić, dokąd za ponad 300 dni zaprowadzi nas ten bezprecedensowy rozlew krwi w całym regionie. ©

Po izraelskim bombardowaniu w Rafah. Strefa Gazy, 8 stycznia 2024 r.

AFP / EAST NEWS

NA PUNKTY

SZYBKO
Warszawska prokuratura zleciła policji zabezpieczenie monitoringu z budynku Ministerstwa Kultury w związku z dochodzeniem dotyczącym zmian w mediach publicznych: z analizy dat na dokumentach i obliczeń posłów obecnej opozycji wynika, że szef resortu Bartłomiej Sienkiewicz miał tylko 107 minut na odwołanie członków zarządów i rad nadzorczych TVP, Polskiego Radia i PAP, zwołanie nowych rad nadzorczych, a następnie udanie się do kancelarii notarialnej na sporządzenie aktów notarialnych z tych posiedzeń.

SZYBCIEJ
À propos monitoringu: minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski zaproponował Andrzejowi Dudzie sprawdzenie bezpieczeństwa dostępu do jego kont w mediach społecznościowych po tym, jak w serwisie X na profilu prezydenta pojawił się, a kilkadziesiąt sekund później zniknął, wpis o czyjejś żonie, która wie, „co to znaczy »mieć jaja«".

NAJSZYBCIEJ
Niedawne gwiazdy TVP tymczasem przenoszą się do Telewizji Republika. A tę błyskawicznie opuszczają reklamodawcy po tym, jak jedna z gwiazd, Jan Pietrzak, powiedziała na antenie, że „mamy baraki dla imigrantów w Auschwitz, w Majdanku, w Treblince, w Sztutowie". ©℗

Senator i szpitalna korupcja

MAŁGORZATA SOLECKA

Prokuratura Regionalna w Szczecinie skierowała pod koniec 2023 r. akt oskarżenia przeciw 30 osobom, które miały uczestniczyć w latach 2008-2019 w procederze korupcyjnym związanym z chirurgicznym leczeniem otyłości w Szpitalu im. Alberta Sokołowskiego w Szczecinie. Pacjenci mieli wpłacać po 10 tys. zł na konto Fundacji Pomocy Transplantologii, co miało być warunkiem przyspieszenia operacji.

Sprawa jest o tyle dziwna, że w okresie, o którym mowa, działalność przyszpitalnych fundacji została uporządkowana, co ukróciło takie praktyki, dosyć rozpowszechnione w pierwszych kilkunastu latach III RP. Zdaniem śledczych, na których powołują się dziennikarze, w tym przypadku pomysłodawcą „operacji" był prof. Tomasz Grodzki, senator od 2015 r., w poprzedniej kadencji marszałek Senatu. Prokurator Marcin Lorenc doprecyzował, że Grodzki nie jest oskarżonym ani podejrzanym, ale prokuratura natrafiła w śledztwie na dowody przyjmowania przez niego korzyści majątkowych.

Prokuratura nie może oskarżyć Grodzkiego, bo ma on immunitet. Sam senator, a także liczni politycy KO kwestionują meritum zarzutów, mówiąc o upolitycznieniu prokuratury, która miała rozpocząć polowanie na marszałka, by rozmontować tzw. pakt senacki. I tu jest, można powiedzieć, prawda pogrzebana. Tzw. sprawa Grodzkiego jest jednym z licznych przykładów, co PiS zrobił z państwem, prawem i sprawiedliwością. Oraz ze społeczeństwem. Zapewne grupa osób, które nigdy nie uwierzą w winę prof. Grodzkiego, jest tak samo liczna jak tych, którzy nigdy nie uwierzą w jego niewinność. Pierwszych nie przekonają dowody „ziobrowej" prokuratury, drugich – wyroki sądów (co prawda nieprawomocnie, ale Grodzki wygrał w pierwszej instancji proces wytoczony osobie, która takie informacje rozpowszechniała). Nie ma jednej prawdy. Jest, cytując klasyka, prawda czasu i prawda ekranu.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Ta zaś każe z dystansem patrzeć na prokuratorskie ustalenia i dochodzenie, które ruszyło zaraz po tym, jak Grodzki został marszałkiem. Trudno nie połączyć kropek między dużą polityką a w sumie drobną sprawą o potencjalnym zabarwieniu korupcyjnym. ©

Czytaj więcej: **powszech.net/grodzki**

Piętnastosekundowy gest życzliwości

ZUZANNA RADZIK

Przyjęta burzliwie deklaracja „Fiducia supplicans" Dykasterii Nauki Wiary o błogosławieństwie par niesakramentalnych doczekała się po ponad dwóch tygodniach od publikacji swojego doprecyzowania.

Co zostało wyjaśnione przez Dykasterię Nauki Wiary w interpretacji jej własnego dokumentu? W skrócie: autorzy przypomnieli, że żadnej rewolucji nie było i nie będzie. Błogosławieństwo duszpasterskie, odróżniane tu od błogosławieństwa liturgicznego i rytualnego, o którym mowa w dokumencie, może być udzielane w przestrzeni niesakralnej, nie przed ołtarzem, żeby nie wywołać konfuzji. Ma być spontanicznie, a nie uroczyście, i każdej osobie należy wykonać osobny znak krzyża. Nie powinno być też dłuższe niż 10-15 sekund. Musi być również jasne, że to błogosławieństwo nie jest akceptacją życia, jakie prowadzi prosząca o nie para, tylko wyrazem duszpasterskiej bliskości. Takim ogólnym wsparciem. Wszystko to ma być wprowadzane z uwzględnieniem kontekstu, co jest ukłonem w stronę buntujących się afrykańskich episkopatów.

Podkreśla się, że nie zostało zmienione nauczanie o małżeństwie i seksualności. I to być może największy problem. W naszych Kościołach pary niesakramentalne i związki osób LGBT+ są obywatelami drugiej kategorii, a my dyskutujemy burzliwie o błogosławieństwie, które nie daje im w sumie nic oprócz minimalnej akceptacji. Jeśli rozmowa o 15-sekundowych błogosławieństwach wstrząsnęła jednością biskupów, to nie ma na razie co liczyć na więcej. Takim parom pomoże dopiero zmiana teologii dostrzegająca wartość i dobro w ich wspólnym życiu, a nie duszpasterski plaster. ©

DOLPH CANTRIJN / EAST NEWS

Pielgrzymka z Porto do Santiago de Compostela. Portugalia, 2017 r.

Rekord w drodze do św. Jakuba

PIELGRZYMOWANIE ▪ Drugi rok z rzędu po pandemii Droga św. Jakuba notuje rekordy frekwencji. Do katedry w Santiago de Compostela w północno-zachodniej Hiszpanii w 2023 r. przybyło 446 tys. pielgrzymów. Rok wcześniej – 438 tys. W latach pandemii frekwencja spadła do 54 tys. w 2020 r., by wzrosnąć do prawie 179 tys. w 2021 r. Przed pandemią w 2019 r. rekord frekwencyjny wyniósł prawie 348 tys. pielgrzymów.

Ostatni rok był też rekordowy, jeśli chodzi o polskich pielgrzymów. Do grobu św. Jakuba przybyło 5525 Polaków, co naszemu krajowi dało 15. miejsce. Co ciekawe, za nami są Czesi z frekwencją 4825 pielgrzymów. Polska i Republika Czeska to jedyne kraje z Europy Wschodniej notowane w ostatnich latach wysoko (w pierwszej dwudziestce) w rankingu państw.

Polacy pojawili się na Drodze św. Jakuba liczniej po 2000 r. i ich obecność od tego czasu stale wzrasta. Tradycyjnie zawsze najwięcej jest Hiszpanów – w 2023 r. stanowili oni aż 44 proc. wszystkich pielgrzymów. Drugie miejsce zajęli Amerykanie (32 tys. pielgrzymów), następnie Włosi (29 tys.) i Niemcy (ponad 24 tys.). W pierwszej dziesiątce są także Portugalczycy, Francuzi, Brytyjczycy, Meksykanie, mieszkańcy Korei Południowej i Irlandczycy. Biuro Pielgrzymkowe odnotowało, że na Drodze pojawili się obywatele niemal wszystkich 200 krajów uznanych przez prawo międzynarodowe (trzy osoby przybyły z Watykanu).

By otrzymać certyfikat, pielgrzymi muszą udokumentować odpowiednimi pieczątkami przejście ostatnich 100 km lub przejechanie rowerem ostatnich 200 km. Ciekawie kształtuje się ranking motywacji. Z opublikowanych statystyk wynika, że 42,6 proc. osób przybywających na pielgrzymkę podało „powody religijne", a 34,7 proc. „powody religijne i inne". Natomiast 22,7 proc. przyszło z „powodów niereligijnych". Wyraźnie widać, że bodźcem do wyruszenia na ten szlak jest nie tylko wiara.

Pierwsze ślady pielgrzymek do Santiago de Compostela notuje się już w IX wieku. Największe nasilenie ruchu pątniczego przypadło jednakże na wieki XII-XIV. W XII wieku dokument papieski uznał Compostelę za trzecie po Jerozolimie i Rzymie miejsce święte chrześcijaństwa. Zwyczaj pielgrzymowania został przerwany przez rewolucję francuską i odrodził się w latach 80. XX wieku. © ARTUR SPORNIAK

Pasja, obsesja i pożytki dla umysłu

TETRIS ▪ „O Boże, o Boże! Nie czuję palców!" – 13-letni Willis Gibson przez dobre 3 minuty nie mógł wydusić z siebie niczego innego po tym, jak udało mu się dokonać tego, co miało być poza zasięgiem człowieka. Przez poprzednich 38 minut i 27 sekund grał w „Tetris" (a konkretnie wydaną w 1988 r. jego wersję na konsolę NES, „wzorzec z Sevres" tej gry). I po 157 poziomach oraz wyczyszczeniu 1511 linii stał się pierwszym człowiekiem w niemal 40-letniej historii gry, który ją ukończył. Program przestał działać.

Wcześniej do tego miejsca dotarły tylko sztuczne inteligencje. Gra polegająca (wyjaśnienie dla tych, którzy od 40 lat nie odpalili komputera) na układaniu spadających wielokształtnych klocków w równe linie powyżej poziomu 29. przebiega tak szybko, że bez sztuczek człowiek nie jest w stanie nadążyć. Profesjonalni gracze (co roku rozgrywane są mistrzostwa świata) opracowali szereg technik, takich jak „hiperklikanie" i „przetaczanie", pozwalających obejść ograniczenia konsoli. Ale ukończenie gry pozostawało poza ich zasięgiem. Aż do teraz.

„Tetris" został stworzony w 1985 r. przez Aleksieja Pażytnowa, młodego programistę z Centrum Komputerowego Akademii Nauk ZSRR. Pierwsza wersja gry działała na komputerach Elektronika 60, które nie potrafiły jeszcze generować grafiki – klocki były reprezentowane przez znaki alfanumeryczne. Gra wkrótce podbiła świat. Już w 1988 r. zachodnie wersje wypuściły Microsoft i Spectrum HoloByte. Stała się tak popularna, że żartem nazwano ją „ostatnią, desperacką próbą ZSRR zniszczenia produktywności Zachodu". Pażytnow początkowo nie zarobił ani grosza. Dopiero gdy w latach 90. wyemigrował do USA, udało mu się wywalczyć tantiemy.

Obsesja, którą dla wielu ludzi stała się ta prosta gra, od dawna jest tematem badań psychologów. Mianem „syndromu Tetrisa" nazwano pojawianie się w naszych myślach, snach czy wręcz halucynacjach czegoś, na czym skupiamy się przez dłuższy czas. Ale gra ma mieć też pozytywny wpływ na nasze mózgi. Prof. Richard Haier stwierdził, że regularna gra w „Tetris" pogrubia korę przednią mózgu i poprawia pamięć. Przeprowadzone w 2017 r. na Oxfordzie badanie wskazało, że gra ma potencjał do łagodzenia symptomów stresu pourazowego. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

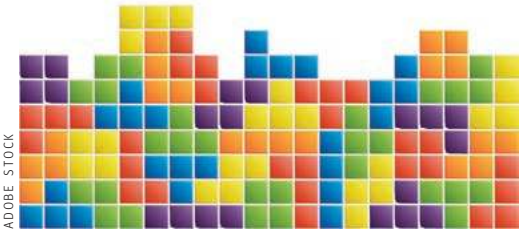

ADOBE STOCK

Królowa Danii z australijskich antypodów

LISELOTTE SABROE / AP / EAST NEWS

Odchodząca królowa Danii Małgorzata II, książę Fryderyk i księżna Maria. Kopenhaga, 3 stycznia 2023 r.

MONARCHIE ▪ Po zapowiedzianej abdykacji Małgorzaty II nowym królem Duńczyków zostanie w połowie stycznia jej syn Fryderyk. Jednak to jego żona Maria budzi największe zainteresowanie.

Przyszła królowa urodziła się w 1971 r. z dala od kopenhaskiego dworu – w Hobart na Tasmanii, australijskiej wyspie – jako Mary Elizabeth Donaldson. Zdobyła wykształcenie, zaczęła z sukcesami pracować w reklamie i marketingu. Jej życie zmieniło się, gdy w 2000 r. podczas olimpiady w Sydney spotkała w pubie Slip Inn grupę turystów, a jednym z nich był przystojny Duńczyk.

Związek nie zapowiadał się łatwo: zakochani żyli w różnych światach, w przenośni i faktycznie: Sydney od Kopenhagi dzieli kilkanaście tysięcy kilometrów. Jednak udało się i w 2004 r. Mary została księżną Marią. Transmisję ze ślubu oglądało – w środku nocy – ponad milion Australijczyków. Niektórzy w pubie Slip Inn (goście z duńskim paszportem mogli liczyć na darmowe piwo). Do ołtarza prowadził ją ojciec, ubrany w szkocki kilt. Nie był to bezpodstawny rekwizyt: rodzice Marii przybyli do Australii ze Szkocji w latach 60. XX w. Przemawiając na weselu, ojciec przedstawił ją jako „Mary z klanu MacDonald" i nawiązał do historii MacDonaldów, którzy w XII w. walczyli z Wikingami. Na Wyspach Brytyjskich podkreśla się więc teraz pochodzenie Marii, a szkoccy politycy wyrażają nadzieję, że nowa królowa odwiedzi Szkocję.

Przez Duńczyków Maria jest bardzo lubiana. Może także dlatego, że dobrze poradziła sobie z radykalną zmianą stylu życia: szybko nauczyła się języka, dostosowała do wymogów dworu i angażuje się w działalność charytatywną. Przeszła też szkolenie wojskowe i ma stopień oficerski. Czworo dzieci starają się wraz z mężem wychowywać w możliwie najzwyklejszy sposób.

Równie lubiana jest ustępująca królowa. Po śmierci Elżbiety II w 2022 r. to Małgorzata II stała się najdłużej panującą królową na świecie: trwała na tronie 52 lata i pewnie Duńczycy oczekiwali, że zostanie na nim do śmierci, gdy nieoczekiwanie w ostatnim dniu 2023 r. 83-letnia monarchini zapowiedziała abdykację. Komentując to, premier Mette Frederiksen (rocznik 1977) mówiła, że wielu obywateli nie znało w życiu innego monarchy, a „królowa Małgorzata jest uosobieniem Danii i przez lata poprzez słowa i uczucia wyrażała to, kim jesteśmy jako ludzie i naród".

Poparcie dla monarchii jest w Danii wysokie, znacznie wyższe niż w Wielkiej Brytanii (odpowiednio: 85 proc. i 66 proc.).

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Nowe nadzieje w walce z bakteriami

MEDYCYNA ▪ Oporność bakterii na antybiotyki jest globalnym wyzwaniem. Szacuje się, że w 2019 r. z powodu bakterii opornych na dostępne leki zmarło prawie 1,3 mln osób. Problem ten obecny jest również w Polsce, gdzie z roku na rok rośnie odsetek bakterii wielolekoopornych.

Skąd bierze się ten brak wrażliwości bakterii? Istnieje wiele mechanizmów oporności – niektóre bakterie potrafią wyrzucać cząstki leków, które dostaną się do ich wnętrza, inne zaś posiadają enzymy niszczące lek. Rozpowszechnianie tych zdolności wśród bakterii jest efektem zbyt swobodnego stosowania antybiotyków w medycynie i przemyśle. Wyczerpanie możliwości terapii doskwiera przede wszystkim w oddziałach szpitalnych, dlatego stale poszukiwane są nowe słabe punkty w bakteryjnej obronie.

3 stycznia w „Nature" ukazały się dwa artykuły opisujące skuteczność nowej grupy leków działających na jeden z najgroźniejszych patogenów obecnych w szpitalach – *Acinetobacter baumannii*. Lek o nazwie zosurabalpin hamuje zdolność bakterii do budowy zewnętrznej błony komórkowej (ten rodzaj bakterii posiada dwie błony), przez co staje się ona wrażliwa na działanie środowiska i umiera. Skuteczność potwierdzono w badaniach *in vitro* i na mysich modelach zapalenia płuc i sepsy – te dwie formy infekcji najczęściej pojawiają się również u ludzi.

Optymistycznych doniesień z frontu walki z bakteriami było ostatnio więcej. W grudniu badacze z MIT zaproponowali nowy lek na infekcję bakterią gronkowca złocistego. Z kolei w pierwszej fazie badań klinicznych skuteczna wobec *Clostridioides*, wywołujących infekcję przewodu pokarmowego, okazała się omadacyklina.

Choć do medycznego przełomu i odwrócenia losu milionów pacjentów jeszcze bardzo daleko, to znalezienie achillesowej pięty wielolekoopornej bakterii daje nadzieję, że medycyna przestanie być w niektórych przypadkach bezbronna. Ale jeśli te leki potwierdzą skuteczność w kolejnych seriach testów klinicznych, będziemy musieli pamiętać, by używać ich roztropnie.

© BARTOSZ KABAŁA

TEMAT TYGODNIKA

BUŁAWA W BŁOCIE

Prezydent chciałby pogodzić dwie sprzeczne role – strażnika konstytucji i lidera opozycji, który zawalczy o spadek po Jarosławie Kaczyńskim. By to uczynić, musiałby stać się nowym Andrzejem Dudą.

MAREK KĘSKRAWIEC, PIOTR ŚMIŁOWICZ

MICHAŁ ŻEBROWSKI / EAST NEWS

Andrzej Duda podczas apelu z okazji Dnia Podchorążego i 193. rocznicy wybuchu powstania listopadowego, na dziedzincu Belwederu. Warszawa, 29 listopada 2023 r.

Dwa razy wygrał wybory prezydenckie z mocnymi rywalami, ale chyba niewiele po nim zostanie – to opinia rozpowszechniona nawet wśród współpracowników Andrzeja Dudy. Miał swój świetny czas po najeździe Rosji na Ukrainę, zaskoczył też kilka razy opinię publiczną, blokując ustawy własnego obozu, ale to mało jak na tyle lat prezydentury. Teraz jednak przed nim najważniejsze półtora roku w karierze, zaczął się bowiem okres kohabitacji z nową większością parlamentarną i widać wyraźnie, że będzie on niespokojny.

Dziś prezydent jest jedynym politykiem związanym z PiS, który ma w rękach realną władzę. Posiada inicjatywę ustawodawczą, może blokować poczynania rządu i nowej sejmowej większości za pomocą weta. Zarazem ma szansę wykorzystać sytuację w PiS, gdzie Jarosław Kaczyński wciąż jest niekwestionowanym liderem, ale zachowuje się jak kapitan statku, który zmierza na mieliznę. Wszyscy to widzą, jednak żaden z oficerów na pokładzie nie ma na tyle siły i odwagi, by wejść na mostek i przejąć ster. Paliwo, jakie nowa władza dała PiS w postaci bezceremonialnego przejęcia mediów publicznych, a także serialu z Kamińskim i Wąsikiem w rolach głównych – może szybko się wyczerpać. Widać wyraźnie, że Kaczyński nie ma pomysłu, jak zareagować na zmiany społeczne i dać nowe życie prawicy.

Przywództwo niemal 75-letniego prezesa może zakwestionować dziś jedynie prezydent. Nie musi organizować przewrotu, do którego charakterologicznie i tak się nie nadaje, wystarczy, że skupi wokół siebie środowiska sfrustrowane kolejnymi prawdopodobnymi porażkami w wyborach do samorządów i europarlamentu.

Władza w obozie PiS leży dziś „na ulicy". Czy Dudzie uda się po nią sięgnąć?

Marka na pół gwizdka

Prezydent dotychczas nie miał aspiracji związanych z życiem partyjnym i nie do końca czuje ducha PiS. – Andrzej w trakcie prezydentury się nie zbudował. Nie stworzył w PiS wrażenia, że jest osobną marką i że warto na niego stawiać – mówi były współpracownik prezydenta. Inni dodają, że polityka partyjna to ciągłe wyjazdy w Polskę, spotkania z działaczami powiatowymi, rozwiązywanie sporów personalnych – w tym zawsze brylował Kaczyński. To nie jest żywioł Dudy, który nie ma mentalności lidera, a przed prezydenturą był typowym działaczem drugiego szeregu.

Po zakończeniu drugiej kadencji w 2025 r. Andrzej Duda nie trafi do parlamentu, gdzie tworzy się prawdziwa polityka. Zresztą głowa państwa w roli posła wysłuchującego obelg za 10 lat prezydentury to nie byłby dobry pomysł. Podobne doświadczenie swoistej próżni mają za sobą inne głowy państwa, które usiłowały włączyć się w życie polityczne spoza Sejmu, trochę na pół gwizdka. Lech Wałęsa miał swą Chrześcijańską Demokrację III RP, której dziś już nikt nie pamięta. Aleksander Kwaśniewski wspierał najpierw Lewicę i Demokratów, potem komitet Europa Plus Janusza Palikota – bez większych sukcesów. Niewiele wynikło też z zaangażowania Bronisława Komorowskiego w Koalicję Polską, tworzoną wokół PSL.

Duda może przegrać swoją przyszłość, ale jednak w walce o inną, wyższą stawkę – o wielką partię. Były pracownik Kancelarii Prezydenta RP, a dziś poseł PiS, przyznaje, że jest on politykiem o poglądach centroprawicowych i wielu młodszych działaczy tej formacji widziałoby w nim punkt odniesienia, biorąc pod uwagę, że w partii nie ma dziś nikogo, kto wyraźnie wysuwałby się na czoło jako możliwy następca prezesa. Prezydent stoi nieco z boku, nie musi uczestniczyć w często żenujących kotłowaninach pod dywanem, za to może pokazywać swoją siłę konkretnymi decyzjami wpływającymi na życie państwa. A jeśli w przyszłości miałby być liderem, to takim nienarzucającym swej woli, bo zdaniem naszego rozmówcy Duda to raczej człowiek dialogu niż dominacji. Po autokratycznym Kaczyńskim byłby to powiew wolności w środowisku PiS, który mógłby się przełożyć na jego kreatywność, choć mógłby też oznaczać wewnętrzną anarchię.

– Andrzej potrafi spiąć się na kampanię, jest wtedy jak naładowana maszyna. Natomiast między wyborami jego aktywność jest taka sobie. Łatwo się zapala, ale też szybko się nudzi – przyznaje były współpracownik prezydenta.

W polityce nie sposób jednak wszystkiego przewidzieć. Po dwóch kadencjach polityczne obycie Dudy wzrosło, zwłaszcza po ataku Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Historia zna też przypadki zaskakujących transformacji. Donald Tusk w latach 90. był uważany za niepoważnego polityka „w krótkich spodenkach", który interesuje się głównie grą w piłkę. To się radykalnie zmieniło ok. 2000 r., gdy Tusk był już po czterdziestce. Najpierw wystartował w wyborach na przewodniczącego Unii Wolności, a potem założył PO. Miał jednak przy sobie człowieka, który początkowo robił za niego całą czarną partyjną robotę, czyli Grzegorza Schetynę.

Chwiejny buntownik

Taką rolę u Dudy może odgrywać szef jego gabinetu Marcin Mastalerek, mający podobnie jak Schetyna naturę politycznego zabijaki. – Prezydent nie jest człowiekiem przekonanym o swoich racjach, jest chwiejny i zorientowany na inne osoby, z „syndromem ostatniego rozmówcy" – uważa Jarosław Flis, socjolog z UJ. – Przez lata nie był z tego powodu poważnie traktowany nawet w swym własnym ↦

środowisku. Jego kolejne niezbyt przemyślane inicjatywy po prostu ignorowano, jak 10 pytań referendalnych o konstytucję i ustrój Polski albo projekt ustawy mającej zażegnać spór wokół aborcji.

Flis podkreśla, że na Dudzie mocno odbiły się toksyczne relacje z Jarosławem Kaczyńskim. Został prezydentem w wieku ledwie 43 lat, próbował grzecznie wpasować się w nakreślone mu ramy, choćby nie przyjmując przysięgi od prawidłowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Jednak mocodawca zaczął gardzić swym pupilem już przy pierwszej okazji, gdy ten nie zachował się zgodnie z oczekiwaniami, czyli 10 kwietnia 2016 r., kiedy to podczas uroczystości smoleńskich zaproponował narodowe pojednanie. Latem 2017 r. zawetował też ustawy sądowe, czym naraził się wręcz na wściekłość Kaczyńskiego, ale pod koniec roku ostatecznie parafował zmiany w Sądzie Najwyższym, sądach powszechnych i KRS, niewiele różniące się od tych zawetowanych. Prezes PiS uważał go już wtedy za zmiennego w poglądach chłoptasia.

– Kaczyński ma teorię, że Duda łatwo ulega wpływom, więc jak na weekend pojedzie do Krakowa i tam spotka się ze znajomkami, to nic dobrego z tego nie wynika – mówi były współpracownik prezydenta.

– Właśnie po wizycie w Krakowie podjął decyzję w sprawie weta do ustaw sądowych, które były dla PiS niczym grom z jasnego nieba. Wcześniej miał też przygotowane weto do nowego prawa farmaceutycznego. Była już wyznaczona konferencja, ale po powrocie z Krakowa Andrzej przychodzi i mówi, że jednak się namyślił i weta nie będzie, bo mu znajomy lekarz powiedział, że to dobra ustawa – dodaje inny.

Duda buntował się wobec PiS niekonsekwentnie i chaotycznie, w niespójnym rytmie kolejnych zmian personalnych w Kancelarii, w której towarzystwo wciąż się spierało. – Obecnie największy wpływ na Dudę ma Mastalerek. To on trzyma stery i chyba ich szybko z rąk nie wypuści – uważa Flis. – Jest ostry i zdecydowany, ale też cierpliwy, nie zatopił go nawet gniew Kaczyńskiego. Bryluje w mediach, jednak nie zastąpi w nich samego Dudy, nie wzmocni jego siły i nie doda dostojeństwa, zwłaszcza jeśli w tym samym czasie prezydent będzie zamieszczał niepoważne wpisy w portalach społecznościowych.

> Duda potrafi spiąć się na kampanię, jest wtedy jak naładowana maszyna. Łatwo się zapala, ale też szybko się nudzi.

W kwestii ewentualnych szans na przejęcie choć części aktywów PiS Jarosław Flis uważa, że dotychczasowe doświadczenia nie wróżą dobrze Dudzie. Próbowali z nim już zawierać nieformalne sojusze Mateusz Morawiecki i Jarosław Gowin, by zmienić układ sił na prawicy, ale wszystko szybko się rozmywało. Dziś prezydent stoi przed kolejnym dylematem. Jeśli nadchodzące wybory pójdą źle, być może Zjednoczona Prawica ulegnie tak dużej fragmentacji, iż Dudzie z jego miękkim charakterem nie będzie się chciało walczyć o leżącą w błocie, poharataną buławę. Jeśli wybory pójdą dobrze, nie będzie w PiS masy krytycznej, by odsunąć Kaczyńskiego lub namówić go do rezygnacji.

Trampolina w Kancelarii

Zdaniem Pawła Musiałka, politologa i prezesa chadeckiego Klubu Jagiellońskiego, obecnie nie ma szans, by Duda mógł zastąpić w roli lidera prawicy Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS nie wspierałby jego kandydatury, ponieważ jest nim głęboko rozczarowany. Kluczową rolę odegrały weta prezydenta wobec ustaw sądowych oraz przy lex TVN i lex Czarnek.

– Prezydent nie ma też swojego przyczółka w PiS, by mocniej tam zaistnieć. Co prawda do Sejmu dostali się Marcin Przydacz, Paweł Szrot i Paweł Sałek, ale jest ich zbyt mało i nie są to wierni ludzie prezydenta, oni raczej mieli epizod pracy z nim. Dudzie nie udało się zbudować swojego zaplecza w obozie Zjednoczonej Prawicy, które orientowałoby się na niego. Jednym z powodów i zarazem przejawów takiego stanu rzeczy jest fakt, iż Kancelaria Prezydenta RP była zawsze zdominowana przez urzędników, a nie polityków – uważa Paweł Musiałek.

Na dodatek otoczenie Dudy (z wyjątkiem przyjaciela z czasów harcerskich Wojciecha Kolarskiego) ciągle się zmieniało. Kilka miesięcy przed ostatnimi wyborami Paweł Soloch, czyli Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, został ambasadorem w Rumunii, a zastąpił go Jacek Siewiera. Drugi z najważniejszych urzędników kształtujących po inwazji Rosji na Ukrainę prezydencką politykę międzynarodową, Jakub Kumoch, trafił na placówkę w Pekinie. Nielubianego w Kancelarii urzędnika Duda pozbył się pod pretekstem nieuchronienia go przed rozmową z dwoma rosyjskimi blogerami udającymi sekretarza generalnego ONZ. W roli szefa Biura Polityki Międzynarodowej (BPM) zastąpił Kumocha wspomniany już Przydacz, który dziś jest posłem.

Fluktuacja kadr jest w Kancelarii zbyt duża, by zrobić z niej wpływowe środowisko. To raczej miejsce pracy tymczasowej. Obecny szef gabinetu, Marcin Mastalerek, jest już trzecią osobą na tym stanowisku. Jego poprzednik Paweł Szrot trafił do Sejmu, a jeszcze wcześniej Krzysztof Szczerski z tej samej funkcji przeniósł się najpierw do BPM, a potem do Nowego Jorku, gdzie został przedstawicielem Polski przy ONZ.

Obecna szefowa Kancelarii Prezydenta, Grażyna Ignaczak-Bandych, także jest trzecią osobą w tej roli. Jej poprzedniczka Halina Szymańska odeszła z Kancelarii, by zostać prezeską Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, a Małgorzata Sadurska przeszła do zarządu PZU i PZU Życie. Można dojść do wniosku, że Pałac Prezydencki stał się trampoliną do ciekawszych i atrakcyjniejszych finansowo posad.

– To nigdy nie było spójne środowisko, dużo było w nim walki wewnętrznej i konfliktów personalnych. Ludzie się z sobą nie dogadywali, więc szybko zaczynali myśleć o własnej przyszłości. Prezydent nie miał umiejętności tworzenia zwartego zespołu i nie umiał gasić konfliktów – uważa Musiałek, ale zarazem podkreśla, że dziś Duda to dużo bardziej autonomiczna postać, a objęcie funkcji szefa gabinetu przez Mastalerka, pozwalającego sobie na krytyczne uwagi wobec Kaczyńskiego, to zapowiedź jeszcze większej zmiany. – Polityka w Pałacu będzie teraz intensywniejsza, choć myślę, że sam Duda jeszcze

nie zdecydował, co zrobi później – sądzi Musiałek.

Jeden z byłych współpracowników głowy państwa zwraca uwagę, że jej przyszłość jest uzależniona od skokowej poprawy medialnego zaplecza, które dziś nie potrafi nawet zadbać o to, by szczera narciarska pasja Dudy stała się częścią jego pozytywnego wizerunku, zamiast być obiektem drwin. Trudno to jednak uczynić, jeśli w Pałacu nie ma nawet rzecznika prasowego: pierwszym był Marek Magierowski, który szybko uciekł w dyplomację, kolejnym Krzysztof Łapiński, a następnym Błażej Spychalski – on zaś odszedł jesienią 2021 r.

Nie tylko „Andżej"

Marcin Duma, badacz opinii i prezes IBRiS, uważa, że temperatura sporu może zniechęcać prezydenta do aktywności w krajowej polityce. Dla świata, mimo skojarzeń z populistyczną prawicą, Duda nie jest „Andżejem" vel Adrianem z „Ucha Prezesa", ale człowiekiem dużo większego formatu, który wykazał się niezwykłym refleksem i zdecydowaniem po ataku Rosji na Ukrainę. To spory kapitał.

– Nie wykluczam, że po zakończeniu misji w Pałacu Andrzej Duda ruszy w świat, by opowiadać o polityce z perspektywy lidera środkowo-wschodniej Europy – mówi Duma. – Na pewno nie ma za sobą tak ciekawej historii i nie jest tak oryginalny jak Lech Wałęsa. Zarazem nie jest aż tak złym mówcą, jak to widzi wielu ludzi w Polsce, wybaczających kolejne wpadki Wałęsie. Dlatego nie lekceważyłbym perspektywy kariery międzynarodowej. Pewnie Harvard go nie zaprosi, ale jest jeszcze cała lista uczelni, w rodzaju Ohio czy Middle Tennessee.

Zdaniem szefa IBRiS wejście do codziennej krajowej polityki mogłoby być dla Andrzeja Dudy szokiem. Tu już nie będzie „królem słońce", pracującym wcześniej przez wiele lat w dużym komforcie – uważa Duma, jednocześnie zaznaczając, że na prawicy brak dziś wyraźnego następcy Kaczyńskiego, jest za to kilka osób o podobnej, średniej sile (Błaszczak, Brudziński, Morawiecki, Sasin, Szydło, Witek), co może zrodzić między nimi konflikty przy walce o schedę. Osłabnie też znacznie wpływ na to środowisko ze strony poważnie chorego Zbigniewa Ziobry; odśrodkowe tendencje do rozpadu wzmacniać będzie również Konfederacja. Jest więc dla Dudy miejsce.

Kłopot w tym, że po opuszczeniu Pałacu prezydent będzie musiał samodzielnie brać udział w brutalnej walce politycznej, w czym dziś wyręcza go Mastalerek. Tymczasem Duda nie ma cech, które Kaczyńskiemu, Tuskowi czy też Czarzastemu ułatwiają skuteczne prowadzenie gier w partii i podejmowanie trudnych decyzji personalnych.

Mimo wszystko Marcin Duma jest zdania, że prezydent to utalentowany aktor i potrafi wcielać się w role, które są atrakcyjną odpowiedzią na oczekiwania elektoratu. Pogardliwe żarty na temat jego internetowych wpadek lub wywiadów, w których pozował na twardziela, trafiają do liberalnej bańki, ale pozostali wyborcy mogą mieć na ten temat inne zdanie. A przecież to do nich kieruje swój przekaz prezydent.

Prawica z ludzką twarzą

Skuteczna walka Dudy o pierwszeństwo na prawicy zależy od tego, czy będzie ↦

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Marsz Miliona Serc. Warszawa, 1 października 2023 r.

Bitwa o sądy

PROF. ANDRZEJ ZOLL nie ma wątpliwości, że przywrócenie zgodnego z konstytucją funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości napotka na opór prezydenta. I to nawet jeśli nowa większość nie ulegnie głosom stowarzyszeń sędziowskich, które proponują, by spośród 3 tys. zaprzysiężonych przez Dudę neosędziów zostawić tylko ok. połowę, czyli tych, którzy dopiero rozpoczynają karierę, przechodząc ze stanowiska asesora.
– W tych propozycjach nie ma co prawda pomysłu delegalizacji wyroków, ale lepszym rozwiązaniem byłoby skupienie się tylko na tych sędziach, których postawa budzi wątpliwości. Podejrzewam, że maksymalnie 200 osób straciłoby swój obecny status. Do przeprowadzenia takiej operacji jest jednak potrzebny kompromis. Ciężko o niego z prezydentem, który uważa, że wszystkie jego decyzje są ostateczne i nie podlegają kontroli żadnych organów państwa. Tak nie jest.

ZGODY NIE BĘDZIE nawet w czytelnej sprawie trzech sędziów prawidłowo wybranych w 2015 r. do TK, od których Andrzej Duda nie odebrał ślubowania, godząc się za to na „sędziów dublerów" – uważa były prezes Trybunału. Prezydent nie może, co prawda, zablokować uchwały parlamentu przywracającej stan zgodny z prawem, ale może ponownie nie przyjąć od sędziów ślubowania. Wtedy mogliby wysłać mu przysięgę listem poleconym – tyle że byłby to kolejny element podgrzewający spór polityczny.

INNEGO ZDANIA jest sędzia Barbara Piwnik, była minister sprawiedliwości. – Spodziewałam się, że nowa władza od razu podda pod dyskusję przygotowane już projekty. Tymczasem mamy rządzenie uchwałami i zalew emocji, które z góry zakładają, iż prezydent będzie wszystko wetował. To stawianie go pod ścianą przez rząd brzmi jak szukanie zawczasu jakiegoś alibi – mówi sędzia Piwnik. – Sądy to delikatna materia; potrzebuje reform przygotowanych w ciszy, z udziałem prezydenta. Tymczasem zapowiedź wstrzymania konkursów na stanowiska sędziowskie tylko powiększy zatory w sądach. Mam wrażenie, że znikło nam z oczu najważniejsze, czyli interes obywateli.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

umiał z gracją poruszać się na obu frontach: walki wewnętrznej i tej zewnętrznej, z nową koalicją. W sprawie wyroków na Macieja Wąsika i Michała Kamińskiego zapowiedział (na razie ustami swoich urzędników), że prędzej zgodzi się na to, by w Polsce pojawili się więźniowie polityczni, niż powtórzy akt łaski. Wróży to twardą konfrontację, zgodną z linią PiS.

– Przed Dudą decyzja, czy będzie chciał iść na łatwiznę i stać się tylko instrumentem w rękach partii czy też zawalczyć o główną rolę. Na razie nie wygląda, by chciał zgodnie z wolą Kaczyńskiego ciągnąć w stronę permanentnego *liberum veto* – uważa prezes IBRiS. Dowód na to już jest, w postaci podpisu pod ustawą o *in vitro*. To samo mogłoby się stać z ustawą o związkach partnerskich, z której w zdecydowanej większości skorzystają pary heteroseksualne żyjące bez ślubu. Weto jest bardziej prawdopodobne przy ustawie dotyczącej Funduszu Kościelnego, ale tu nawet wewnątrz koalicji są różnice, więc Duda ma jeszcze czas na samookreślenie.

– Jeśli prezydent będzie zaangażowany w proces legislacyjny, jeśli będzie pokazywał własne pomysły, może zacząć kształtować w swym elektoracie obraz państwowca, w kontraście do rozkrzyczanego prezesa PiS – uważa Marcin Duma. – To mogłoby doprowadzić do podziału ról w Zjednoczonej Prawicy. Jedno skrzydło obsługiwałoby radykałów, drugie miałoby „ludzką twarz" Dudy, z potencjałem do szukania poparcia bliżej centrum sceny.

Niezwykle ważnym kapitałem Andrzeja Dudy są jego relacje międzynarodowe. Tutaj nie zaliczył większych wpadek, może poza brakiem gratulacji dla Joe Bidena po wyborze na prezydenta USA – Duda był przecież wielkim fanem Donalda Trumpa. Tym niemniej są głosy, że najlepiej sobie radził w przeszłości, gdy u jego boku był Krzysztof Szczerski (który z lojalności odmówił nawet objęcia posady szefa MSZ), choć i później dzięki Kumochowi i Solochowi wypracował początkowo świetne relacje z Wołodymyrem Zełenskim.

Ukraiński refleks

Dowodem lepszego zrozumienia niuansów międzynarodowych (co znacznie różni Dudę od wierchuszki PiS) jest sprawa lex TVN. Ustawę zawetował pod wpływem Szczerskiego i Mastalerka, którzy doradzali mu, by nie rujnował podpisem relacji z USA, gwarantem naszego bezpieczeństwa. Prezydent się wahał, ale ustawę zawetował, czym zaskoczył też wielu swoich przeciwników. Jeszcze bardziej byli zadziwieni, jak godnie się zachował i jakim refleksem wykazał tuż po ataku Rosji na Ukrainę, gdy wielu światowych liderów postawiło na Kijowie krzyżyk. A nawet wcześniej, bo przecież na miesiąc przed inwazją przez dwa dni gościł w Wiśle Zełenskiego.

> Gdy Duda poczuł, że Zełenski uważa się już za gracza światowego formatu, zdystansował się od niego, bo nie chciał występować w roli asystenta. W zasadzie znudził się też samą wojną.

– Zaprosił go za namową znającego dobrze sprawy wschodnie i mówiącego po ukraińsku Jakuba Kumocha. Zrobił to, mimo że próby dogadywania się z poprzednim prezydentem Ukrainy były dla niego ogromnym rozczarowaniem – opowiada Zbigniew Parafianowicz, autor wydanej niedawno książki „Polska na wojnie". Duda pierwszy raz, oficjalnie, spotkał się z Poroszenką w Kijowie w 2015 r. Słuchał z jego ust frazesów o strategicznej współpracy, a gdy padł pomysł wprowadzenia do ukraińskiego rządu Polaka, Poroszenko się zgodził. Po czym uznał, że najlepszym wyborem będzie... Leszek Balcerowicz. Był to okropny policzek dla PiS, ale zarazem kolejny rozdział w grubej książce rozczarowań polskich prezydentów wobec Ukrainy.

– Duda też zdawał sobie sprawę, że z drugiej strony może liczyć głównie na polityczne cwaniactwo, więc podczas zakrapianych alkoholem spotkań w Wiśle nie tyle zaprzyjaźnił się z Zełenskim, co wszedł w „projekt przyjaźń". Wbrew temu, co sądzą jego przeciwnicy, Duda ma jednak instynkt, przecież dwa razy wygrał wybory. Gdy poczuł, że Zełenski uważa się już za gracza światowego formatu, zdystansował się od niego, bo nie chciał występować w roli asystenta. W zasadzie znudził się też samą wojną – opowiada Parafianowicz, podkreślając przy tym, że prezydent nie popełnił w sprawie Ukrainy radykalnych błędów. W pewnym momencie po prostu uznał, że władzom w Kijowie nasza przyjaźń potrzebna jest tak długo, jak długo jesteśmy w stanie przekazywać im broń.

Zdaniem Parafianowicza Ukraińcy uznali, że lotniczy hub w Rzeszowie to nie tyle polskie terytorium i polski projekt, co baza NATO, jak ta w Ramstein, więc nie my tu decydujemy. Skłócona z Brukselą Polska nie miała też wielkiej mocy sprawczej w porównaniu z Francją czy Niemcami, więc Zełenski przeorientował się na Berlin, choć ten na początku wojny nie okazał Kijowowi żadnej solidarności. Zapewne sytuacja mogłaby być inna, gdyby o polityce wobec Europy decydował w Polsce nie Kaczyński, ale sam Duda, którego najbliżsi ludzie (Kumoch i Soloch) zdawali sobie sprawę, iż bez wygaszenia konfliktu z najważniejszymi państwami UE nie mamy szans na bycie silnym graczem. Z drugiej strony ludzie Dudy uważali, że dla Niemiec Polska jest z założenia nieakceptowalna jako lider wschodniej Europy.

Koniec przyjaźni

Ważnym czynnikiem w zakończeniu „projektu przyjaźń" była też atmosfera w Kancelarii, w której zaczęły się konflikty, głównie między Mastalerkiem i Kumochem, który ostatecznie przegrał. Jednocześnie Duda nigdy nie wystąpił publicznie przeciwko Zełenskiemu, zachowując spokój nawet po tym, jak Ukraińcy próbowali zrzucić na Rosję winę za upadek w Przewodowie ich rakiety, która zabiła dwóch polskich obywateli – i do dziś nie przeprosili za tę tragedię. To było dla Dudy jedynie potwierdzenie, jak instrumentalnie traktuje nas Kijów, dlatego nie rozczarowała go potem sztywna postawa Zełenskiego przy okazji kryzysu zbożowego oraz jego oskarżenia, że swoją postawą pomagamy Rosji. Wtedy zresztą już kontakty z władzami ukraińskimi wziął na siebie rząd Mateusza Morawieckiego, Duda zaś skupił się bardziej na USA i przekonywaniu ekipy Bidena, że Polska jest wiarygodnym sojusznikiem, godnym najwyższych gwarancji bezpieczeństwa.

Właśnie w sprawach międzynarodowych będzie największe pole do współ-

pracy, a więc także potencjalnych konfliktów z rządem Donalda Tuska. Przebieg pierwszego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego 20 grudnia daje jednak nadzieję. – Jest szansa na wyznaczenie pewnych ram współdziałania w polityce wschodniej i sprawach bezpieczeństwa. Prezydent będzie oczekiwał rozbudowy polskiej armii, kontynuacji wzmacniania naszego bezpieczeństwa i odstraszania Rosji. Oczekuje też podtrzymania formuły, że to on reprezentuje Polskę na forum NATO i ONZ, a premier w Radzie Europejskiej – mówi obecny poseł PiS Marcin Przydacz, ale zarazem przypomina, że jeśli chodzi o relacje z UE, nowa ustawa kompetencyjna dała prezydentowi większy wpływ na obsadę stanowisk związanych z naszą prezydencją w 2025 r. Obie strony mają więc arsenał groźnej broni.

Byli współpracownicy prezydenta spokojniejsi są o relacje z wicepremierem i szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, z którym Duda zna się jeszcze z Krakowa, natomiast trudności spodziewają się w relacjach z szefem MSZ Radosławem Sikorskim, no i przede wszystkim – z Tuskiem.

– Pan prezydent był w latach 2008-10 ministrem w Kancelarii Prezydenta i bardzo dobrze pamięta, jak wobec śp. Lecha Kaczyńskiego zachowywał się ówczesny premier Donald Tusk. Było to niszczące dla prestiżu prezydenta Rzeczypospolitej, ale także niszczyło wizerunek Polski na arenie międzynarodowej. Nie mam więc oczekiwań wobec premiera Tuska, również po sposobie, w jaki przejął media publiczne: siłą i nielegalnie. Nie można od tego faktu abstrahować – mówi Paweł Szrot, obecnie poseł PiS.

Tusk zapowiedział co prawda, że nowy ład medialny większościowa koalicja będzie chciała przygotować przy udziale prezydenta, ale zdaniem posła Przydacza dziś będzie to trudniejsze niż przed decyzjami ministra Sienkiewicza.

W interesie Tuska

Mimo że nowa koalicja usilnie wpycha Dudę w ramiona PiS, to w końcówce pobytu w Pałacu może on zawalczyć o to, by stać się prezydentem większej części polskiego społeczeństwa niż tylko elektoratu prawicy – sam fakt, że zdobył ponad połowę głosów w obydwu wyborach, daje mu mocną pozycję wyjściową.

> Być może Zjednoczona Prawica ulegnie tak dużej fragmentacji, iż Dudzie z jego miękkim charakterem nie będzie się chciało walczyć o leżącą w błocie, poharataną buławę.

Paweł Musiałek podkreśla, że Duda ma świadomość, iż został przez Kaczyńskiego wmanewrowany w rodzaj „brudnej wspólnoty", naznaczonej różnymi grzechami, więc naturalne jest, że dziś pewnych błędów już nie popełni, gdyż dojrzał. Kłopot w tym, że przy obecnym natężeniu walki politycznej obóz anty-PiS nie reaguje na sygnały świadczące o rosnącej prezydenckiej autonomii, tylko uparcie traktuje Dudę jak „długopis" Kaczyńskiego. Nowa większość jest na fali i nie widzi powodu, by w obliczu trzech kolejnych wyborów (samorządowych, europejskich, prezydenckich) obniżać temperaturę sporu z Dudą. Dodatkowo wetujący ustawy prezydent będzie wygodnym adresem, na który można zwalać winy za własne porażki.

– W interesie Tuska nie jest wzmacnianie Dudy i dogadywanie się z nim. To dlatego przy sporze o media publiczne nawet nie podjęto próby kompromisu z prezydentem. A przecież nawet po wecie do ustawy okołobudżetowej deklarował, że jego celem jest powrót do sytuacji prawnej z 2015 r. Duda nie bronił, jak PiS, Rady Mediów Narodowych. Inna sprawa, że już stawiając weto powinien zaproponować konkretne rozwiązania, np. przywracające decydujący wpływ KRRiT na media publiczne – uważa prezes Klubu Jagiellońskiego.

Musiałek zakłada, że z przewidywanych dwóch pól konfliktów, gdzie Duda ma duże ustrojowe kompetencje, armia będzie mniejszym problemem [o sądownictwie – patrz ramka na str. 15]. Powołanie na stanowisko szefa MON Kosiniaka-Kamysza to krok koncyliacyjny, dobry w obliczu wojny za naszą wschodnią granicą. Gorzej z pomysłem postawienia znanego z trudnego charakteru Radosława Sikorskiego w roli szefa MSZ. Zachodzące na siebie kompetencje, zwłaszcza w związku z nowym prawem, dającym prezydentowi możliwość blokowania rządowych kandydatur na ważne stanowiska unijne, rodzą obawy o ciągłe awantury w kwestii polityki europejskiej.

Jednak choć kohabitacja wydaje się bardziej komfortowa dla Dudy, musi on pamiętać, iż rząd posiada wiele instrumentów, by szkodzić prezydentowi. Może obciąć budżet jego Kancelarii, może wymienić ekipę Służby Ochrony Państwa albo odmówić użyczenia samolotu pod byle pretekstem. Tusk może obejść nawet blokadę nominacji nowych ambasadorów. Wystarczy wezwać obecnych na konsultacje do Warszawy i wyznaczyć zastępców do kierowania placówkami.

Oprócz możliwych pól walki w polityce międzynarodowej i bezpieczeństwie, gdzie prezydent ma szerokie kompetencje, są jeszcze kwestie ideologiczne: związki partnerskie, aborcja i plany likwidacji Funduszu Kościelnego. Byli współpracownicy Dudy spodziewają się, że będzie tu postępował zgodnie z linią najbardziej konserwatywnego skrzydła koalicji rządowej, czyli PSL, wzmacniając je kosztem Koalicji Obywatelskiej. Stąd należy oczekiwać sprzeciwu wobec radykalnej formuły związków partnerskich czy liberalizacji aborcji. Braku weta wobec ustawy o refundacji *in vitro* nie należy postrzegać jako przejawu niekonsekwencji – było to po linii PSL, a zarazem odpowiadało poglądom zdecydowanej większości społeczeństwa.

■■■

Na jaki scenariusz zdecyduje się ostatecznie Andrzej Duda? Czy ma już dziś plan, czy też woli poczekać na rozwój sytuacji? Paweł Szrot uważa, że sytuacja jest dla niego komfortowa.

– Prezydent ma wspaniały zawód, jest prawnikiem i wykładowcą akademickim. Może pracować też jako adwokat. Ma więc perspektywy, jakich niemal każdy prawnik mógłby mu pozazdrościć – uważa poseł PiS. Inny dawny współpracownik Dudy dodaje: – A może prezydent nie ma żadnego planu? Może wystarczy mu bycie byłym prezydentem? Spokojna emerytura bez nagłych stresów, stabilna pensja, czasem jakiś odczyt za granicą. Tak naprawdę można szczęśliwie żyć.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC, PIOTR ŚMIŁOWICZ

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Los musi się spełnić

Czy mamy mojra [hebr. mora – bojaźń, jid. *mojre*] przed Mojrą (boginią losu)? Nawet jeśli z gruntu odrzucamy predestynację, wymyka nam się czasem sakramentalne „co ma wisieć, nie utonie". Rabinom w Talmudzie też się to zdarza, tylko nazywają to inaczej – za pomocą fragmentu wersu: „[Jest zło, którem widział pod słońcem] jako błąd, który wyszedł od władcy" (Koh 10, 5; Cylkow). W Biblii dekretu króla – również Najwyższego – nie sposób odwołać, słowa wypowiedziane przez osobę sprawiedliwą także się spełnią. Tak oto Praojciec Jakub nieświadomie skazuje swoją ukochaną żonę na przedwczesną śmierć, deklarując poszukującemu swoich skradzionych larów i penatów teściowi: „Ten zaś, u którego znajdziesz bogi twoje, żyć nie będzie" (Rdz 31, 32; zob. „TP" nr 49/2023). Zanim jednak Jakub ożeni się ze swoją stryjeczną siostrą Rachelą, ucieknie do wuja po podstępnym przejęciu pierworództwa od swojego brata bliźniaka. Zaniepokojona matka, świadoma morderczych planów pałającego gniewem Ezawa, nakaże Jakubowi, by tymczasem schronił się u wuja: „czemuż mam być pozbawioną obu was [czyli obu synów] dnia jednego!" (Rdz 27, 45).

Czy możemy przeczytać w Biblii o jednoczesnej śmierci bliźniaków? Bynajmniej, ale skoro myśl już zakiełkowała, niewątpliwie jest w zanadrzu midrasz potwierdzający sugerowaną wersję wydarzeń. Mówi o tym Talmud: mimo że ich śmierć nie wydarzyła się jednego dnia, to ich pogrzeb owszem. Jak do tego doszło? Przypomnijmy: ostatnie siedemnaście lat swojego życia Jakub spędził w Egipcie wraz ze swoimi potomkami. Gdy poczuł, że zbliża się śmierć, poprosił synów, by pochowali go nie w Egipcie, lecz w rodzinnym grobie w Hebronie.

Po śmierci Patriarcha został zabalsamowany i gdy w Egipcie dobiegła końca żałoba po nim, kondukt pogrzebowy wyruszył do Kanaanu. Jak odnotowuje Biblia, autochtoni odnieśli się do ceremonii żałobnych ze szczególną atencją (zob. Rdz 50, 11). Według wersji midraszu pochodzącej z Talmudu Babilońskiego, do konduktu w Kanaanie dołączyli „synowie Ezawa, synowie Izmaela i synowie Ketury", słowem – potomkowie Abrahama i Izaaka z bocznych gałęzi drzewa genealogicznego. Również oni okazali szacunek zmarłemu, jedynie Ezaw począł czynić obstrukcję. Twierdził mianowicie, że ostatnie wolne miejsce w jaskini Machpela należy do niego jako również syna Izaaka – przedostatnie wykorzystał Jakub, chowając tam Leę. Wywiązała się dyskusja prawna, której kres położył Chuszim, syn Dana (zob. Rdz 46, 23). Był osobą niesłyszącą i z zawirowania zrozumiał tyle, że Ezaw utrudnia pogrzeb. Stając w obronie honoru dziadka, skrócił Ezawa o głowę. Jakub i Ezaw zostali pochowani jednego dnia i tak spełniło się mimowolne proroctwo Pramatki Rebeki. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
A jednak się zmienia

Twierdzenie, że Słońce stoi w miejscu, a Ziemia kręci się wokół niego, przeczy zdrowemu rozsądkowi, a z filozoficznego i teologicznego punktu widzenia jest nonsensem i herezją. Z tego też powodu Galileo Galilei w r. 1616 stanął przed trybunałem Świętego Oficjum i został skazany na dożywotni areszt domowy. Legenda mówi, że uczony, ratując życie, wyparł się swoich (i nie tylko) heretyckich twierdzeń, ale ratując duszę, szeptem dodał: „A jednak się kręci". Tenże uczony heretyk okazał się prorokiem. Przestrzegał przeciwników, że przyjdzie czas i oni zajmą jego miejsce. I rzeczywiście, w r. 1882 Święte Oficjum zakazało zwolennikom geocentryzmu głoszenia takich poglądów. Co się takiego stało, że na przestrzeni 266 lat to, co było prawdą, zapachniało herezją i odwrotnie? A dzisiaj?

Dzisiaj, po opublikowaniu deklaracji „Fiducia supplicans", obserwujemy podobne zjawisko. Jedni ten dokument widzą jako heretycki, gdyż oderwany od „odwiecznej tradycji", drudzy jako natchniony przez Ducha Chrystusa, głęboko zakorzeniony właśnie w tradycji. Ci pierwsi, chcąc się dowiedzieć, co dzisiaj „Duch mówi Kościołowi", patrzą wstecz, drudzy przeciwnie, też patrzą za siebie, ale przede wszystkim na to, co się dzieje tu i teraz, i z tego dzisiaj usiłują wyczytać, co już dzisiaj mają robić, z czym i do kogo posyła ich Duch Boży, żeby jutro było bardziej ludzkie. Nic to nowego.

Jan Ewangelista Pierwszy List pisał w czasach ostrego kryzysu wczesnego Kościoła. Poszło o Jezusa: kim On jest? Mesjaszem, Bogiem, tylko człowiekiem, prorokiem? Jan stara się pokazać, że jest On tym wszystkim. „Jezus Chrystus, / Jest tym, / Który przeszedł /Przez Wodę / i Krew, / Ale nie tylko w samej Wodzie, / Ale w Wodzie i w Krwi. / / A Duch jest tym, / Który świadczy, / Albowiem Duch jest Prawdą. // A Duch / I Woda / I Krew / To są owi trzej, / Którzy świadczą, / A ci trzej / To Jedność!" – przekład Romana Brandstaettera. Wodę, Krew i Ducha można odczytać jako symbole życia cieśli Jezusa z Nazaretu, syna Maryi i cieśli Józefa. To, mówiąc za Karlem Rahnerem, Jego „świeckie życie" działo się w krwi i wodzie, czyli w czasie i przestrzeni, i jednocześnie działo się w Duchu, było i jest przestrzenią działania Boga.

W rezultacie nie ma już ziemi i nieba, sacrum i profanum. Jest Jedność, gdyż dzieje świata stają się dziejami Boga. Stąd i nasze życie, jako dzieci Boga, biegnie tym samym torem i z konieczności wychylone jest w kierunku przyszłości. Dlatego z życiem jest jak z jazdą autem na biegu wstecznym przy zaciągniętym hamulcu – nawet przy użyciu świateł postojowych i lusterek daleko zajechać się nie da. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
W Rodzinie

Zdumiało mnie w Niedzielę Najświętszej Rodziny, że dwa pierwsze czytania liturgii mszalnej (z Księgi Rodzaju i Listu do Hebrajczyków) poświęcone były Abrahamowi. Zdumienie przeszło w uwielbienie, gdy uświadomiłem sobie, że ostatecznie potomkiem obiecanym Abrahamowi jest Jezus Chrystus (zob. Ga 3, 16). W Jezusie zaś wszyscy stajemy się potomkami i dziedzicami Abrahama, członkami jednej Rodziny.

Kiedy więc przyglądamy się Najświętszej Rodzinie: Jezusowi, Maryi i Józefowi – nie odnosimy się do jakiejś „zewnętrznej" wspólnoty, „zewnętrznego" punktu odniesienia. Jesteśmy w jednej i tej samej Rodzinie. I właściwe pytanie brzmi: czy dobrze nam z nią? Czy dobrze się w niej czujemy?

Odpowiedź mogłaby wydawać się oczywista: tak.

Może jednak warto zatrzymać się i zamyślić przed jej udzieleniem... Spróbujmy zmierzyć się jedynie z dwiema kwestiami podpowiedzianymi przez Ewangelię.

Pierwsza: Święta Rodzina to osoby najuboższe z ubogich. Świadczy o tym składana przez nie ofiara towarzysząca przedstawieniu Jezusa w świątyni. Łukasz wyraźnie napisał, iż „mieli złożyć w ofierze parę synogarlic albo dwa młode gołębie" (Łk 2, 24). Prawo (Kpł 12, 8) wymagało przy tej okazji ofiary z baranka i gołębia; zostawiając jedynie najuboższym możliwość zastąpienia baranka drugim gołębiem. Maryja i Józef pokazują się więc naszym oczom jako ludzie radykalnie ubodzy – radykalnie, to znaczy z wyboru, a nie z przykrego dopustu losu. Jak my się czujemy przy tych „ubogich krewnych"? Z naszymi ambicjami, aspiracjami, pożądanym poziomem życia i własności? Czy ich wybory i decyzje nas zawstydzają? Czy może odwrotnie – to my się wstydzimy mówić o nich właśnie jako tych, którzy wybrali ubóstwo jako styl życia?

I motyw drugi: „wrócili do Nazaretu. Dziecię zaś rosło i nabierało mocy, napełniając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim". To bardzo piękne: że łaska Boża napełniała Jezusa w Jego domu rodzinnym. Wiemy, że Święta Rodzina wędrowała do świątyni „co roku" – na Święto Paschy. Raz. A więc przestrzenią, w której Jezus na co dzień doświadczał Boga, był dom w Nazarecie.

Czy to jest prawda również o naszych domach? W naszych świątyniach otaczamy stoły, które są święte (ołtarz). A nasze stoły w domach: w kuchni, w jadalni – nie są święte? Bogu nic do nich? Mamy w naszych kościołach święte naczynia (kielich, patena). A nasze kubki w domach, kielichy, talerze? Nasze posiłki w domach mają jakikolwiek wymiar Boży? Modlimy się przed nimi? Po nich? Szerzej: kościół to miejsce święte! A nasza sypialnia?

Czy radykalne rozdzielenie tego, co „święte", od tego, co „świeckie" i „nasze" – może przystawać do stylu życia zadanego całej naszej Rodzinie przez Jezusa, Maryję i Józefa? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (14 – 21 I)

2. niedziela zwykła: 1 Sm 3, 3b-10. 19; Ps 40; 1 Kor 6, 13c-15a. 17-20; J 1, 35-42;
Poniedziałek: 1 Sm 15, 16-23; Ps 50; Mk 2, 18-22;
Wtorek: 1 Sm 16, 1-13; Ps 89; Mk 2, 23-28;
Środa: 1 Sm 17, 32-33. 37. 40-51; Ps 144; Mk 3, 1-6;
Czwartek: 1 Sm 18, 6-9; 19, 1-7; Ps 56; Mk 3, 7-12;
Piątek: 1 Sm 24, 3-21; Ps 57; Mk 3, 13-19;
Sobota: 2 Sm 1, 1-4. 11-12. 19. 23-27; Ps 80; Mk 3, 20-21;
3. niedziela zwykła: Jon 3, 1-5. 10; Ps 25; 1 Kor 7, 29-31; Mk 1, 14-20.

Po zjednoczeniu z wolą Bożą człowiek wewnętrzny trwa nieporuszenie, a człowiek zewnętrzny jest w ruchu tu i tam.

FRANKFURTCZYK

Sztuka przerzucania mostu pomiędzy zewnętrznym i wewnętrznym jest cenna, lecz znana nielicznym.

HAZRAT MUDŻNUDIN CZISZTI

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

BYŁ SOBIE PRACOWNIK

Zapowiada się wyjątkowo udany rok dla tych, którzy szukają pracy. I zarazem niezwykle trudny – dla tych, którzy chcieliby kogoś zatrudnić.

MAREK RABIJ

Ekonomiści Konfederacji Lewiatan raczej nie kojarzą się opinii publicznej jako piewcy podwyżek wynagrodzeń oraz praw pracowniczych. Tym większym zdziwieniem mogła więc owocować lektura pierwszego tegorocznego komunikatu Lewiatana, w którym jego specjaliści okrzyknęli rozpoczynający się 2024 rokiem pracownika.

„Polska weszła w fazę rozwoju, w której nie bezrobocie, ale brak pracowników staje się strategicznym problemem" – sygnalizują autorzy, zaznaczając przy tym, że polska gospodarka potrzebuje obecnie dodatkowo około 1,2 mln cudzoziemców, aby „w perspektywie 2024 i kolejnych lat była w stanie nadążać za potrzebami produkcyjnymi i dynamicznym rozwojem usług".

Lewiatan nie pozostaje w tym apelu odosobniony. W trakcie grudniowego spotkania gwiazdkowego przedstawicieli największych polskich firm z branży spożywczej padały ostrzeżenia, że część z nich nie zdoła przeprowadzić planowanego zwiększenia mocy produkcyjnych z braku chętnych do pracy. Niektóre firmy liczą się nawet z tym, że luki kadrowe wymuszą na nich zmniejszenie produkcji.

Co takiego wydarzyło się na polskim rynku pracy, że pracodawcy, którzy przez lata niepodzielnie rozdawali na nim karty, dziś ustawiają się w pośredniakach i agencjach pracy niemal jako petenci?

Dobrze, choć nie beznadziejnie

Firma doradcza Hays Poland przeprowadziła pod koniec ub. roku ankietę, z której wynika, że aż 90 proc. firm w Polsce planuje w tym roku zwiększenie zatrudnienia, żeby wykorzystać zapowiadane odbicie po zeszłorocznym spowolnieniu dynamiki PKB. Komisja Europejska ostrożnie prognozuje, że gospodarka Polski, która w 2023 roku rosła w tempie zaledwie 0,6 proc., w tym roku przyspieszy do 1,3 proc. Jeszcze dalej idą w obliczeniach analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego, zdaniem których PKB Polski urośnie do końca 2024 roku o 2,3 proc. Biorąc pod uwagę jego rachityczną ubiegłoroczną dynamikę, szacowaną przez PIE na zaledwie 0,3 proc., oznaczałoby to już wyraźne przyspieszenie, choć to oczywiście wciąż niewiele w porównaniu z tempem, w jakim Polska bogaciła się chociażby w roku 2021, gdy PKB urósł aż o 6,8 proc.

Zdaniem Jakuba Rybackiego, szefa zespołu makroekonomii w PIE, głównym motorem wzrostu polskiej gospodarki będą w tym roku wydatki gospodarstw domowych, wreszcie uwolnione spod ciężaru bardzo wysokiej inflacji. Pomiędzy marcem a grudniem ub. roku jej dynamika wyhamowała z 18,6 do 6,1 proc. W najbliższych miesiącach ceny w sklepach będą nadal rosnąć szybciej, niż życzyłby tego sobie Narodowy Bank Polski, którego celem ustawowym jest inflacja na poziomie zaledwie 2,5 proc., ale zdaniem ekspertów Polskiego Instytutu Ekonomicznego nie powinny one w skali roku przeskoczyć powyżej 5,1 proc.

Inflacja w Polsce pozostanie zatem dostatecznie wysoka, żeby z jednej strony jednak nieco upośledzać wydatki gospodarstw domowych, z drugiej zaś tworzyć presję płacową – czyli zmuszać pracujących do domagania się podwyżek. Na szczęście dla rodzimych firm bilans popytu i rosnących kosztów pracy będzie nadal dodatni.

Siła nabywcza polskich konsumentów rośnie nieprzerwanie mniej więcej od połowy zeszłego roku. W czwartym kwartale 2023 r., jak wynika ze wstępnych kalkulacji GUS, wynagrodzenia wzrosły o niemal 11 proc. w porównaniu do tego samego okresu rok wcześniej. Za to inflacja, która pod koniec 2022 r. przebiła pułap 11 proc., rok później okazała się już niemal dwa razy wolniejsza. Tak duże dysproporcje tempa wzrostu płac i cen nie są jednak typowe dla okresów gospodarczej stagnacji, dlatego ekonomiści spodziewają się, że karuzela podwyżek w polskich firmach będzie stopniowo hamować.

Ten trend widać już nawet w ankietach, które NBP przeprowadza cyklicznie wśród krajowych przedsiębiorców. W czwartym kwartale ub. roku odsetek firm, które zapowiadały podniesienie płac, spadł w porównaniu z poprzednim kwartałem z 43,1 do 37,6 proc. Na dodatek większość pracodawców przewiduje, że będzie w stanie pozwolić sobie na podwyżki rzędu najwyżej 9-11 proc., co po odjęciu inflacji da realny wzrost polskich wynagrodzeń na poziomie zaledwie 5 proc. A to może okazać się za mało, żeby powstrzymać najwartościowszych pracowników przed zmianą miejsca pracy lub, przeciwnie, podkupić ich konkurencji. Czy też – przechodząc już z poziomu kadrowych kłopotów firm na poziom wyzwania, jakimi są dla naszej gospodarki niepokojące trendy demograficzne – do nakłonienia pracujących za granicą Polaków, aby przemyśleli przeprowadzkę do kraju. Przy bezrobociu na poziomie 5,5 proc. poza rynkiem pracy pozostają właściwie tylko osoby bez żadnych kwalifikacji lub niemogące pracować. W dodatku będzie już tylko trudniej.

Jakub nie zastąpi Andrzeja

W 2022 r. w Polsce przyszło na świat 305 tys. dzieci – najmniej od zakończenia drugiej wojny światowej. Pierwsze prognozy za rok ubiegły zapowiadają pogłębienie spadku liczby urodzin do około 272 tys. W odniesieniu do rynku pracy termin „tsunami" jest systematycznie nadużywany, ale w kontekście tego, co powyższe liczby oznaczają dla naszej gospodarki, trudno o trafniejsze określenie.

Tylko w latach 2020-29 liczba aktywnych zawodowo mieszkańców Polski stopnieje o blisko milion. W roku 2040 będzie ich aż o 2,3 mln mniej niż obecnie. Ale już dziś w niektórych sektorach gospodarki dotkliwym problemem staje się brak odpowiedniej liczby rąk do pracy. Jak podaje GUS, w trzecim kwartale ub. roku średnio w co dwudziestej polskiej firmie na liście kadr widniały nieobsadzone etaty. Łącznie liczba wolnych stanowisk pracy w trzecim kwartale 2023 r. przekroczyła 111 tys. i była o ponad 24,3 tys. mniejsza niż rok wcześniej. W oczekiwaniu na wywołane przez inflację spowolnienie, może nawet recesję, firmy już pod koniec 2022 r. zaczęły likwidować wakujące stanowiska.

Dziś najwięcej wakatów utrzymuje się w transporcie, usługach magazynowych oraz w przetwórstwie przemysłowym, a gdy definicję rynku pracy rozszerzyć o sektor publiczny – także w opiece medycznej, która cierpi na chroniczny brak pielęgniarek. W połowie ubiegłego roku w ankiecie dla NBP niemal 35 proc. polskich firm sygnalizowało problem ze znalezieniem odpowiednich kandydatów na wakujące stanowiska. Specjaliści od rynku pracy coraz częściej mówią wręcz o luce generacyjnej wśród tzw. *blue collars*, czyli przedstawicieli profesji produkcyjnych, zwłaszcza tych związanych z pracą fizyczną. ↦

Ulica Towarowa w Warszawie, maj 2019 r.

ARKADIUSZ ZIÓŁEK / EAST NEWS

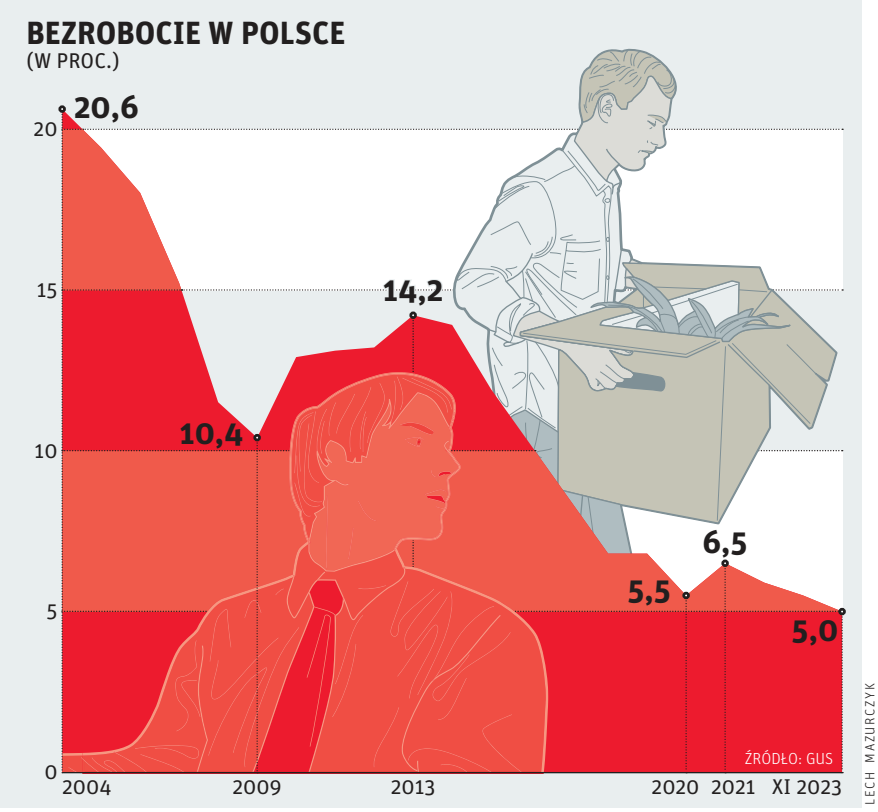

W pokoleniu wchodzącym na rynek pracy kompetencje powszechne jeszcze wśród tych, którzy karierę zawodową zaczynali trzy dekady wcześniej, coraz częściej należą do rzadkości. Brakuje na przykład absolwentów szkół zawodowych z uprawnieniami spawacza. Prawo jazdy na ciężarówkę? Mężczyźni urodzeni w latach 70. zeszłego stulecia, gdy najpopularniejszym męskim imieniem był Andrzej, często otrzymywali je w trakcie zasadniczej służby wojskowej. „Generacji Jakubów" – od najczęściej nadawanego imienia w roku 2000 – państwo nie zaoferowało nawet takiej możliwości. Nie mniej istotna jest też głęboka zmiana postrzegania przez młode pokolenie samej wartości pracy. Perspektywa ośmiu godzin dziennie spędzonych na wyczerpującym, a przy tym nisko płatnym zajęciu dla większości millenialsów jest nie do przyjęcia.

– Już nie tylko Polaków, ale także Ukraińców trudno dzisiaj przekonać do pracy w przetwórniach mięsa czy ryb – rozkłada ręce Tomasz Dudek, dyrektor zarządzający agencji zatrudnienia Otto Work Force Central Europe.

Opcja wschodnia

Lekarstwem na problemy kadrowe naszego rynku pracy była do niedawna emigracja zarobkowa z Ukrainy. Po 24 lutego 2022 r. Kijów zakazał jednak (z nielicznymi wyjątkami) opuszczania kraju pełnoletnim mężczyznom do 60. roku życia – czyli *de facto* wszystkim Ukraińcom w wieku produkcyjnym. Wielu wróciło na wschód bronić ojczyzny. W efekcie doszło do diametralnej zmiany miejsca zajmowanego na polskim rynku pracy przez pracowników z tego kraju. Do wybuchu wojny przeważali wśród nich mężczyźni zatrudnieni w budownictwie, transporcie i logistyce. Dziś niemal co drugi zatrudniony u nas obywatel tego kraju to kobieta pracująca w handlu lub usługach. Ale nawet ich zaczyna już brakować.

Na koniec października 2023 r. w bazie ZUS zarejestrowano **1,3 mln obcokrajowców** objętych ubezpieczeniami emerytalnymi i rentowymi.

Anna Sudolska ze szczecińskiej agencji zatrudnienia Idea HR Group: – W 2022 r. kadrowe problemy hotelarzy i restauratorów na Pomorzu pomagał rozwiązać napływ uchodźczyń z Ukrainy. W kolejnym sezonie około 70-80 proc. z nich nie podjęło ponownie pracy. Wróciły do kraju, wyjechały do Niemiec, ewentualnie znalazły inną pracę w Polsce.

Ostatni raport Platformy Migracyjnej EWL i Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego „Uchodźcy z Ukrainy w Polsce" pokazuje, że Polska nie przyciąga migrantów z Ukrainy argumentami natury finansowej. Głównym powodem wyboru naszego kraju jako miejsca schronienia przed wojną jest bliskość kulturowa (wskazało ją 36 proc. ankietowanych), posiadanie tu przyjaciół (27 proc.) lub rodziny (24 proc.), a także przyjazne nastawienie Polaków do obywateli Ukrainy (19 proc.).

Na koniec października ub. roku w bazie ZUS zarejestrowano niemal 1,3 mln obcokrajowców objętych ubezpieczeniami emerytalnymi i rentowymi. To o 13 tys. więcej niż we wrześniu i o ponad 61 tys. więcej niż pod koniec zeszłego roku. Przybysze z Ukrainy wciąż stanowią tutaj znamienitą większość, ale to nie ich przybywa teraz najszybciej. O wiele większą dynamikę widać w napływie obywateli Białorusi oraz krajów Azji Południowo-Wschodniej, głównie Indii. W ubiegłorocznych statystykach widać jednak jeszcze skutki ultraliberalnej polityki wizowej poprzedniego rządu, włącznie z pokłosiem słynnej afery wizowej (przypomnijmy, że pod adresem urzędników MSZ i polskich służb konsularnych padły w zeszłym roku poważne oskarżenia o handel wizami).

Tylko w ciągu osiemnastu miesięcy przed wybuchem afery Polska wydała łącznie ponad pół miliona wiz pracowniczych. W całym roku 2022 na nasz kraj przypadło aż 60 proc. wystawionych zezwoleń na podjęcie pracy w strefie Schengen. Trudno zatem wyobrazić sobie, by resort spraw zagranicznych pod kierownictwem Radosława Sikorskiego nie dokręcił teraz proceduralnej śruby choćby na jakiś czas, dla podkreślenia, że polską polityką wizową, ostro krytykowaną w innych krajach Unii, rządzą teraz inne priorytety.

MSZ już zapowiedziało, że placówki dyplomatyczne w pięciu państwach zweryfikują „możliwości prawne i faktyczne" dla zerwania umów z zewnętrznymi firmami, które wspomagały je w procedu-

rach wizowych. Dojdzie zapewne również do zmiany przepisów, które umożliwiały aplikowanie o polską wizę w kraju innym niż miejsce zamieszkania (przykładowo, konsulat w Indiach mógł przyjmować aplikacje przebywających tam Filipińczyków). Wprowadzając na szybko taką nowelę w grudniu 2020 r., na wniosek ówczesnego wiceministra Wawrzyka, rząd PiS znacząco zwiększył liczbę osób, które uzyskiwały prawo do podjęcia pracy na terenie Polski. Po zmianie przepisów droga po polską wizę pracowniczą stanie się na pewno dłuższa i trudniejsza, a to musi przełożyć się na choćby tymczasowy spadek liczby cudzoziemców przyjeżdżających do naszego kraju do pracy.

W cieniu, jaki afera wizowa rzuciła na naszą politykę migracyjną (o ile w ogóle można było o takowej mówić podczas ośmiu lat rządów PiS), w cudowny sposób nie znikną jednak wszystkie bolączki rodzimego rynku pracy. Nieobsadzonych stanowisk w niskopłatnych, ale niezbędnych dla rynku zawodach, powszechnie omijanych przez Polaków, będzie tylko przybywać.

W 2025 r. PKB Polski ma już rosnąć w tempie około 3,3-3,5 proc. – przy założeniu, że nowej ekipie rządzącej uda się odblokować miliardy euro z Krajowego Planu Odbudowy. Do 2030 r. – to już prognoza firmy doradczej PwC – nasza gospodarka ma cieszyć się wzrostem na średnim poziomie 2,5 proc. rocznie. W efekcie, jak szacuje prof. Marcin Piątkowski z Banku Światowego, na początku kolejnej dekady Polska osiągnie próg 80 proc. dochodu bogatych krajów UE.

Od dyskusji o otwarciu polskiego rynku pracy na przybyszów z odległych nam kulturowo obszarów zatem nie uciekniemy. Z góry też wiadomo, jaką pozycję zajmie w niej rządzące do niedawna PiS. Przechodząc do opozycji, partia Kaczyńskiego wraca do dobrze sobie znanej roli sygnalisty ostrzegającego przed ryzykiem utraty tożsamości, której grożą rzekomo masy migrantów. Pytanie, czy polscy wyborcy bardziej wystraszą się tej katastroficznej wizji, czy zatarcia silnika polskiej gospodarki, który bez cudzoziemców nie utrzyma wysokich obrotów.

©℗ MAREK RABIJ

Nie stać nas na tanie państwo

PIOTR WÓJCIK

W radości po końcu rządów PiS, które spychały nas w stronę autorytaryzmu, łatwo wyprzeć pytanie: a co, jeśli liberałowie nie pozbyli się wyobrażeń o państwie z kartonu?

Bezpardonowe przejęcie mediów publicznych przez nowego ministra kultury zrodziło też i takie komentarze, że Koalicja Obywatelska na razie odróżnia się od PiS głównie dobrymi relacjami z Unią Europejską i TVN. I rzeczywiście, gdy się spojrzy w przeszłość, łatwo dostrzec, że traktowanie prawa z przymrużeniem oka to dla naszych liberałów nie pierwszyzna. Przypomnijmy sobie, że problem „sędziów dublerów" w Trybunale Konstytucyjnym rozpoczął się od wybrania przez Platformę w 2015 r. pięciu sędziów, w tym dwóch bezprawnie – awansem. Wykorzystał to PiS, by po zmianie władzy cofnąć wybór także tych trzech wyłonionych prawidłowo, po czym bezpardonowo podporządkować sobie TK w całości.

Ruch Platformy sprzed lat stał się swoistym alibi dla PiS i zarazem usprawiedliwieniem dla dalszej destrukcji wymiaru sprawiedliwości. Obecnym przejęciem mediów publicznych na mocy sarmackiego „bo tak", bez podjęcia wcześniejszej próby zmiany ustawy albo składu Rady Mediów Narodowych, środowisko PO odkurzyło swoje własne, niedobre nawyki.

Nie ma z kim przegrać

Przy wszystkich różnicach obie największe partie w Polsce cierpią na podobną przypadłość – po zwycięskich wyborach są święcie przekonane, iż będą już rządzić zawsze. Zresztą, każde kolejne wybory są w Polsce opisywane jako „kluczowe", a czasem wręcz „historyczne", co wzmaga wszechobecną atmosferę ostatecznej rozgrywki. Każda kolejna elekcja jest traktowana jak finał walki o nadwiślańską demokrację, od wyniku którego zależeć będzie kształt Polski na wieki wieków. Nic dziwnego, że podczas kampanii wyborczych polscy politycy są w stanie powiedzieć niemal wszystko, bez oglądania się na konsekwencje. Zwycięstwo warte jest przecież sięgnięcia do przepastnych zasobów mrocznej natury człowieka, choć politycy oczywiście obiecują, że to tylko na chwilę. „Jak już wygramy, znowu będziemy mili i dobrzy".

Po zwycięstwie szybko się jednak okazuje, że ten stan bycia niedobrym trzeba troszkę przedłużyć, a potem jeszcze troszkę – przecież są kolejne instytucje do odbicia z autorytarnych rąk, trudne sprawy do załatwienia czy ustawy do przeforsowania. Jazdę po bandzie ułatwia poczucie, że właśnie odniosło się ostateczne zwycięstwo, po którym przeciwnik nie wróci już do władzy. Przecież to oczywiste: wszyscy wokół nas popierają, nie znam nikogo, kto głosowałby na tych drugich. Tyle że ci drudzy myślą podobnie.

Można więc przypuszczać, że do końca kadencji nowa większość sejmowa stworzy jeszcze niejeden precedens, który chętnie wykorzystają potem jej następcy. Mamy już przecież całkiem nowatorskie korzystanie z uchwał sejmowych (TVP, KRS), a w odwodzie jest jeszcze chociażby władanie państwem za pomocą rozporządzeń. Oczywiście, użytkownicy tych nowinek będą święcie przekonani, że takie działanie nie zwróci się przeciwko nim. Bo w jaki niby sposób? Przecież właśnie wygrali, a dzięki tym zmianom będą rządzić do końca świata.

„Nie ma z kim przegrać tych wyborów. Nie ma innej siły, której Polacy mogliby spokojnie powierzyć rządy" – stwierdził Donald Tusk w 2010 r., co dobrze oddaje pewność siebie Platformy w pierwszej erze sprawowania przez nią ↦

↦ władzy. Polscy liberałowie od lat są przekonani, że zwycięstwa wyborcze należą im się *a priori*, a pojawiające się czasem porażki to efekt błędnej decyzji elektoratu, który po prostu nie wie, co dla niego dobre.

Brak jednoznacznego planu działania w sprawie mediów przypomina również kolejną specyfikę rządów lat 2007-2015, czyli postępujące wówczas dziadostwo, np. w instytucjach publicznych. W sądach, urzędach, szpitalach czy uczelniach – sprzątaczki i ochroniarze pracowali za stawki nawet kilkukrotnie niższe od pensji minimalnej, gdyż byli masowo przenoszeni do firm zewnętrznych. W zamówieniach publicznych dominowało kryterium ceny, a niskie nakłady na poszczególne usługi publiczne były dla rządzących powodem do dumy. Przecież chodziło o to, żeby było tanio.

Państwo z kartonu

Nowa większość rozpoczęła kadencję od projektu ustawy o zamrożeniu taryf energii, do którego dorzucono kuriozalne przepisy liberalizujące zakładanie farm wiatrowych. Następnie poinformowano, że w sumie to nie wiadomo dokładnie, kto jest autorem najbardziej kontrowersyjnych paragrafów, jakby dopiski w ustawie znowu robił na szybko Marek Suski, a nie ktoś z „demokratycznej koalicji". Na koniec odpowiedzialna za ten projekt Paulina Hennig-Kloska została ministrą klimatu i środowiska. Czyżby wracało „państwo z kartonu", którego elit politycznych nie da się obciążać za błędy, gdyż po kilku miesiącach nie byłoby już kim obsadzać stanowisk?

Rozprawa z TVP nawet na poziomie czysto estetycznym wyglądała koszmarnie. Jeśli tak „elegancko" dokonano rozprawy z lejącą się przez osiem lat z ekranów propagandą PiS, to przejęcie władzy w NBP będzie zapewne przypominać skok na bank z serialu „Dom z papieru", ale w wykonaniu Gangu Olsena (choć to dotychczasowy przydomek ekipy Kaczyńskiego). Autorem wniosku o postawienie Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu jest przecież Ryszard Petru, istnieje więc duża szansa, że go zgubi, jak kiedyś własną partię.

> Lista rzeczy, które przerosły koalicję PO-PSL, była tak obszerna, że gdyby ministrom zaczęło się nie udawać docieranie do pracy, **to nikt specjalnie by się nie zdziwił.**

W latach 2007-2015 elity władzy były skażone niemożnością robienia czegokolwiek bardziej ambitnego lub skomplikowanego. Ministrowie specjalizowali się głównie w wyjaśnianiu, dlaczego coś jest niemożliwe, w czym prym wiedli premier Donald Tusk i minister Jacek „pieniędzy nie ma i nie będzie" Rostowski, który twierdził, że 500 plus po prostu rozsadzi budżet. Lista rzeczy, które przerosły ówczesną koalicję PO-PSL, była tak obszerna, że gdyby ministrom zaczęło się nie udawać nawet docieranie do pracy, to chyba nikt specjalnie by się nie zdziwił.

Rząd PO-PSL nie dawał więc rady zlikwidować np. procederu masowego wyłudzania VAT, a przez długi czas nawet problemu nie dostrzegał, chociaż polska luka w tym podatku była jedną z największych w Europie. Możliwości ówczesnego rządu przerosło również ograniczenie nadużywania umów cywilnoprawnych. Dzięki powszechnie stosowanym wtedy umowom-zleceniom masowo omijano przepisy o płacy minimalnej, co również było zbyt trudne do załatwienia dla ekipy Tuska, chociaż związkowcy przez lata pokazywali proste rozwiązanie, jakim było wprowadzenie minimalnej stawki godzinowej. Nie udało się także zaostrzyć niewaloryzowanych od lat mandatów drogowych ani wprowadzić pierwszeństwa pieszych na pasach – to ostatnie upadło w Senacie zaledwie jednym głosem Aleksandra Pocieja z... rządzącej PO. Oczywiście weto Senatu jest bardzo prosto odrzucić, wystarczy większość bezwzględna, ale to niestety również się nie udało.

Zbyt trudne okazało się też ograniczenie nielegalnego handlu paliwami oraz wyprowadzenie na prostą LOT-u, więc rozważano jego sprzedaż. Niekwestionowanym mistrzem imposybilizmu był jednak wspomniany już ówczesny główny księgowy RP Jacek Rostowski, który w całym okresie urzędowania niestrudzenie rozwiewał nadzieje innych ministrów na sensowny zastrzyk pieniędzy.

Przedsmak współczesnej odsłony tej niemocy mieliśmy podczas rozmów koalicyjnych, gdy Partia Razem postulowała wpisanie do umowy nakładów na znajdujące się w głębokim kryzysie budownictwo mieszkaniowe w wysokości ledwie 1 proc. PKB oraz solidne podniesienie wydatków na opiekę medyczną. Dla niedoszłych koalicjantów okazało się to zbyt ekstrawaganckie, więc Razem nie weszło do rządu. W sumie lewicowcy zostali tak naprawdę od rządu odsunięci, ale tak sprytnie, że oficjalnie była to ich decyzja, a nie reakcja na zlekceważenie ich postulatów.

Kto ma, będzie mu dodane

Nawiązywanie do zasady świętego Mateusza („Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma") było jednym z kluczowych elementów ówczesnego rządu koalicji PO-PSL. Jak na nowoczesnych wielkomiejskich liberałów przystało, PO wspierała zamożnych patrycjuszy, a dla mniej zamożnych miała w ofercie śmieciowe formy zatrudnienia, dzięki czemu tracili szanse, by starać się o kredyty na mieszkania. Nieprzypadkowo popularne było w tamtym czasie hasło „socjalizm dla bogatych, wolny rynek dla biednych", które może nie oddawało w pełni specyfiki ówczesnego systemu, ale odpowiednio uchwyciło jego ducha.

Najlepiej zarabiający mieli w tamtym czasie w Polsce prawdziwy raj podatkowy. Liniowy PIT 19 proc. w połączeniu z ryczałtowymi składkami NFZ i ZUS zapewniały im jedne z najlepszych warunków w Europie. Równocześnie opodatkowanie najniższych wynagrodzeń na umowie o pracę wyraźnie przekraczało średnią OECD. Dało się tego uniknąć za pomocą umów cywilnoprawnych

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia TOK FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Trzynasty dzień 1. posiedzenia Sejmu X kadencji. Warszawa, 21 grudnia 2023 r.

(o dzieło, zleceń), ale za cenę utraty stabilności zatrudnienia oraz podstawowych praw pracowniczych. Pracowników pozwalano też zatrudniać latami na powtarzających się umowach etatowych na czas określony, które miały krótki okres wypowiedzenia oraz odcinały od dostępu do pożyczek z banków. Słynna recepta prezydenta Bronisława Komorowskiego „zmień pracę, weź kredyt" – była dostępna tylko dla szczęściarzy.

Zamożnym sprzyjało też wiele innych elementów systemu. Pozbawiony podstawowych regulacji ważny segment rynku pracy zapewniał im dostęp do ekstremalnie tanich wykonawców drobnych usług (sprzątanie, opieka), których można było zatrudniać na stuprocentowo elastycznych umowach cywilnoprawnych. Infrastruktura transportowa również była tworzona pod osoby majętne i mieszkańców największych ośrodków. Największą inwestycją kolejową rządu PO-PSL był zakup składów szybkich pociągów Pendolino, które kursowały na kilku trasach między największymi aglomeracjami, nie zatrzymując się przy zdecydowanej większości mniejszych stacji po drodze. Nowych lokalnych tras kolejowych nie tworzono, a te autobusowe – likwidowano.

Hegemonia jednej partii

Środowisko polityczne polskich liberałów zdążyło nas przyzwyczaić do tego, by uważać na poglądy przez nich wypowiadane, gdyż zwykle czai się w nich haczyk. Najdobitniejszym przykładem takiej postawy było podniesienie wieku emerytalnego, chociaż podczas kampanii wyborczej w 2011 r. zapewniano Polki i Polaków, że nie ma takich planów. Ale skoro takie plany pojawiły się dopiero po wyborach, to w sumie gdzie tu niekonsekwencja?

Minął dopiero początek obecnej kadencji parlamentu, a politycy PO, mimo szeroko komentowanego przed wyborami przesunięcia „na lewo", które miało odebrać część głosów Lewicy – już zaczynają wracać na stare tory. Przyjęty przez nowy rząd przyszłoroczny projekt budżetu nie był zbyt efektowny, więc Donald Tusk podczas konferencji prasowej mimochodem poinformował, iż wydatki na opiekę medyczną w przyszłym roku wzrosną o 27 mld zł. Dzięki temu powstało wrażenie, że to wynik ostatnich ustaleń, chociaż skalę przyszłorocznego budżetu NFZ znamy już od lipca, a wzrost jest efektem wyłącznie większych wpływów ze składek. Mało tego, Koalicja Obywatelska zdążyła też poinformować na portalu X, że uruchomienie 800 plus od stycznia to realizacja... jednej z jej obietnic wyborczych. Nowa większość rządząca przypisała sobie zarazem zasługi za przyznanie Polsce 5 mld euro zaliczki z REPowerEU, chociaż decyzja Komisji Europejskiej w tej sprawie była odpowiedzią na wniosek rządu PiS z sierpnia i było niemal pewne, że niezależnie od wyniku wyborów pod koniec roku te pieniądze i tak zostałyby Polsce przyznane.

W kwestii pierwszego, „przedlikwidacyjnego" scenariusza odbicia TVP z rąk pisowców i ustanowienia nowych władz KO już się nawet nie bawiła w jakieś sprytne niuanse. „Wszystkie głosy, które zarzucają nieprawidłowość tego powołania, tak naprawdę są głosami ludzi, którzy stworzyli ten mechanizm zła, są wściekli, są źli" – stwierdził Bartłomiej Sienkiewicz. W ten sposób minister kultury postawił w jednym szeregu Michała Rachonia i Miłosza Kłeczka z TVP Info oraz szanowanego konstytucjonalistę prof. Ryszarda Piotrowskiego, a także Marcina Szweda, prawnika z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Przez ostatnie lata PiS przyzwyczaił nas do hegemonii jednej partii. I choć środowisko PO nigdy nie chciało tak bezpośrednio podporządkowywać sobie Polaków, to jednak od lat ma też skłonność do wprowadzania hegemonii ideologicznej. Tusk toleruje lewicowców i prawicowców pod warunkiem, że zawierają w sobie odpowiednio wysoki procent liberalizmu. Umiarkowana socjaldemokracja czy konserwatyści w rodzaju Jarosława Gowina jeszcze w tym świecie znajdowali lub znajdują miejsce, ale ci bardziej na lewo lub na prawo już nie.

Obecnie politycy KO chcą postawić przed Trybunałem Stanu niezwykle kontrowersyjnego i uzależnionego od PiS prezesa Adama Glapińskiego, ale oficjalnie ich główne zarzuty sprowadzają się do tego, iż szef Narodowego Banku Polskiego nie prowadził liberalnej polityki monetarnej, która koncentruje się wyłącznie na utrzymywaniu silnego kursu waluty i pilnowaniu niskiej inflacji, nawet za cenę hamowania PKB i wzrostu bezrobocia. Tylko że lista dostępnych polityk monetarnych jest szersza, nie ma obowiązku wyboru akurat tej.

Nadchodzące lata mogą być trudne dla niewystarczająco – w sensie ekonomicznym – liberalnych osób. Teraz jednak mogą pocieszać się tym, że jeśli np. za osiem lat znów trzeba będzie się mordować z prawicowym partyjniactwem, to dziś przynajmniej mają jakąś odmianę.

© PIOTR WÓJCIK

Z ważnych powodów

ANNA GOLUS

Szesnastolatka w Polsce nie może bez zgody rodziców iść do ginekologa, ale może złożyć do sądu wniosek o zezwolenie na zawarcie małżeństwa, wyjść za mąż i uzyskać pełnoletność.

Urząd stanu cywilnego i ołtarz ślubny to nie miejsca dla dzieci" – powiedział Heiko Maas, minister sprawiedliwości Niemiec, gdy z jego inicjatywy wprowadzano zakaz zawierania małżeństw przez osoby niepełnoletnie. Od 2017 roku w Niemczech małżeństwa mogą zawierać wyłącznie osoby, które ukończyły 18 lat, bez żadnych wyjątków. Podobne prawo obowiązuje w Szwecji, Norwegii, Finlandii, Danii, Holandii i Szwajcarii, a od zeszłego roku także w Anglii i Walii.

W Polsce natomiast sąd opiekuńczy może „z ważnych powodów" zezwolić na zawarcie małżeństwa 16-letniej dziewczynie, jeśli uzna, że będzie to zgodne z dobrem założonej rodziny. Ważnym powodem jest z reguły ciąża, a polskie sądy wydają takie zezwolenia, nawet jeśli kandydat na męża nastolatki ma ponad 40 lat, jest osobą uzależnioną albo kryminalistą. I nawet jeśli dziewczyna sama wymaga opieki, a nie przyspieszonej dorosłości.

Co ludzie powiedzą

Ewa miała 16 lat, gdy poślubiła 23-letniego mężczyznę. Zaszła w ciążę jako piętnastolatka. To był jej pierwszy raz, do którego partner namówił ją po dwóch miesiącach znajomości. Była załamana i rozważała aborcję, on obraził się i nie chciał się żenić, a jego rodzice nazywali ją dziwką. Jej rodzice namówili jednak na małżeństwo i ją, i jego. „On miał swoje mieszkanie i matka się cieszyła, że nie będę oglądać ojca pijaka" – wspominała Ewa w rozmowie z dr Urszulą Kempińską, która prowadziła badania małżeństw zawartych za zgodą sądu opiekuńczego we Włocławku. Małżeństwo Ewy nie przetrwało nawet roku. To on złożył pozew o rozwód i wyrzucił z domu swoją przedwcześnie upełnoletnioną żonę i dziecko. Ewa wróciła do rodziców, jej były mąż nie utrzymuje kontaktu z dzieckiem.

– Wiele badanych przeze mnie par było namawianych czy wręcz przymuszanych do ślubu przez rodziców – mówi Urszula Kempińska, doktor pedagogiki, dziekan Wydziału Nauk Społecznych Kujawskiej Szkoły Wyższej we Włocławku. – Powodem nacisków była obawa przed tym, „co ludzie powiedzą", i przekonanie, że bycie panną z dzieckiem to wstyd albo grzech. Jedna z matek mówiła nawet, że lepiej, by jej córka była rozwódką. Według niej „panna z dzieckiem" brzmi źle, bo to znaczy, że nikt jej córki nie chciał. „Rozwódka" zaś brzmi lepiej, bo można powiedzieć, że to my go nie chcieliśmy.

Kempińska rozpoczęła badania pod koniec lat 90. XX wieku. Dotarła do 125 par, które w latach 1978-1996 zawarły związek małżeński za zgodą włocławskiego sądu. Porównała je ze stoma parami, które w tym samym czasie zawarły małżeństwo w zwykłym trybie, i wykazała, że te zawarte w bardzo młodym wieku rozpadają się częściej (40 proc. rozwodów i separacji w grupie małżeństw zawartych za zgodą sądu i 19 proc. w grupie kontrolnej). Co ważne, sąd opiekuńczy musiał wówczas wydać zezwolenie na małżeństwo nie tylko dziewcząt w wieku 16-18 lat, ale również mężczyzn pomiędzy 18. a 21. rokiem życia. Wiek małżeński wynosił bowiem 18 lat dla kobiet i 21 lat dla mężczyzn, ale sąd mógł zezwolić na małżeństwo, jeśli dziewczyna skończyła 16 lat, a mężczyzna 18 (i to była większa część zezwoleń). Dopiero w 1998 roku wiek małżeński obu płci został zrównany do 18 lat, ale zachowano wyjątek umożliwiający zawarcie małżeństwa przez 16-latkę.

– Po dziesięciu latach wróciłam do tematu – mówi Kempińska. – Udało mi się dotrzeć do 60 ze 125 par badanych dekadę wcześniej. W 2008 roku już 55 proc. z nich było po rozwodzie albo w separacji. Wśród małżeństw, które zostały zawarte, gdy dziewczyna miała 16 lub 17 lat – a takich par było 16 – dezintegracji uległo aż 75 proc. związków.

„Ja chciałam żyć, a nie orać i siać. On nie chciał sprzedać gospodarstwa i za stary dla mnie był" – wyjaśniła badaczce powody rozpadu małżeństwa jedna z tych osób, Aneta. Również ona zaszła w ciążę w wyniku pierwszego stosunku. Miała wówczas 15 lat, jej partner – 22. Do zbliżenia doszło z jego inicjatywy po trzech dniach znajomości. Pół roku później byli już po ślubie. Małżeństwo trwało 5 lat. Aneta zapewniała Kempińską, że nikt nie zmuszał jej do ślubu. Po latach uważa, że był on błędem. Gdyby mogła cofnąć czas, nie założyłaby rodziny, a dziecko oddałaby do adopcji.

Jakoś się ułoży

– Najbardziej poruszające były sprawy, w których sądy wydawały zezwolenia na małżeństwa małoletnich z mężczyznami, którzy byli od nich znacznie starsi albo wcześniej zostali skazani za wykorzystanie seksualne osoby poniżej 15. roku życia – mówi dr Maciej Domański, adiunkt w Instytucie Wymiaru Sprawiedliwości, który w 2009 roku przeprowadził badania orzecznictwa dotyczącego wydawania zezwoleń na zawarcie małżeństwa. – Szczególnie zapadła mi w pamięć sprawa dziewczyny, która uciekła

TATSIANA VOLKAVA / ALAMY / BE&W

z domu dziecka i mieszkała na drugim końcu Polski u babki narzeczonego. Sąd zezwolił na jej małżeństwo z tym mężczyzną na podstawie opinii dyrektora tej placówki, który uznał, że jej upełnoletnienie rozwiąże problemy z ucieczkami. W wielu sprawach małżeństwo małoletniej było postrzegane przez rodziców, opiekunów, a nawet same sądy jako sposób na pozbycie się problemu.

„Uważam, że utrzyma rodzinę (...). Zgadzam się, żeby córka wyszła za W., bo mają dziecko. Jakoś im się chyba ułoży" – mówili na posiedzeniu sądu rodzice 17-latki, która chciała wyjść za 38-letniego mężczyznę uzależnionego od alkoholu i wielokrotnie karanego m.in. za znęcanie się nad rodziną. Po uzyskaniu opinii rodzinnego ośrodka diagnostyczno-konsultacyjnego sąd oddalił wniosek. To jednak wyjątek.

Domański przebadał 95 wybranych losowo spraw zakończonych w pierwszej połowie 2009 roku i ustalił, że sądy wydają zezwolenia na zawarcie małżeństwa niepełnoletnim dziewczynom niemal automatycznie, nawet jeśli kandydaci na mężów mają problemy z nałogami, są karani, przebywają w więzieniu, nie płacą alimentów na dzieci z poprzednich związków albo mimo wezwania nie stawiają się na posiedzenia sądu. Tylko w sześciu sprawach wnioski zostały oddalone, w tym zaledwie w czterech – po przeprowadzeniu postępowania dowodowego (w dwóch – z przyczyn formalnych). W zaledwie dwóch sprawach sądy zleciły specjalistyczne badania mające określić dojrzałość i motywację kandydatów na małżonków. W obu tych przypadkach wnioski zostały oddalone.

– Sądy powinny prowadzić wnikliwe postępowania dowodowe, ale tego nie robiły – mówi Domański. – W 1/3 spraw w ogóle nie zlecono przeprowadzenia wywiadu środowiskowego, a te wywiady, które zostały przygotowane, najczęściej były schematyczne i zdawkowe. Z reguły były to sprawy czysto formalne, co według mnie jest sprzeczne z dobrem rodziny i dobrem dziecka. Małoletnie wnioskodawczynie też przecież są dziećmi i sąd opiekuńczy powinien roztaczać pieczę również nad nimi, zwłaszcza że wiele z nich pochodzi ze środowisk problemowych. W wielu sytuacjach potrzebna była inna interwencja sądu opiekuńczego. Moment udzielania zezwolenia na zawarcie małżeństwa to niekiedy ostatnia szansa na ochronienie małoletniej przed popadnięciem w głęboką demoralizację.

– Obecnie młode dziewczyny zachodzą w ciążę raczej nie w wyniku braku dostępu do edukacji seksualnej czy antykoncepcji, tylko dlatego, że chcą założyć rodzinę, jaką same chciały mieć, a nie miały – mówi dr Anna Krawczak z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę i Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej. – Szukają tego, czego nie otrzymały: bezwarunkowej miłości, stabilizacji, bezpieczeństwa. Niestety często tego nie znajdują, bo wiążą się ze starszymi, ale niekoniecznie dojrzałymi i odpowiedzialnymi mężczyznami, a niepełnoletnie macierzyństwo generuje kolejne problemy. Jednym z nich jest brak władzy rodzicielskiej. Upełnoletnienie poprzez małżeństwo ma ten problem rozwiązać, ale większość niepełnoletnich matek nie wychodzi za mąż.

Równanie w dół

„Człowiek w wieku lat 16 sam jest dzieckiem" – zwracał uwagę ówczesny przewodniczący Krajowej Rady Kuratorów Henryk Pawlaczyk w opinii do senackiego projektu ustawy umożliwiającej zawieranie małżeństw również przez 16- i 17-letnich chłopców. „Należy podejmować działania (...) w kierunku zwiększenia wieku dziewcząt z 16 do 18 lat oraz pozostawienia 18 lat chłopców – mężczyzn. Nadto Rada postuluje przeprowadzenie szerokich konsultacji naukowych w celu uniknięcia sytuacji pozwalającej chociażby na legalizowanie związków osób starszych z małoletnimi w kontekście uchodźców i imigrantów z innych kultur, jak również zachowań z pogranicza pedofilii".

Opiniowany projekt powstał w 2016 roku w wyniku petycji osoby prywatnej, według której istniejące obecnie przepisy dyskryminują mężczyzn. Ówczesny rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar zgadzał się, że powinny zostać zmienione. Zauważał jednak, że rozwiązaniem problemu tej nierówności może być nie tylko obniżenie wieku małżeńskiego dla mężczyzn, ale też zrównanie go do 18 lat i odejście od wyjątków. Podkreślał, że to drugie rozwiązanie jest rekomendowane przez Światową Organizację Zdrowia, Komitet ds. Likwidacji Dyskryminacji Kobiet i Komitet Praw Dziecka ONZ.

Sąd Najwyższy w opinii do tego projektu stwierdzał natomiast, że zróżnicowany wiek małżeński nie ma charakteru dyskryminacji („podobnie jak uwarunkowane przez płeć unormowania z zakresu prawa pracy, wieku emerytalnego itp."). Ocenił jednak, że umożliwianie zawierania małżeństw „osobom bardzo młodym, które nie miały możliwości uzyskania wykształcenia, nie mają szansy na pracę ani możliwości zapewnienia bytu rodzinie, jest nieracjonalne i niezgodne z ustawowym modelem małżeństwa i rodziny". Co ciekawe, ówczesny rzecznik praw dziecka Marek Michalak nie skrytykował projektu – w opinii napisał, że nie ma potrzeby prowadzenia prac legislacyjnych w tym zakresie, zaś ówczesna minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska uznała, że „materia przedmiotowego projektu" nie dotyczy jej resortu.

Senat odrzucił projekt. Na początku 2017 roku RPO skierował do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry kolejne wystąpienie z prośbą o zlikwidowanie dyskryminującego zapisu. Minister odmówił, ponieważ „zróżnicowanie w tym zakresie sytuacji prawnej kobiet i mężczyzn (...) jest uzasadnione m.in. ze względu na uwarunkowane biologicznie różnice między kobietami a mężczyznami w tempie osiągania stopnia dojrzałości niezbędnej do wykonywania obowiązków wynikających z założenia rodziny". Od tego czasu tematu w Polsce nie poruszano. ↦

Krzywdzące praktyki

↦ W październiku 2017 roku Parlament Europejski przyjął „Rezolucję w sprawie wyeliminowania zjawiska zawierania małżeństw przez dzieci", a kilka miesięcy później – „Rezolucję z dnia 4 lipca 2018 r.: w kierunku zewnętrznej strategii UE dotyczącej przeciwdziałania wczesnym i przymusowym małżeństwom – następne kroki". W tym drugim dokumencie PE apeluje do ustawodawców „o ustanowienie minimalnego wieku do zawarcia małżeństwa na 18 lat" i „zdecydowanie popiera pracę globalnego partnerstwa Girls Not Brides w zakresie eliminowania małżeństw dzieci i umożliwienia dziewczętom wykorzystywania ich potencjału".

Wczesne małżeństwa mogą bowiem krzywdzić przede wszystkim niepełnoletnie dziewczęta, które w wyniku zamążpójścia są przedwcześnie upełnoletniane, tracą wsparcie i ochronę przysługującą dzieciom. Teoretycznie w Polsce małżeństwa te są zawierane za zgodą sądu na wniosek samej dziewczyny – rodzic, prawny opiekun ani partner nie może zrobić tego w jej imieniu. Jak jednak wykazują badania Kempińskiej i Domańskiego, dziewczęta są nierzadko przymuszane do zamążpójścia, a sądy nie sprawdzają ani ich motywacji do złożenia wniosku, ani dojrzałości, ani charakteru relacji z partnerami. Szesnastolatka nie może iść bez zgody rodziców do ginekologa ani psychologa, ale może iść do sądu, złożyć wniosek i wyjść za mąż.

Takich związków małżeńskich jest w Polsce coraz mniej, podobnie zresztą jak małżeństw zawieranych przez osoby pełnoletnie (i dzieci rodzonych przez dziewczęta niepełnoletnie). W 2007 roku wyszły za mąż 1004 dziewczęta poniżej 18. roku życia, w 2012 roku – 374, w 2017 roku – 157, a w 2022 roku – 87 (i odpowiednio 4533, 3756, 2318 i 1327 urodziło dzieci). Wciąż jednak są zawierane i zdarzają się takie, w których partnerzy nastolatek są od nich znacznie starsi. W 2015 roku sąd w Pińczowie wydał zezwolenie na małżeństwo 16-latki z 42-latkiem, a w 2018 roku w Radomsku – 16-latki z 46-latkiem. W 2019 roku sąd w Kędzierzynie-Koźlu zezwolił na małżeństwo 16-latki z 49-latkiem, sąd Lublin-Zachód – 16-latki i 42-latka, a w województwie pomorskim zostało zawarte małżeństwo 17-letniej dziewczyny i 51-letniego mężczyzny.

Wśród 87 mężczyzn, którzy w 2022 roku ożenili się z dziewczyną poniżej 18. roku życia, dziewięciu miało więcej niż 30 lat (w tym jeden – 42 lata). To ponad 10 proc. W 2017 roku małżeństw nastolatek z mężczyznami w wieku ponad 30 lat było 5 proc., w 2012 – niespełna 4 proc., a w 2007 – niecałe 2 proc. Z danych GUS-u wynika więc, że choć liczba małżeństw zawieranych za zgodą sądu maleje, rośnie liczba takich, w których różnica wieku między małżonkami jest bardzo duża.

– To sankcjonowanie przez prawo sytuacji ewidentnego groomingu, czyli uwodzenia – mówi Krawczak. – W przypadku tak dużej różnicy wieku sprawa jest oczywista.

W 2015 roku ONZ przyjęła „Agendę na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030". Wszystkie kraje członkowskie zobowiązały się do podejmowania działań w celu realizacji do tej daty 17 celów i 169 powiązanych z nimi zadań. Jednym z nich jest „osiągnięcie równości płci oraz wzmocnienie pozycji kobiet i dziewcząt" oraz „wyeliminowanie wszelkich krzywdzących praktyk, takich jak wczesne i przymusowe małżeństwa, małżeństwa dzieci, a także okaleczanie żeńskich narządów płciowych".

Na stronie sdg.gov.pl można sprawdzić, jak Polska stara się osiągnąć poszczególne cele. O realizacji tego zadania informuje przedstawiony w formie wykresu wskaźnik „Liczba zawartych związków małżeńskich, w których kobieta w dniu ślubu nie miała ukończonych 18 lat". Na wykresie widać, że od 2015 roku liczba tych małżeństw maleje – bynajmniej nie dlatego, że Polska podejmuje jakiekolwiek działania w celu ich wyeliminowania.

By zakończyć tę krzywdzącą praktykę, wystarczy jedna ustawa. Może zdążymy do 2030 roku. © ANNA GOLUS

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TOMASZ

Stawiszyński: *Źródło wszelkiego zła*

Przypatrując się z bliska współczesnej infosferze – zwłaszcza wirom i prądom w mediach społecznościowych, ze szczególnym uwzględnieniem platformy X – można odnieść wrażenie, że panuje tam niebywały chaos. Pseudonaukowe wrzutki o drastycznych (a co najważniejsze: zamierzonych) skutkach szczepień na covid sąsiadują z rzekomymi przeciekami z Pentagonu, z których płyną wnioski jednoznaczne: amerykański rząd od dawna współpracuje z kosmitami. Publikacje sygnowane jako „niezależne dziennikarstwo śledcze" przedstawiają „dowody", że akty bestialskiej przemocy dokonywane 7 października 2023 r. na Izraelczykach przez bojowników Hamasu były dziełem armii izraelskiej. Dwa wpisy dalej zaś równie „niezależne" źródła „potwierdzają", że Władimir Putin od początku miał rację – Ukrainą rządzą neonaziści, którzy wraz z krajami NATO planują zniszczyć wielką, sprawiedliwą i zawsze pokojowo usposobioną Rosję.

Oczywiście, Twitter od dawna był mekką tego typu opowieści. Jednak odkąd jego właścicielem został Elon Musk – który nie tylko nadał mu nową nazwę, ale także zamienił w anarchiczny, wirtualny Hyde Park – poziom dezinformacji osiągnął tam skalę dotychczas niespotykaną. Symbolicznym dopełnieniem procesu „uwalniania" platformy „X" od wszelkiej możliwej „cenzury" była niedawna reaktywacja konta Aleksa Jonesa, jednego z najbardziej aktywnych i popularnych współcześnie propagatorów teorii spiskowych. W 2018 r., wskutek porozumienia właścicieli mediów społecznościowych i narzędzi umożliwiających transakcje finansowe w internecie, Jones został zablokowany, gdzie się tylko dało – od YouTube'a, Facebooka i Twittera po PayPala. Bezpośrednim powodem takiej decyzji były wystąpienia, w których nazywał ocalałego ze strzelaniny w szkole w Parkland chłopca „płatnym aktorem", a także negował realność innej masowej strzelaniny (w szkole Sandy Hook w Newtown) i twierdził, że udostępnione nagrania z tamtych wydarzeń to przygotowana przez służby specjalne inscenizacja. Skądinąd rodziny ofiar z Sandy Hook wytoczyły mu za to proces, który sromotnie przegrał. Podobnie jak wiele innych procesów – to bowiem, co tu przytoczyłem, stanowi nieledwie ułamek z paranoicznych i absurdalnych kłamstw rozpowszechnianych przez niego od lat. Tymczasem Elon Musk – odwoławszy się uprzednio do *vox populi* i zarządziwszy w tej sprawie powszechne głosowanie wśród użytkowników X – odblokował w grudniu konto Jonesa, który oczywiście natychmiast poszybował na szczyty rankingów cytowań i wyszukiwań. I nadal tam króluje.

Nie o Jonesie jednak chciałem tu pisać, a nawet nie o Musku, choć stanowią oni bez wątpienia istotne elementy krajobrazu. Rzecz w tym – powtórzę – że kiedy zatapiamy się w lekturze kolejnych, wydawałoby się, coraz bardziej szalonych postów i spiskowych mitów, na pierwszy rzut oka widzimy chaos, bezwład i bezsens. Ale jeśli staniemy w odpowiedniej odległości i rzucimy okiem po raz drugi – dostrzeżemy wyraźny wzór. Mniej lub bardziej absurdalne konspiracyjne materiały o szczepieniach, inscenizowanych aktach przemocy, strzelaninach i masakrach (Bucza; 7 października w Izraelu; Sandy Hook; Parkland i inne), złej Ukrainie i dobrej Rosji, układają się bowiem tak naprawdę w jedną, spójną (jak to zresztą w przypadku tego typu teorii najczęściej bywa) narrację.

Brzmi ona: „wszystko, co myśleliście o świecie, wszystko, co myśleliście o historii, wartościach, instytucjach i moralności waszej kultury, to jedno wielkie kłamstwo. Głównym źródłem zła, głównym kolonizatorem, malwersantem, oszustem, eksploatatorem, niszczycielem i opresorem w dziejach ludzkości jest cywilizacja zachodnia. Jej instytucje, media, rządy, nauka, medycyna, farmacja, armia, a także uznawane w niej role i praktyki społeczne służą w gruncie rzeczy celom i siłom radykalnie odmiennym od tego, co publicznie widoczne i deklarowane. Medycyna i farmacja trują, zamiast leczyć. Media kłamią, zamiast mówić prawdę. Rządy niszczą demokrację i prawa człowieka, zamiast o nie dbać. Nauka fałszuje obraz rzeczywistości, zamiast go doskonalić. Armie mordują niewinnych, zamiast ich bronić. A fundamentalne dla zachodniej cywilizacji kategorie – racjonalność, prawda i fałsz, dobro i zło, miłość, tolerancja, godność jednostki, wolność słowa i myślenia, równość wobec prawa – są w istocie formami perwersyjnej przemocy".

Komu zależy na rozpylaniu takich poglądów? Komu zależy na tym, żebyśmy utracili elementarne poczucie rzeczywistości i uznali, że białe jest czarne, że góra jest na dole, a dobro to zło? Nietrudno odpowiedzieć na to pytanie, trudniej natomiast nie dać się uwieść tym przynętom – korzystają one wszak obficie z naszego poczucia niezadowolenia, opuszczenia, samotności, niesprawiedliwości, niepewności i lęku. I obiecują, że są na to niezawodne panacea – tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki. W którym miejscu? Oczywiście tam, gdzie bohaterski opór owemu demonicznemu zachodniemu źródłu zła stawiają świetliste siły dobra, prowadzące nas krok po kroku w stronę „świata wielobiegunowego".

Doprawdy, zaskakująca jest zbieżność bez mała wszystkich przekonań spiskowych propagowanych dziś między innymi na platformie X z głównym nurtem rosyjskiego przekazu propagandowego. A może właśnie nie jest zaskakująca ani trochę? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Z ODDECHEM

CZŁOWIEK, KTÓRY OSWOIŁ WYSPĘ

Upolityczniony po wojnie mit piastowski zyskał nowy wymiar. Oto opowieść o krajoznawcy, który pozwolił nowym mieszkańcom Wolina poczuć się u siebie.

OLGA DRENDA

Miejscowość Lubin na Wolinie oczarowuje bajecznym widokiem: z wysokości klifu można podziwiać „Krainę 44 Wysp", czyli archipelag Wstecznej Delty Świny, gdzie sztormy na Bałtyku podczas cofki kierują masy słonej wody w stronę Zalewu Szczecińskiego. Powstające na płyciznach, zarośnięte szuwarami wysepki to raj ptasiarzy – w zależności od pory roku można tu wypatrzyć wyjątkowo rzadkie, zagrożone wodniczki, a także biegusy, nury i dziesiątki innych gatunków. Żyją tu również liczne ptaki drapieżne, wszak jesteśmy w krainie bielika, a to zobowiązuje. Na bardziej stabilne wyspy barkami dowożone są krowy – naturalne kosiarki, w tym puchate krowy szkockie. Gdy spojrzymy w dół klifu, dostrzeżemy stada kormoranów.

Dzisiejszy Lubin oferuje więc spokojną alternatywę dla nieodległych Międzyzdrojów – zamiast gwaru deptaka, imprezowni i stoisk z modną ostatnio pluszową gęsią, oferuje *slow life*, spokój kameralnych pensjonatów i kontakt z naturą.

Nie zawsze tak było. W tej niedużej wsi zgromadziło się sporo znaków wielkiej historii. Od X do XII w. istniała tu ważna osada obronna, zniszczona przez duńskiego króla Waldemara I. Pozostał jedynie kościół świętego Mikołaja, jedna z najstarszych świątyń chrześcijańskich w tej części Pomorza, założona przez biskupa Ottona z Bambergu; dziś na grodzisku można zobaczyć jego pozostałości, odkryte w trakcie badań archeologicznych, i wybić pamiątkową monetę – arabską dirhamę (srebrne monety z X w., ślad po średniowiecznych szlakach handlowych, znajdowali tu po wielu stuleciach rolnicy).

O przemysłowej karcie tej części wyspy przypomina żelbetowa brama wjazdowa, pozostałość po kolejce dowożącej wapno z kopalni kredy. Prowadziła do fabryki cementu szczecińskiego przedsiębiorcy-filantropa Quistorpa, założonej w 1857 r. w ówczesnym Lebbin. To za jej sprawą rybacka wieś rozrosła się do rozmiarów miasteczka. W ruinach zbombardowanej przez RAF podczas wojny, a potem rozkradzionej przez Armię Czerwoną cementowni Andrzej Wajda kręcił „Kanał". Wolin, po burzliwym powojennym interludium, stanowił już wówczas część Polski, a przybyli z różnych stron nowi mieszkańcy uczyli się wyspiarskiego życia, zapisując we własnych biografiach zupełnie nowe karty.

Krzywousty na głazie

Nowi Wolinianie uczyli się nie tylko rybołówstwa, ale także krajobrazu. Często radykalnie odmiennego od pejzażu rodzinnych miejscowości – z innymi gospodarstwami, inną architekturą i przyrodą. W oswojeniu miejsca pomagały pobudzające wyobraźnię toponimy, odsyłające do legend, które czyniły ten obszar bardziej swojskim. Przypomina o tym obelisk upamiętniający Czesława Piskorskiego (obok na zdjęciu, 1985 r.), krajoznawcę, popularyzatora wiedzy o Pomorzu Zachodnim, autora przewodników. Pomnik, ufundowany w 1989 r. przez międzyzdrojski oddział PTTK, stoi w miejscu nieco dziś zapomnianym – w pobliżu pozostałości „Złotego Dworu", dawnego budynku administracyjnego i szkoły przy cementowni Quistorpa, w czasach PRL przekształconego w ośrodek wypoczynkowy dla dzieci górników z kopalni Wałbrzych. Jednego z wielu, bo na wczasy do Lubina przybywało wiele turnusów spragnionej jodu górniczej dziatwy.

JERZY GAZDA / POMERANICA.PL / CC 3.0

„Tutaj wśród pierwotnego krajobrazu rodzących się wysp i ostrowów, tysięcy pta-

Widok na wsteczną deltę Świny z Lubina, wrzesień 2023 r.

FOT. I REPR. OLGA DRENDA

ków i roi motyli poznać można inny świat, obecnie rzadko spotykany" – pisał o Wolinie Piskorski. To on właśnie jest uważany za autora, a raczej adaptatora większości lokalnych toponimów oraz polonizatora miejscowych legend. To z jego przewodników można było wyczytać, że na Królewskim Głazie, pomniku przyrody w wodach Zalewu Kamieńskiego, stał Bolesław Krzywousty, przyjmując defiladę floty pokonanych książąt zachodniopomorskich Świętopełka i Warcisława.

Ewa Zamorska-Przyłuska, historyczka sztuki, autorka „Wyspy rybaków" i powstającego przewodnika literackiego po „międzymorzu wolińskim", mówi, że Królewski Głaz i Kraina 44 Wysp to określenia, które niemal na pewno można przypisać Piskorskiemu.

– Nigdy nie było tu akurat 44 wysp, ale slogan przetrwał, bo działa na wyobraźnię i wpada w ucho. Przyjął się bardzo szybko, dzisiaj nazwalibyśmy to efektem udanego marketingu turystycznego. Opowieść o Królewskim Głazie już w momencie powstania, czyli w latach 60., musiała trafić do potocznego obiegu, skoro Jarosław Kociuba w swoim obszernym zbiorze pomorskich legend powołuje się przy niej na przekazy historyczne i miejscową tradycję – wyjaśnia badaczka. – Moim zdaniem Piskorski starał się oswajać krajobraz obcy osadnikom, surowy, morski, pozbawiony np. kapliczek, barokowych kościołów. Pisał legendy inaczej, niż to się robi zazwyczaj, nie wydobywał ich z mroków historii. Postąpił odwrotnie: ustawił Krzywoustego na głazie, żeby nasycić krajobraz treścią, ale taką, której w tym pejzażu nie było. Udało mu się przyspieszyć bieg dziejów, stworzyć w krótkim czasie wrażenie, że niemal na każdym kroku zakodowana jest tutaj polska historia. Bez takich zabiegów nie byłoby zadomowienia na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

Okładka przewodnika Czesława Piskorskiego „Ze Szczecina przez Świnoujście do Międzyzdrojów", 1958 r.

Byliśmy, jesteśmy, będziemy

Piskorski pochodził z Poznania, gdzie studiował prawo i geografię na Akademii Handlowej. Później pracował krótko jako dziennikarz. W czasie II wojny światowej działał w konspiracji. Aresztowany przez gestapo trafił do niesławnego poznańskiego Fortu VII, a następnie do obozów w Mauthausen i Gusen. Z innymi „guseńczykami" połączyły go więzi przyjaźni i współpracy. Po zakończeniu wojny osiedli nie we Wrocławiu, który przyciągał raczej kresową inteligencję, a w nadal niespokojnym, wyczerpanym głodem, szabrem i trwającymi jeszcze walkami Szczecinie. Tam założyli oficynę wydawniczą Polskie Pismo i Książka, z intencją zapewnienia niedrogiego dostępu do wiedzy i kultury dla każdego nowego przybysza.

Wraz z Łucją Królakową Piskorski przywiózł pociągiem do Szczecina polskie czcionki drukarskie. Publikowali książki krajoznawcze, mapy, pocztówki, książeczki dla dzieci, beletrystykę i poezję, prowadzili agencję reklamy i wytwórnię stempli. W pierwszym numerze tygodnika „Pionier Szczeciński" zamieścił manifest pod hasłem „Byliśmy, jesteśmy i będziemy", zapożyczonym od przedwojennego reportera Józefa Kisielewskiego. W kolejnych latach wezwanie to, jako część „piastowskiego mitu", miało trafić na pomniki w niemal każdym mieście Polski Zachodniej.

↦

Zgodnie z ówczesnym zwyczajem – zainicjowanym przed 1939 r. i praktykowanym w kontrze do terminologii niemieckiej – nie mówiono bowiem o polonizacji wcielonych w nowe granice Polski terenów, a o repolonizacji, o powrocie na prastare ziemie słowiańskie. Nawet wtedy, gdy więź ze Słowiańszczyzną zanikła wiele wieków wcześniej. Za rozpowszechnianiem tej wersji historii stały jednak rozmaite motywacje, niekoniecznie wola propagandowego zaklinania rzeczywistości czy, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, uprawianie polityki historycznej.

Orzeł bielik i jego sylwetka – ilustracja Wiktorii Roszkowskiej z przewodnika Czesława Piskorskiego „Międzyzdroje, Wolin, Kamień i okolice" (obok), 1961 r.

Przemalowani Słowianie

– Ci ludzie naprawdę w to wierzyli, mój ojciec też – mówi prof. Jan M. Piskorski, historyk z Uniwersytetu Szczecińskiego. – Jak prawie wszyscy poznańscy studenci, był przed wojną bliski endecji, czytał reportaż Kisielewskiego z podróży po Niemczech „Ziemia gromadzi prochy", malujący wizję starcia żywiołu germańskiego ze słowiańskim. Z autorem się zetknął, jego pracę traktował jak Biblię. Nasłuchawszy się, że Polska niegdyś sięgała Rugii, wierzył, zgodnie z duchem epoki, że niemieccy Pomorzanie to właściwie tacy przemalowani Słowianie. Wybitny historyk krakowski Józef Mitkowski konstatował w tym samym czasie, że Pomorzan nie wolno wysiedlać, lecz trzeba przekonać do polskości. Dopiero w latach 70. zaczął rozumieć, że historia tych terenów nie była aż tak prosta – wyjaśnia. – W ramach normalnego konfliktu pokoleń byłem kiedyś krytyczny wobec działań ojca, ale potem zrozumiałem, że każdego człowieka trzeba mierzyć miarą jego czasów. Prof. Gerard Labuda, u którego studiowałem i pracowałem, mówił to samo: że przybyszom trzeba było stworzyć nowy dom.

Nacjonalizacja i centralizacja życia gospodarczego i kulturalnego pod koniec lat 40. zakończyła działalność Polskiego Pisma i Książki, które okazało się zbyt niezależne jak na stalinizujący się kraj. Piskorski, jak wielu szczecinian, został poniekąd zesłany do Świnoujścia, porównywalnego z Nową Hutą komunistycznego placu budowy, gdzie otrzymał zatrudnienie w przedsiębiorstwie zajmującym się rybołówstwem.

– Nie najlepiej się czuł w nowej roli, więc każdą wolną chwilę wykorzystywał dla krajoznawstwa i turystyki. Zwiedzali Wolin wspólnie z moją matką i się w nim coraz bardziej zakochiwali. Mama, zanim zajęła się wychowaniem pięciorga dzieci, prowadziła latem dom PTTK w Dziwnowie. Przy okazji też pisała, lecz przede wszystkim fotografowała i malowała – opowiada Jan Piskorski.

Przewodnik po Kamieniu Pomorskim Urszuli Piskorskiej (1966) to wyjątkowa publikacja. Znajduje się tam wzmianka o cmentarzu żydowskim, który dwa lata później został zlikwidowany z polecenia władz. – Ojciec wydawał w tym czasie przewodnik za przewodnikiem, matka niektóre z nich ilustrowała. Gdyby nie Ewa Zamorska-Przyłuska, nigdy bym się może o tym nie dowiedział. Zainteresowałem ją wyspą, ziarno padło zresztą na przygotowany grunt, a ona zwróciła mi to w dwójnasób, odkryła zupełnie nową matkę, sprzed mojej pamięci, a ojca bardzo przybliżyła. Nie miałem świadomości, że jego wczesne książki są napisane tak lekkim piórem. Później zgniotła je już szarość życia w PRL i narzucony przez scentralizowane wydawnictwa krajoznawcze schematyzm przewodnikowy – wspomina syn.

Ze Stiny Steńka

Piskorski opowiadał o całym Pomorzu Zachodnim, wydał liczne przewodniki po zabytkach Szczecina, lecz o wyspach wyrażał się najserdeczniej. O dawnych Wolinianach: „Stała styczność z morzem, kontakty ze światem – sprawiły, że byli to ludzie odważni, zawsze gotowi do walki, ale równocześnie stanowili społeczeństwo rządzące mądrze i szanujące pokój".

Są też opowieści i legendy trochę odziedziczone po etnografach niemieckich, trochę pisane na nowo. – Ojciec zbierał książki niemieckie i tłumaczył je, okraszając i trochę polszcząc – mówi Jan M. Piskorski. – Przy tym pierwiastka antyniemieckiego było u niego niewiele, zwłaszcza jak na kogoś, kto przeszedł przez obóz. Bywali u nas, przynajmniej tak to zapamiętałem z lat 70., krajoznawcy z NRD i ojciec nie miał z nimi problemów komunikacyjnych, sąsiad Ślązak po Wehrmachcie był dla nas wujkiem.

Ewa Zamorska-Przyłuska dodaje: – W 1946 r. legendy niemieckie nie nadawały się do przyswojenia przez Polaków. Tę o zatopionym grodzie Wineta Piskorski ubrał w 1946 r. w kostium słowiański i pia-

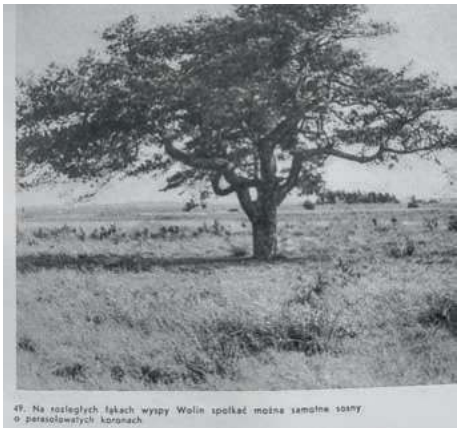

Sosna o parasolowatej koronie na łąkach wyspy Wolin, fotografia Zbigniewa Lubaka z przewodnika Czesława Piskorskiego „Wyspa Wolin", 1974 r.

FOT. I REPR. (3) OLGA DRENDA

Pozostałości założonej w 1857 r. cementowni Quistorpa

stowski. Powojenni pisarze opiewali sprawiedliwą korsarkę Steńkę z wyspy na jeziorze Gardno. Ta słowiańska odpowiedniczka Robin Hooda, córka Klecia z pobliskiego Kamienia, w pierwotnej wersji ma na imię Stina i jest kompanką słynnego bałtyckiego pirata Klausa Störtebekera. Dopiero w 1964 r. ukazał się zbiór legend Gracjana Bojara-Fijałkowskiego, w którym zamieszczono wykaz także niemieckich źródeł. Czesław Piskorski czytał przedwojenne publikacje i z nich korzystał. Niestety trudno dotrzeć do archiwaliów, nie mamy jeszcze twardych dowodów jego nazewniczej inwencji, ale można prześledzić, kiedy nowe określenia pojawiają się w druku, i na tej podstawie snuć przypuszczenia.

Więcej niż cegły

Postać Czesława Piskorskiego, który przez dziesięciolecia prowadził turystów i mieszkańców po zakamarkach wyspy, owiana jest legendą: Britta Wuttke otworzyła swą słynną powieść „Homunculus z tryptyku" (1977) emblematycznym cytatem z jego przewodnika, nie podając nazwiska powszechnie znanego autora. Ale są i nieporozumienia.

– Panuje np. przekonanie, że pisząc o Kawczej Górze, Piskorski popełnił błąd, myląc kawę z kawką, bo przed wojną na Kaffeeberg działała kawiarnia. Tymczasem w przedwojennych pracach niemieckich wywodzono tę nazwę właśnie od słowiańskiej kawki – mówi badaczka. Takie niespodzianki zachęcają do tego, by nie spieszyć się z ogłaszaniem rozwiewania mitów, może okazać się bowiem, że to, co wydawało się podkoloryzowane, jest udokumentowane: – Lądy pojawiały się tu i zanikały, zmieniają się wciąż linie brzegowe. Szukam tropów literackich, także w książkach wyprzedawanych już czasem z bibliotek, tych z okresu PRL, ale i we wcześniejszych. Wierzę, że dopiero w opowieściach powstałych we wszystkich okresach historycznych można znaleźć klucz do tożsamości Wolina – tłumaczy Zamorska-Przyłuska.

Na pewno poglądy Piskorskiego pozwalały mu przekonująco formułować argumenty w obronie zabytków Pomorza Zachodniego. Nie było to łatwe. Pomimo górnolotnej retoryki o dziedzictwie praojców, lokalne władze czasem lekceważyły wartość obiektów historycznych, traktując je jako składy materiałów budowlanych lub bezrefleksyjnie zastępując nową zabudową pod pretekstem usuwania poniemieckich zniszczeń wojennych. Jako autorytet PTTK i nestor miejscowego krajoznawstwa działał na rzecz opieki nad zabytkami, a przypadki ignorancji krytykował, powołując się na argumenty, że zaniedbane obiekty świadczą o wysokim poziomie cywilizacyjnym dawnych słowiańskich mieszkańców Pomorza, a stan ich zachowania – o gospodarności Polaków. To pokazuje, że nie da się zawsze jednoznacznie ocenić uczestnictwa w budowaniu mitu: zdarza się, że to mit właśnie pozwala zobaczyć w bezcennym budynku coś więcej niż jedynie cegły. Im dalej od niepewności 1945 r., tym skuteczniej udawało się wzmacniać poczucie „bycia u siebie", czy stopniowo je niuansować.

Baśń o innych baśniach

Stopniowo i Czesław Piskorski stawał się żywym pomnikiem. Wydawał kolejne przewodniki, uczył studentów, a najszerszej publiczności stał się znany jako współprowadzący telewizyjnego programu „Imiona ulic". Angażował się w zwrot pomnika kondotiera Colleoniego, zabytkowej kopii rzeźby Verrocchia, z Warszawy do Szczecina, choć sam nie doczekał już jego powrotu – zmarł w roku 1987. W 1989 r. międzyzdrojski oddział PTTK upamiętnił go obeliskiem w Lubinie. Wolin pozostał dla niego szczególnie ważny, nie tylko ze względu na krajobraz, ale też ze względów osobistych.

Jan M. Piskorski, który towarzyszył ojcu w licznych wycieczkach rowerowych po wyspie, wspomina: – Odwiedziliśmy jedną ze wsi i wpakowaliśmy się do jakiegoś domu. Ojciec powiedział: Pochwalony Jezus Chrystus! – i dostaliśmy posiłek. Byłem nastolatkiem i zszokowała mnie cała sytuacja. Potem okazało się, że w tym domu mieszkał jego kolega z Gusen. Akurat nie było go w domu, ale rodzina wiedziała, kto przyjechał. Guseńczycy trzymali się razem. Przyjaźnili się bez słów i odwiedzali z zaskoczenia.

Postać Czesława Piskorskiego przypomina, że relatywnie krótka powojenna historia Wolina jest pełna splątanych wątków. – Snujemy dzisiaj baśń o innych baśniach i piszemy nowe opowieści – mówi Ewa Zamorska-Przyłuska. – Upolityczniony po wojnie mit piastowski ulega przedefiniowaniu, tęsknimy za mitem rybackim, żywy jest mit słowiański i wikiński. Staram się uzupełnić woliński pejzaż o znaleziska literackie, tak by nasza pamięć i wyobraźnia sięgały dalej niż wspomnienia rodziców i dziadków dzisiejszych mieszkańców. Dzięki odnajdywanym opowieściom obraz wyspy wypełnia się pikselami, gęstym rastrem. Być może pozwoli to głębiej się tu zakorzenić, a dzięki temu ochronić zagrożony nadmorski krajobraz.

Lubiński pomnik stoi w miejscu nieco zapomnianym, pominąwszy może miłośników zwiedzania obiektów poprzemysłowych i filmu – w lokalnym małym porcie kręcono kilka lat temu serial „Klangor". Krajoznawstwo również zmieniło charakter; dzisiaj ciąży raczej w stronę turystyki wizerunkowej organizowanej przez samorządy albo oddolnych inicjatyw pasjonatów. Np. miłośników geocachingu, czyli łazików, którzy po współrzędnych GPS odnajdują we wskazanych miejscach skrytki. Jedna z nich mieści się właśnie przy lubińskim pomniku. „Pewnie jakby Pan Czesław żył i wiedział o geocachingu – zostałby jednym z nas", czytam na ich forum.

© OLGA DRENDA

TRAVELSTOCK44 / ALAMY STOCK PHOTO

WIARA

TRADYCJA MA PRZYSZŁOŚĆ

O ryzyku schizmy i napędzaniu polaryzacji, o autorytetach i autorytarności, o pozornych podziałach i pozorach niezmienności, o uzasadnieniu kapłaństwa kobiet i sensie parafii

ROZMAWIAMY Z JOHNEM MILBANKIEM, JEDNYM Z CZOŁOWYCH WSPÓŁCZESNYCH TEOLOGÓW

PIOTR POPIOŁEK: Czy chrześcijaństwo w sposób nieunikniony staje się coraz bardziej liberalne i postępowe, starając się dogonić świeckie, wielkomiejskie społeczeństwo?

JOHN MILBANK: Najbardziej religijnym miejscem w Wielkiej Brytanii jest dzisiaj Londyn. To całkowite odwrócenie tendencji dominującej pięćdziesiąt lat temu. Głównie z powodu imigrantów (chrześcijańskich, muzułmańskich, hinduistycznych itp.). Na przykład jedna trzecia Londynu uważa, że homoseksualizm jest czymś złym, więc prawdopodobnie jedna trzecia Londynu to bardziej konserwatywni chrześcijanie i wyznawcy innych religii niż ja. W centrach miast jest więcej ludzi religijnych niż na peryferiach. Też z tego powodu, że jest tam więcej klasy średniej i osób wykształconych, którzy dołączają obecnie do wspólnot. Ale również dlatego, że Kościół dużo zasobów ludzkich przeniósł do dużych miast (gdyż były „nowoczesne"), ignorując fakt, że większość ludzi mieszka w małych miasteczkach i na wsiach.

Czy w Kościele anglikańskim istnieją podobne podziały jak u nas – na postępowców i tradycjonalistów?

Kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela w Mogno w Szwajcarii zaprojektowany przez Mario Botta.

Nie jest to tak wyraźne. Moja żona Alison jest częścią ruchu „Uratuj parafię", który odnosi wiele sukcesów. Ma zwolenników we wszystkich grupach kościelnych (od protestanckich do katolickich trendów w anglikanizmie) i teologicznych, od konserwatystów po liberałów. Ponieważ pytanie brzmi: „Czy Kościół Anglii należy do ludu Anglii?". W swoich geograficznych parafiach każdy ma prawo do chrztu, małżeństwa i pochówku. I kościół parafialny również bardziej należy do parafian i sponsorów, którzy historycznie go założyli, niż do diecezji. Ale nowy model anglikanizmu chce to wszystko usunąć – by skończyć z ideą, że jest to Kościół ludzi i dla ludzi.

Wsparcie w ratowaniu parafii przychodzi również od ludzi świeckich niezwiązanych z Kościołem, którzy wciąż cenią sobie miejsce Kościoła w swojej społeczności i sposób, w jaki ją wiąże. Parafie w pewnym sensie stanowią Anglię, tak jak wsie i puby ze swoimi szyldami – równie dzisiaj zagrożone. Obecnie stało się to jeszcze bardziej aktualne. Jesteśmy małą wyspą, łatwo jest mieszkać na wsi i pracować w mieście, dojeżdżając do pracy lub zdalnie. Odległość od pracy w Wielkiej Brytanii jest większa niż w innych krajach, nawet w Ameryce. Ponieważ żadna odległość nie wydaje się „zbyt daleka", ludzie podróżują na duże odległości regularnie. Jak to robią przy upadającym transporcie publicznym, to inna historia. Ale istotne jest, że wsie dalej pozostaną, a więc i parafie mają przyszłość, jeśli biskupi tego nie zepsują.

Z pewnością interesujące jest usłyszeć, że oba skrzydła Kościoła – postępowcy i konserwatyści – mogą współpracować.

Na przykład w przypadku małżeństw homoseksualnych ten podział jest o wiele bardziej widoczny niż w przypadku parafii. O wiele trudniej jest przyjąć wypośrodkowaną pozycję w kwestii homoseksualności, taką jak moja – mówić o tym, że małżeństwo może być tylko między mężczyzną i kobietą i to nie ulegnie zmianie, ale też że są osoby homoseksualne, które z jakiegoś powodu chcą żyć razem w kochających i owocnych związkach, które mogą być błogosławione. Zamiast tego dochodzi do polaryzacji napędzanej przez świecką kulturę i media. Niektórzy zaakceptują to, co się nam prezentuje, jako kompromis, ale moim zdaniem tak nie jest. Mamy więc grupy rozłamowe, szczególnie wśród bardziej konserwatywnych ewangelików, którzy są już w różnych organizacjach anglikańskich na całym świecie. Myślę, że niebezpieczeństwo odłączenia się i powstania jakiegoś nowego Kościoła z powodu tych kwestii związanych z seksem i płcią – jakby sprawami życia i śmierci – jest niezwykle duże. ↦

↦ **Czy zaobserwowałeś podobne trendy w Kościele katolickim?**

W Kościele katolickim w Anglii widać zaskakująco podobną niechęć do systemu parafialnego, która łączy się z nadmierną centralizacją i biurokratyzacją. Po części dlatego, że po prostu nie ma wystarczającej liczby księży, ale to nie jest jedyny powód. Podobnie też nie dostrzega się możliwości drogi środka w debatach między liberałami a konserwatystami, co prowadzi do tego, że „konserwatyzm" i tradycja są źle rozumiane. Podobne zaniedbanie odnosi się do swego rodzaju historycznej i filozoficznej subtelności. Jak spojrzymy na takie kwestie jak małżeństwo i rozwód, i w jaki sposób traktuje się związki osób tej samej płci lub rolę kobiet w Kościele, to konserwatyści wyolbrzymiają nieprzerwaną ciągłość lub absolutyzują przeszły konsensus. Na przykład historia rozwodów w Kościele katolickim jest skomplikowana. Wiadomo, że Kościoły wschodnie zawsze zezwalały na małżeństwa duchownych i na rozwody, podczas gdy Kościół zachodni zezwalał długo na małżeństwa duchownych i nadal zezwala na to w niektórych przypadkach. Zatem twierdzenie, że wszystkie te kwestie są czymś nowym, jest zgoła nieprawdziwe.

Nieprawdziwa jest również idea, że zawsze szanowaliśmy to, czego nas uczono. Dzisiaj nawet konserwatyści niechętnie mówią, iż homoseksualizm jest z natury grzeszny. Rzeczywistość jest taka, że wszystko ulega zmianie – że coś brane niegdyś za oczywistość jest teraz nie do pomyślenia (chociaż pozostawia otwarte pytania, dlaczego uważamy coś za oczywiste). Spójrzmy na rolę kobiet w społeczeństwie – nikt chyba poza amiszami nie jest prawdziwie konserwatywny w tej kwestii, nawet większość muzułmanów. I tu znowu obraz historyczny jest skomplikowany. Jest coraz więcej dowodów na to, że kobiety w średniowieczu były bardzo zaangażowane w sferę pracy i posiadania, w rzemiosło i handel, i że uległo to zmianie dopiero w nowożytności. Jednak nie zaszło to dalej – nie podważyło wyłączności męskiego kapłaństwa. Założenie, że można rozłączać dyskusję o roli kobiet od kapłaństwa uważam za niepoważne – nawet jeśli moim zdaniem kapłaństwo kobiet musi być uzasadnione teologicznie. Uważam, że to uzasadnienie może być wyrażone w chrystologiczno-mariologicznych pojęciach, dzięki którym (z podkreśleniem figury Maryi) Kościół katolicki mógłby zacząć wyświęcać kobiety w najbliższych dziesięcioleciach. Oczywiście jeśli porzuci się rzekomo „nieomylną" opinię Jana Pawła II na ten temat...

W Kościele katolickim wyświęcanie kobiet na księży uważane jest za uleganie liberalizmowi. Kościół anglikański rozpoczął tę praktykę w latach 70. XX wieku. W Polsce praktyka ta rozpoczęła się nieco wcześniej, wśród wyłamującej się z Kościoła katolickiego grupy mariawitów. Większość teologów katolickich, z którymi rozmawiałem, uważa, że najbardziej przekonujące argumenty przeciwko tej praktyce pochodzą z Tradycji, a nie z antropologii teologicznej.

Nie można argumentować, opierając się jedynie na autorytecie Tradycji. Nie sądzę, by było to prawdziwie katolickie stanowisko. Gdybyśmy byli po prostu posłuszni autorytetowi, to każdy przywódca wątpliwej sekty mógłby powiedzieć coś w rodzaju „brakuje ci pokory, gdybyś miał pokorę, podporządkowałbyś się mnie". W przypadku Kościoła to nie jest powodem, dla którego darzymy go szacunkiem, podporządkowujemy się mu i bierzemy na poważnie jego decyzje. Ludzie z zewnątrz go nie szanują, a nawet jeśli, to nie ze względu na autorytarność, ale za jego dorobek w zakresie kultury, etyki, polityki, mistyki i wkładu w sens życia. Oczywiście, jeśli taka instytucja zajmuje jakieś konkretne stanowisko, traktujesz je poważnie, ale ponieważ istnieją już wewnętrzne spory odnośnie do tych pozycji – w tym wypadku zakaz święcenia kobiet – musi ona również wyjaśnić swoje racje.

Nie ma ważnej tradycji, która nie niosłaby ze sobą własnego logicznego uzasadnienia. Transsubstancjacja jest stanowiskiem logicznym, jest jasną refleksją nad chrześcijańską praktyką wiary, którą ktoś taki jak Tomasz z Akwinu mógł objaśnić w niezwykle wyrafinowany sposób. Podobnie gdy ludzie bronią kapłaństwa mężczyzn, jak np. Louis Bouyer czy Hans Urs von Balthasar, muszą łączyć to z całym zagadnieniem płciowości i seksualności. Pytanie brzmi, na ile przekonujące są ich odpowiedzi i nawet jeśli takie są, to czy rzeczywiście wykluczają kapłaństwo kobiet.

To całkiem nowe pytanie, niezadawane w przeszłości.

I najwyraźniej jest zadawane dlatego, że wydarzyło się coś bezprecedensowego w zakresie stopnia świadomości równouprawnienia kobiet w dzisiejszych czasach. Symptomatyczne jest to, że dzisiaj mamy kobiety, które są np. neofaszystowskimi przywódczyniami. I myślę, że ten nowy rodzaj równości ostatecznie pochodzi z tradycji chrześcijańskiej – od św. Pawła i innych oraz był promowany w średniowieczu, jak już mówiłem. Prawa kobiet w odniesieniu do seksualności, małżeństwa, macierzyństwa, własności i edukacji były o wiele dalej posunięte od tych w czasach pogańskich.

Dzisiaj wiele osób przyjmuje kapłaństwo kobiet z powodów liberalnych – które nie są wystarczającą podstawą dla chrześcijaństwa. Nie ma co do tego wątpliwości. I jest w tym prawdziwe niebezpieczeństwo: kapłaństwo jest sprowadzone do zawodu i prawa do jego sprawowania. Zbyt wiele kobiet duchownych jest nadmiernie skupionych na zawodzie – przeczy to humanizującej korzyści, która powinna wypływać ze święceń. Z drugiej strony, a raczej równocześnie, prowadzi to do zbytniego sfeminizowania prawdziwej roli kapłana. Mamy za dużo troski zbyt często sentymentalizowanej, a za mało proroctwa, osądu i autentycznego poszukiwania społecznego świadectwa. Nie jest dobrze, gdy kapłaństwo staje się głównie kobiecym zawodem z tego właśnie powodu, jak to ma miejsce w Skandynawii.

Ale nic z powyższego nie jest argumentem przeciw święceniu kobiet. Zamiast tego powinno się pokazywać, że kobiece kapłaństwo może być odnowione, kiedy sprzymierza się z nowym feminizmem, podkreślającym różnicę płci (w odniesieniu do płci biologicznej) i stawia opór „queerowaniu" wszystkiego.

Zadajmy sobie pytania: dlaczego jest oczywiste, że kobiety nie mogą być kapłanami? Jaka jest natura chrześcijańskiego kapłaństwa? W Nowym Testamencie nie widać kobiet przyjmujących kapłańskie role.

Dowody w Nowym Testamencie są znacznie bardziej zagmatwane – kto był kapłanem i czym było kapłaństwo na tym etapie. Ale jak już mówiłem, uważam, że można znaleźć maryjne uzasadnienie dla

JACEK TARAN

JOHN MILBANK (ur. 1952) jest anglikańskim teologiem i filozofem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Nottingham. Jest założycielem ruchu Radykalnej Ortodoksji, zrzeszającego teologów i filozofów różnych wyznań chrześcijańskich na całym świecie.

Najbardziej znana praca Milbanka to „Teologia i nauki społeczne. Przekroczyć rozum sekularny" z 1991 r. – jedno z podstawowych źródeł do studiów na temat świeckości i postsekularności obok dzieł Charlesa Taylora czy Jürgena Habermasa. Milbank uważa, że świeckie nauki społeczne i polityczne są ufundowane na teologicznych przedzałożeniach. Nowoczesne teorie polityczne, wraz z ideą absolutyzmu i dyktatury, mają według niego genezę w katolickiej teologii ultramontanistycznej, kapitalizm – we franciszkańskiej teorii ubóstwa, liberalizm – we franciszkańskim woluntaryzmie, korporacjonizm i nowożytne teorie państwa – w katolickiej eklezjologii i teologii eucharystii.

Dla Milbanka historia zachodniej myśli ma charakter dualistyczny. „Negatywna", świecka myśl nowoczesna wywodzi się z tradycji franciszkańskiej, natomiast prawdziwie chrześcijańska tradycja jest neoplatońska, obecna w pismach Ojców Kościoła, jak i Tomasza z Akwinu, Mikołaja z Kuzy, Mistrza Eckharta i wielu mistyków. Bliżej mu przy tym do teologii katolickiej niż teologii protestanckich, które często krytykuje – pozostając wiernym Kościoła anglikańskiego.

Postulat nadrzędności teologii względem innych nauk oraz przywrócenia autorytetu religii chrześcijańskiej w kwestiach społecznych i politycznych sprawił, że Milbankowi zarzuca się postulowanie teokracji – i jest chętnie przywoływany przez środowiska konserwatywne. To paradoksalne, biorąc pod uwagę jego ostrą krytykę nowoczesnych konserwatystów i identyfikację z lewicą. Milbank wspiera też takie postulaty jak kapłaństwo kobiet, apokatastaza, błogosławienie związków homoseksualnych. W świecie przyzwyczajonym do podziału na konserwatystów i liberałów postać ta może być interesującą odmianą. Zwłaszcza że dyskurs w Kościele rzymskim zaczyna się przesuwać w taką stronę, gdzie te linie też już przestają być jasne. © PP

Powyżej w przerwie konferencji „Creatio Continua". Seminarium duchowne, Kraków, grudzień 2023 r.

kapłaństwa kobiet. Im bardziej postrzegamy Maryję i Chrystusa jako ściśle ze sobą powiązanych, tym bardziej mamy do czynienia z wysoką mariologią, być może w rodzaju tej, którą Louis Chardon wyartykułował we Francji w XVII wieku – im bardziej można sobie wyobrazić, że kapłani płci żeńskiej i męskiej wnoszą różne aspekty do kapłaństwa, tym bardziej kapłan nie tylko reprezentuje Chrystusa, lecz także rodzi Chrystusa w Eucharystii. Kapłan reprezentuje zarazem Chrystusa i Kościół – jest to fundamentalna tradycja. Figura Kościoła jest bardzo ważną rolą kapłańską, tak jak *in persona Christi*, która wcześniej nie była tak podkreślana, jak się czasem uważa. Istnieją wyraźne dowody na tłumienie symboliki Maryi jako kapłanki w ikonografii, co było promowane przez samych papieży na początku XX wieku. Być może nie wypłynęło to w powszechnej świadomości pobożnościowej przed XVII wiekiem w Bretanii (we Francji), która antycypowała ikonografię ukazującą Maryję w roli kapłana. A postać Maryi jest głęboko związana ze świątynią.

Czyli nawet kwestie tak pozornie nowoczesne, jak kapłaństwo kobiet, można uzasadnić racjami z perspektywy Tradycji.

Nie chodzi o to, czy jesteśmy tradycjonalistami, czy postępowcami, ale bardziej o to, jakiej nowoczesności chcemy. Ciągle ignorujemy elementy romantycznego lub renesansowego dziedzictwa, które promowało inny sposób bycia nowoczesnym – bardziej chrześcijański. W tej tradycji znacznie większy nacisk kładziono na dynamizm ludzkiej kultury i dynamizm natury oraz sposoby, w jakich są one ze sobą powiązane. W jaki sposób boskość jest ukazywana przez sztukę, politykę, społeczeństwo, seksualność. A jednak te tradycje mogą być całkowicie ortodoksyjne i przyjmować, że wszystko istnieje poprzez uczestnictwo w boskim akcie miłości i daru, który jest ostatecznie trynitarny, oraz że wcielenie przewiduje zstąpienie i ponowne zjednoczenie wszystkiego w Bogu. Powrót do neoscholastyki, która jest bardzo nowoczesna w najgorszym możliwym sensie, jest ślepym zaułkiem w porównaniu do tamtych tradycji.

Katolicy mają teraz Franciszka z jego nową wizją Kościoła. Jakie jest Twoje ↦

spojrzenie na jego przywództwo z perspektywy anglikanina i Brytyjczyka?

Kościół pod jego przewodnictwem jest bardziej nieprzewidywalny. Chociaż „Laudato si'" było kontynuacją tego, co mówił już Benedykt XVI, i są też inne miejsca wspólne między tymi pontyfikatami. Dzisiaj istnieje tendencja, zwłaszcza wśród amerykańskich katolików, do wyolbrzymiania rozdźwięku między wizjami obu papieży. Częściowo dlatego, że Amerykanie postrzegają wszystko w kategoriach wojen politycznych i kulturowych. Będąc np. we Włoszech, zauważyłem, że konserwatywni katolicy nie wydają się tak krytyczni wobec Franciszka. Podejrzewam, że amerykańskim katolikom po prostu brakuje szerszej perspektywy kulturowej, aby podążać za jego bardzo łacińską kulturą teologiczną, zawdzięczającą wiele Léonowi Bloyowi (który nie jest do końca liberałem). Ponadto stawiane przez niego pytania dotyczące praktyki duszpasterskiej w odniesieniu do kwestii seksualnych są po prostu nieuniknione i uzasadnione.

A w związku z aktualnymi pracami synodalnymi nie uważam, że to, co sugerują niemieccy biskupi, jest aż tak ekstremalne, nawet jeśli podejrzewam ich ogólnie o bycie liberałami. Sądzę, że istnieje realne niebezpieczeństwo, iż jeśli te kwestie nie zostaną poruszone, to Kościół katolicki ostatecznie się podzieli.

Narracja o niebezpieczeństwie rozłamu w Kościele pod rządami Franciszka jest nadal obecna – zwłaszcza ze względu na jego głośną krytykę tradycjonalistów.

Jeśli chodzi o Franciszka, to martwiłbym się przede wszystkim zakazem odprawiania mszy w rycie trydenckim. Problem polega na tym, że rzekomo łacińska msza jest używana jako koń trojański przez konserwatywne ugrupowania próbujące podważyć Sobór Watykański II w ogóle. Poza tą kwestią w zasadzie nie widzę powodu, by ją tłumić. I nie sądzę, z mojego doświadczenia, żeby wszyscy młodzi ludzie, których przyciąga ta forma kultu, byli koniecznie tego rodzaju konserwatystami. Kościół katolicki potrzebuje gruntownego przemyślenia liturgii i musi przywrócić piękno świętości wyrażanej w kulcie. Jeśli cokolwiek było błędem Soboru Watykańskiego II, to właśnie prozaiczne podejście do liturgii. Inną rzeczą, która martwi mnie w związku z Franciszkiem, jest jego widoczny brak wsparcia dla chrześcijan w Chinach i jego raczej tylko częściowe wspieranie Ukrainy. Martwi pewien rodzaj „trzecioświatowości" papieża.

W Polsce krytykuje się papieża w związku z jego polityką. Mieliśmy papieża, który ze względu na swoje pochodzenie był skrajnie antykomunistyczny. Teraz mamy papieża z Ameryki Łacińskiej, który jest bardzo sceptyczny wobec amerykańskiej polityki i NATO. Widać to w jego stanowisku wobec wojny na Ukrainie.

Bez wątpienia nasze długoterminowe relacje z Rosją od 1990 r. były wyjątkowo głupie. Częściowo ponosimy za to winę. Ale to już przeszłość. Nie można tego wykorzystywać do usprawiedliwiania Putina i jego postępowania z Ukrainą w teraźniejszości. Więc martwiłbym się o Franciszka w tym względzie.

Ale jest jednak pewne ukryte podobieństwo między Franciszkiem i Janem Pawłem II. Większość XX-wiecznego papiestwa była w pewnym sensie ultramontanistyczna, absolutyzująca władzę i autorytet papieski, w tym sensie, że chodziło o ochronę katolików w sekularyzujących się krajach republikańskich, zwłaszcza we Francji i w USA. Częściowo, by osiągnąć ten cel, utrzymywano watykański absolutyzm i centralizację. Jan Paweł II, dla kontrastu, pochodzący z bardzo katolickiego kraju, miał większe poczucie połączenia katolicyzmu z narodem i dziedzictwem narodowym. A Franciszek, pochodzący z Ameryki Łacińskiej, ma większe poczucie zakorzenionego katolicyzmu w ludzie i częściowo dlatego zmierza w kierunku decentralizacji i synodalności. Wydaje się to być prawidłowym działaniem, wraz z daniem więcej władzy biskupom, biorąc pod uwagę, jak bardzo Kościół katolicki jest scentralizowany. Ale mam mało wiedzy na temat tego, jak to wygląda w praktyce.

Powiedziawszy to, z pewnością martwiłbym się jego „trzecioświatowością". Zwłaszcza w takim stopniu, w jakim można ją powiązać z relatywizacją złożoności Zachodu. Wtedy traci się z oczu jakościowe różnice między biurokracjami konstytucyjnymi z jednej strony (które są zepsute, ale nie przerażające), a reżimami totalitarnymi z drugiej (które są po prostu przerażające). Kończy się to takimi absurdalnymi stwierdzeniami, że imperium brytyjskie było tak samo złe jak nazizm.

Cała retoryka w stylu „To czas zemsty na białych mężczyznach" nie jest wcale pomocna w naprawianiu dzisiejszej globalnej niesprawiedliwości, która wciąż bez wątpienia istnieje. Obawiam się jednak, że Franciszek nie ma wystarczająco subtelnej i silnej samokrytyki kulturowej charakterystycznej dla Zachodu, jaką mieli Benedykt XVI czy Jan Paweł II.

© Rozmawiał PIOTR POPIOŁEK

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

KRAKÓW, czwartek 11 stycznia, godz. 18.00
spotkanie z dr hab. Anną Czaplicką, „Eco w Piwnicy. Smog w mieście", Piwnica Powszechna (ul. Pijarska 5/20) / stacjonarne /

POZNAŃ, poniedziałek 15 stycznia, godz. 20.00
spotkanie z o. Tomaszem Dostatnim OP, „Wiara i niewiara" (wykład z cyklu „Wiara i duchowość") / online /

KATOWICE, środa 17 stycznia, godz. 18.00
spotkanie z o. Wojciechem Drążkiem CMM, „Cisza, która jednoczy", Sala Parnassos Biblioteki Śląskiej (pl. Rady Europy 1) / hybrydowe /

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Figura Jezusa we wsi Maszna, woj. mazowieckie, 24 czerwca 2022 r.

Parafia na zielono

KRZYSZTOF STORY

Czy polski Kościół jest na bakier z ekologią? Przecież troska o planetę, bliźnich i cały świat jest wpisana w chrześcijaństwo.

Szkoda, że tę myśl łatwo zagłuszają takie wspomnienia, jak to sprzed czterech lat, kiedy abp Marek Jędraszewski w wywiadzie dla TV Republika straszył „ekologizmem" – ideologią według niego niezgodną z Biblią, zagrażającą naszej kulturze i porządkowi świata.

Tylko że to nie jest cała prawda. Po pierwsze – nawet arcybiskup, w tej samej rozmowie, nie tylko demonizował ruchy ekologiczne (najbardziej dostało się Grecie Thunberg), ale też krytykował nadmierną konsumpcję i mówił: „Dokonało się wiele zła i różne problemy ekologiczne, które dzisiaj występują, są niewątpliwie przejawem czegoś, co domagałoby się głębokiego nawrócenia". Po drugie – Kościół to nie monolit, który tylko walczy z lewicowymi ekologami. Są też zupełnie inne przykłady.

– Wiedziałam, że muszę dokonać wyboru: albo odchodzę z Kościoła, albo sama zaangażuję się w zmianę – mówi Magdalena Kadziak, gdy spotykamy się w Krakowie podczas konferencji „Creatio Continua" zorganizowanej przez Światowy Ruch Katolików na rzecz Środowiska. Pochodzi ze Szczecina, studiuje teologię, a dzisiaj zarządza programem Zielone Parafie. – Zawsze miałam w sercu lokalny aktywizm, choć wiem, że on nie rozwiązuje całego problemu. Obserwowałam np., jak dużo Kościół mówi o wartości rodziny, podczas gdy w prawie żadnej parafii nie ma przewijaka dla dzieci. Podobnie było z ekologią, klimatem. Sprawiedliwość społeczna to może wyświechtane hasło, ale jest też rdzeniem chrześcijaństwa. A jego podstawą jest również prawo do życia w dobrym środowisku, oddychania zdrowym powietrzem, picia czystej wody.

W 2018 r. zaczęła pracę w Światowym Ruchu Katolików na rzecz Środowiska. W Katowicach miał odbyć się wtedy ogólnoświatowy szczyt klimatyczny. – Zachęcaliśmy ludzi do modlitwy za tę konferencję, jej wynik. Już wtedy wiedzieliśmy, że chcemy zrobić więcej – wspomina Kadziak. Małym zespołem zaczęli jeździć do biskupów, księży, zbierać kontakty i planować działania. W 2021 r. oficjalnie ruszył program Zielone Parafie.

– Naszym dokumentem założycielskim, taką konstytucją, jest encyklika „Laudato si" papieża Franciszka – tłumaczy Magdalena. Na stronie Zielonych Parafii jest wiele cytatów z tej ekologicznej encykliki, choćby taki: „Życie powołaniem, by być obrońcami dzieła Bożego, jest istotną częścią życia uczciwego, nie zaś czymś opcjonalnym, ani też drugorzędnym elementem doświadczenia chrześcijańskiego".

– Większość katolików właśnie z pontyfikatem Franciszka kojarzy proekologiczny nurt w Kościele, ale źródeł naprawdę jest więcej. Już ponad 20 lat temu o potrzebie ekologicznego nawrócenia mówił Jan Paweł II – przekonuje Kadziak.

Jak dołączyć do Zielonych Parafii?

Dziś ruch stworzony w 2021 r. skupia 154 parafie. To dużo czy mało? – Jeśli porównać to do ponad 10 tysięcy wspólnot w całej Polsce, można pomyśleć, że boleśnie mało – mówi Magdalena. – Mamy ambicje, by tę liczbę zwiększać. Nie zawsze jest to łatwe. Z drugiej strony mamy też satysfakcję z tego, co jest. Bez niej każdy aktywizm zamienia się w ogromne źródło frustracji, bo zawsze wszystkiego jest za mało. A my przecież z definicji działamy na małą skalę, w niewielkich wspólnotach.

Każdy może dołączyć do programu, wypełniając formularz znajdujący się na stronie internetowej. Wierni, otrzymując regularne wiadomości mailowe, mogą pójść do proboszcza i zaproponować mu dane działanie. Często impuls wychodzi ↦

↦ od świeckich, którzy wspólnie z księżmi angażują się w działania parafialne. Sami aktywiści też starają się szukać nowych kontaktów. – Namawiamy biskupów, by wspierali nasze działania – mówi Kadziak. – Oczywiście na różnych poziomach spotykamy się z obawami i nieufnością, ale najczęściej rozmowa przebiega zupełnie inaczej. Wszyscy odwiedzeni przez nas biskupi w kilkunastu diecezjach wyrażają troskę o realizację przesłania encykliki „Laudato si", jednak część z nich ostrzegła nas, że prawdziwym wyzwaniem będzie współpraca z proboszczami. Na pewno jest nam łatwiej niż innym organizacjom ekologicznym, bo od wejścia możemy powiedzieć, że współpracujemy z watykańską Dykasterią ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. Mówiąc krótko: jesteśmy swoi.

Na czym polega zazielenianie parafii? To zależy od zaangażowania samej wspólnoty, program głównie podpowiada kierunki i daje gotowe instrukcje, ale to tylko przysłowiowa wędka, rybę trzeba złowić samemu. – Nasze działania są połączone z kalendarzem liturgicznym. Szczególnie ważnych jest pięć terminów: Wielki Post, tydzień „Laudato si" (ostatni tydzień maja), święto Matki Boskiej Zielnej (15 sierpnia), niedziela świętego Franciszka z Asyżu (początek października) i Adwent – mówi Magdalena. – Przy każdym z tych pięciu kroków staramy się zachęcić do konkretnej zmiany.

Kampanie Zielonych Parafii dotyczą różnych aspektów: marnowania żywności i nadmiernej konsumpcji, w której zachęcano parafie do umożliwienia wiernym wymieniania się używanymi rzeczami. Od dwóch lat odbywa się też wielkopostna akcja „Bóg daje życie, smog je odbiera" we współpracy z Polskim Alarmem Smogowym, która zwraca uwagę na problem zanieczyszczenia powietrza. Nowością w tym roku jest program „Ciepły dom, ciepły kościół" poświęcony ubóstwu energetycznemu (ten problem dotyczy nawet 14 proc. polskich domów). W ramach kampanii w kościołach (podczas kazań, ogłoszeń parafialnych, w modlitwie wiernych, a także w gablotach z ogłoszeniami) pojawiają się informacje i rady, jak skutecznie obniżyć koszty ogrzewania czy to samej parafii, czy domów wiernych. „Rozwiązując dotkliwy problem lokalny, jakim jest zimno w domu czy w kościele, przeciwdziałamy problemom globalnym,

GOV.PL

MAGDALENA KADZIAK: *poczucie wspólnoty jest dla nas szalenie ważne, tym bardziej że z ekologicznymi działaniami w polskim, silnie zhierarchizowanym Kościele łatwo poczuć się samotnym.*

jakimi są dramatyczne zmiany klimatyczne" – mówili w wywiadzie dla „Tygodnika" koordynatorzy tego programu, Joanna i Mariusz Zatylni.

Działania Zielonych Parafii są podobne do pracy wielu innych organizacji ekologicznych, zwracają uwagę na podobne tematy, promują rozwiązania, które często są już gotowe (a czasem nawet finansowane przez państwo, jak program Czyste Powietrze). Różnice są dwie: – Pierwsza to grupa docelowa. Docieramy do podstawowej dla katolika przestrzeni, czyli jego parafii. Nie chodzi tylko o to, że parafia jest jednym z miejsc, gdzie ludzie się gromadzą, ale też o cel tego gromadzenia się. Przecież to właśnie tam katolicy przychodzą, by szukać swojej drogi do Boga – mówi Magdalena Kadziak. – Druga to sposób działania: u nas obok występujących najczęściej działań praktycznych i edukacyjnych pojawia się jeszcze trzeci filar: modlitwa. Można by pomyśleć, że w nasze akcje angażują się osoby, którym zależy na stanie środowiska, klimacie i przyrodzie, a oprócz tego są jeszcze katolikami. Rzeczywistość jest taka, że dla większości z nich troska o planetę wypływa właśnie z wiary, jest jej bezpośrednią konsekwencją. Instalowanie zbiorników na deszczówkę, paneli słonecznych czy obsianie łąki kwietnej jest dla nich elementem chrześcijaństwa. To jest przeżycie duchowe, w myśl biblijnej tezy, że wiara bez uczynków jest martwa.

Przykładem może być tegoroczna modlitwa adwentowa Zielonych Parafii: „Naucz nas postawy troski i odpowiedzialności względem całego stworzenia. Obdarz nas wrażliwością i umiejętnością opieki nad środowiskiem, które zostało nam powierzone, abyśmy mogli je przekazać nienaruszone i piękne kolejnym pokoleniom". Można się spierać, czy środowisko zostało nam powierzone i możemy je przekazywać, czy raczej jesteśmy jedną z jego równoprawnych części, ale jedno jest pewne – warto, by pozostało piękne i nienaruszone.

Msze pod gołym niebem

Ważnym punktem roku, bez którego Magdalena nie wyobraża sobie całego programu, jest coroczny zjazd Zielonych Parafii. – To poczucie wspólnoty jest dla nas szalenie ważne, tym bardziej że z ekologicznymi działaniami w polskim, silnie zhierarchizowanym Kościele łatwo poczuć się samotnym – mówi. – A w takim gronie naprawdę możemy uczyć się od siebie, wspierać i zobaczyć zmiany. Że któryś proboszcz ze Śląska zrobił łąkę kwietną na parafii. Że parafia z Kielc organizuje wycieczki rowerowe, że gdzieś odbyły się rekolekcje o wartości przebywania w lesie. Ta praca spowodowała też zmiany w moim życiu, zmusiła mnie do posiadania wiedzy często dla mnie niewygodnej. Na przykład parę lat temu przestałam jeść mięso.

Zastanawiam się głośno, czy nawet pominąwszy poglądy tego czy innego biskupa, teologia katolicka nie narzuca złego sposobu myślenia o ekologii i znaczeniu przyrody, który skupia się w biblijnym wersecie: „czyńcie sobie ziemię poddaną". – Zależy, jak rozumiesz to zdanie. Ono oczywiście stawia człowieka w innej roli niż cała reszta stworzenia – mówi Magda. – Ale to do nas należy decyzja, czy będzie to rola władcy, czy opiekuna. Obowiązek, a nie prawo. A biorąc całość chrześcijaństwa pod uwagę, należałoby dodać drugie zdanie: czyńcie sobie ziemię kochaną.

Realizacja tego „obowiązku" to jeden z najtrudniejszych elementów pracy Zielonych Parafii. Czasem obok innych wątpliwości i obaw słyszą jeden argument: – Że Kościół jest do modlenia, a nie robienia. Że to nie miejsce na aktywizm – Magdalena uśmiecha się. – My pokazujemy, że to nieprawda. Że wspólnota ma ogromną moc, a parafia nie jest sklepem, do którego przychodzisz, płacisz, dostajesz towar i wychodzisz. Tak, to wymaga zaangażowania. Ale gdy widzę, jak udaje się wracać do pięknej tradycji nabożeństw majowych na świeżym powietrzu, gdy ludzie dostrzegają, że ten świat to dar, którym należy się cieszyć, wiem, że to też ogromna wartość.

©℗ KRZYSZTOF STORY

RODRIGO ABD / AP / EAST NEWS

Ewangelikalny pastor z kościoła Puerta del Cielo chrzci chłopców w więzieniu dla młodzieży. Piner, Argentyna, 11 grudnia 2022 r.

Postkatolicki kraj papieża

DOMA MATEJKO

Liczba katolików w Argentynie maleje. Wierni w ojczyźnie Franciszka przechodzą do nowych Kościołów ewangelikalnych lub odchodzą od katolicyzmu po cichu i nieformalnie.

Liczba katolików w Argentynie zmniejsza się z roku na rok. Przybywa za to chrześcijan ewangelikalnych. Coraz więcej ludzi przyznaje, że są agnostykami. W ojczyźnie papieża Franciszka bardzo często można też spotkać osoby, które ze strachu przed opinią innych pozostają w Kościele katolickim, mimo że uważają się za osoby niewierzące. W Argentynie, która powszechnie uznawana jest za kraj katolicki, liczba osób deklarujących przynależność do Kościoła katolickiego na przestrzeni ostatnich dekad wyraźnie spadła. W spisie ludności z 1960 r., który zawierał pytanie o religię, liczba zadeklarowanych katolików wynosiła 90 proc. Według Krajowego Badania Przekonań i Postaw Religijnych przeprowadzonego przez Conicet w 2019 r. liczba katolików spadła do 63 proc. To prawie 30 punktów proc. w ciągu 60 lat.

Mimo że od czasu badania z 2019 r. nie przeprowadzono badań dotyczących religijności, które swoim zasięgiem obejmowałyby większość społeczeństwa argentyńskiego, socjolodzy i badacze twierdzą, że spadek liczby katolików nigdy nie był aż tak zauważalny, jak to ma miejsce w tej chwili. Argentyna nie jest oczywiście pod tym względem fenomenem. To zjawisko obserwuje się również w innych krajach regionu. Jednak biorąc pod uwagę bardzo silną obecność Kościoła katolickiego w Argentynie jeszcze w ubiegłym wieku i – co jest jeszcze bardziej znaczące – osobę papieża, który jest tu prawdziwą ikoną, wyraźny spadek liczby katolików w ostatnich latach może zastanawiać.

Za daleko

Członków nowych Kościołów jest i będzie coraz więcej. – Proces wzrostu zaczął się w latach 80., kiedy odsetek chrześcijan ewangelikalnych wynosił 2 proc. społeczeństwa. Obecnie jest nas około 19 proc. – mówi w rozmowie dla „Tygodnika" pastor Christian Hooft, przewodniczący Chrześcijańskiego Związku Kościołów Ewangelikalnych w Argentynie.

Jedną z przyczyn tego zjawiska jest fakt pojawienia się nowych Kościołów w regionach, gdzie dotychczas brakowało księży katolickich. Są miejscowości, w których msze święte odbywają się raz w miesiącu lub rzadziej, przy przydrożnych kapliczkach. Brakuje księży, a parafianie często nie mają samochodów, żeby móc pojechać do kościoła, nierzadko oddalonego o dziesiątki kilometrów od miejsca zamieszkania. Problem dotyczy zwłaszcza północno-zachodniej Argentyny. Paradoksalnie, mimo że ten region utrzymuje najwyższy odsetek katolików w Argentynie, który wynosi 76 proc., to właśnie tam katolicyzm najbardziej ustąpił miejsca nowym Kościołom ewangelikalnym. W ciągu jedenastu lat liczba chrześcijan ewangelikalnych w tym regionie wzrosła z 3,7 do aż 16,7 proc. – Wpływ na to ma kilka czynników – komentuje pastor ↦

↦ Christian Hooft. – Jest to wynik rozczarowania wielu osób innymi wyznaniami.

Pastor podkreśla różnorodność ewangelikalnej liturgii, która dopasowuje się do danego kontekstu kulturowego i z nim współgra. Bezpośredniość w relacjach jest dla Argentyńczyków nieodłączną częścią stylu komunikowania się, co po części przekłada się na sposób, w jaki chcą doświadczać religii. – Nasza liturgia opiera się na bezpośredniej relacji z Bogiem i na wierze w Jezusa, a nie na uczynkach, obrzędach, które same w sobie przecież nie są zbawcze, a jedynie symboliczne – mówi Hooft.

Jednak według pastora główny powód rozrastania się ich wspólnot jest ponadnaturalny. Zarówno Hooft, jak i wierni Kościołów ewangelikalnych uważają, że najważniejsze jest tu działanie Boga.

Boisko, chleb i modlitwa

Warto jednak zauważyć, że zwiększone zainteresowanie nowymi Kościołami chrześcijańskimi to również efekt aktualnego stanu krajowej gospodarki. Argentyna przechodzi przez potężny kryzys ekonomiczny, który sukcesywnie się pogłębia. Tylko w mijającym roku inflacja wyniosła ponad 143 proc. Ponad 40 proc. społeczeństwa żyje w biedzie. W sytuacji życiowego impasu ludzie zaczęli zwracać się do instytucji, które oferowały nie tylko pomoc duchową, ale i materialną. Na tę potrzebę odpowiedziały zwłaszcza Kościoły pentekostalne, które zaczęły prowadzić pomoc humanitarną tam, gdzie nikt wcześniej nie dotarł. – Ameryka Łacińska przechodzi przez kryzys ekonomiczny. W niektórych krajach jest to bardziej widoczne, w innych mniej – mówi „Tygodnikowi" socjolog z Uniwersytetu w Buenos Aires Ariel Goldstein. – Ruch pentekostalny w całym regionie zaczął udzielać bezpośredniej, materialnej pomocy w regionach najbardziej dotkniętych kryzysem. Zaczęły powstawać stołówki prowadzone przez pastorów, a nawet boiska do piłki nożnej.

Socjolog zauważa, że działalność Kościołów ewangelikalnych jest coraz bardziej nakierowana na pomoc osobom uzależnionym i ich rodzicom. Kościoły prowadzą zajęcia i kluby sportowe dla młodzieży, dzięki czemu w pewnym stopniu udaje się jej pokazać nową, pozbawioną przemocy rzeczywistość. Jednak wiara, która najpełniej przejawia się w czynach, praktycznie od zawsze była charakterystyką nie tylko argentyńskiej, ale też latynoskiej religijności w ogóle i nie jest to domena wyłącznie Kościołów ewangelikalnych. To w Ameryce Łacińskiej narodziła się katolicka teologia wyzwolenia, która głosi solidarność z ubogimi i działanie przeciwko ubóstwu.

Kościoły ewangelikalne docierają w Argentynie na peryferia, do których nie dociera Kościół katolicki. Mimo że papież Franciszek wiele o nich mówi.

Dlaczego więc obecnie bardziej widoczna jest pomoc, którą niosą Kościoły ewangelikalne? Goldstein tłumaczy, że wynika to z odmiennej struktury instytucjonalnej. – Hierarchia Kościoła katolickiego przypomina piramidę, natomiast struktura Kościołów ewangelikalnych jest płaska – wyjaśnia. – Żeby zostać księdzem, musisz iść do seminarium, uczyć się przez wiele lat, a nawet i to nie gwarantuje wyświęcenia, bo decyzja zależy od zwierzchników. Natomiast żeby zostać pastorem, trzeba zacząć głosić. Wspólnoty ewangelikalne charakteryzują się dużo większą elastycznością – twierdzi socjolog. Z tego powodu chrześcijanie ewangelikalni szybciej i łatwiej mogą zacząć głosić i nieść pomoc tam, gdzie jest to najbardziej potrzebne, wypełniając tym samym lukę nie tylko duchową, ale i materialną.

Głos sumienia

Argentyńczycy chcą zmiany w sposobie, jaki doświadczają religijności, w społeczeństwie i w polityce. Wybory prezydenckie, które odbyły się w listopadzie, wygrał Javier Milei, reprezentant skrajnej prawicy, który sam siebie określa jako anarchokapitalistę. Jego ponad dziesięcioprocentowa przewaga nad kandydatem lewicy Sergio Massą dziwi o tyle, że w czasie kampanii wyborczej Milei obrażał wszystkich, łącznie z papieżem Franciszkiem, o którym powiedział, że „jest głupcem" i „wysłannikiem złego". Ta wypowiedź wzbudziła oczywiście sprzeciw środowisk katolickich, jak i osób niezwiązanych religijnie, które uważają Franciszka za obecnie najważniejszego Argentyńczyka.

Na murach w Buenos Aires oraz w mniejszych miejscowościach zaczęły pojawiać się plakaty z napisami „Lud kocha papieża. Milei go nienawidzi". Jednocześnie zaczęto szukać związków Javiera Mileia z Kościołami ewangelikalnymi. Porównywano Mileia do Jaira Bolsonaro, byłego ultraprawicowego prezydenta Brazylii, którego silne powiązania z Kościołami pentekostalnymi pomogły w zdobyciu głosów ewangelikalnej części społeczeństwa. Jednak w przeciwieństwie do sytuacji w Argentynie, związki nowych protestantów z polityką brazylijską są dużo wyraźniejsze. W Brazylii istnieje Ewangelikalny Front Parlamentarny, a najważniejsi pastorzy w kraju jasno opowiadali się za kandydaturą Bolsonaro. Christian Hooft podkreśla, że przed wyborami on oraz wielu pastorów apelowało o głosowanie zgodnie z własnym sumieniem, bez wskazania któregokolwiek z kandydatów. Nie ma bezpośredniego związku między ruchami ewangelikalnymi a wygraną ultraprawicowego polityka. Pewnym jest jednak, że Milei swoimi radykalnymi wypowiedziami zjednał sobie fundamentalistów wszystkich wyznań i tych, którzy chcieli zmiany za wszelką cenę.

Katolik ze strachu

Wielu Argentyńczyków formalnie pozostaje katolikami, nawet kiedy zaczyna uczestniczyć w nabożeństwach pentekostalnych. Są też tacy, którzy nie odchodzą od katolicyzmu ze strachu.

Daniela urodziła się w rodzinie wierzącej. Pracuje w katolickiej szkole, mimo że dzisiaj nie jest już katoliczką. Nie ujawnia się jednak ze swoimi poglądami w obawie, że straci pracę. Poprosiła o zmianę imienia w artykule. Od Kościoła katolickiego odeszła nieoficjalnie. Ciążyło jej nieustanne poczucie lęku. – Myślę, że Kościół katolicki wykorzystuje osoby podatne na manipulacje, a jego głównym narzędziem jako instytucji jest wywoływanie poczucia winy – mówi. – Przeraża mnie ten moment w liturgii, kiedy bijesz się pięścią w pierś i mówisz „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina". To dla mnie za dużo.

Daniela ma 38 lat i obawia się oficjalnie odejść z Kościoła, bo jak przyznaje, przez tyle lat edukacji katolickiej wciąż boi się kary ze strony ludzi i Boga.

© DOMA MATEJKO

ZUZANNA

Radzik:
Wcielić się w siebie

„Styczeń", burknęłam pod nosem, wchodząc na siłownię i widząc tam tłum ludzi, zajęte szafki i kolejki do prysznica. Kiedyś czytałam o tym zjawisku tylko w gazetach, od jakiegoś czasu obserwuję je na własne oczy. Mniej więcej od wtedy, kiedy regularny sport zagościł w moim życiu, czyli od niedawna. Wciąż wydaje mi się to trochę wstydliwe, niezbyt sprawnie wyginam grzbiet na gimnastyce, nieśmiało używam maszyn, bo pamiętam spektakularny upadek z bieżni, oraz nie umiem regulować wysokości roweru i niezmiennie myślę, że od tych treningów można umrzeć. Podglądam niedyskretnie, jak inni zanurzają rękę, pływając na plecach, bo do niedawna znałam tylko plażową żabkę. A jednak chodzę, próbuję. Dużo mnie kosztowała zmiana podejścia i danie sobie przyzwolenia, by się na tym po prostu nie znać, próbować, stawiać niedoskonałe kroki. Traktować jak zabawę, która ma wyższy cel.

Ruszać się nie wbrew sobie i nie tylko w styczniu, na stałe i z przyjemnością. Nie wiem, czy osiągnęłam ten stan, ale dorobiłam się ideologicznego (teologicznego może również?) uzasadnienia. Jest wiele powodów, żeby uciekać od ciała. Od ciała uciekają dorastające dziewczynki, bo nagle zaczyna być nie swoje i zwracać niepożądaną uwagę, o czym znakomicie w „Dziewczyństwie" pisała Melissa Febos. A już najbardziej uciekają wtedy z WF-u, używając magicznej frazy „mam okres". Tak naprawdę unikają oceny – zarówno nauczycielskiej, jak i koleżeńskiej.

Uciekają więc młodsze, ale też i starsze kobiety, bo ciało wiecznie jest „nie takie". Tu czegoś brakuje, w innym miejscu jest nadmiar. Walczymy, poprawiamy, ale wciąż niezadowolone. Uciekamy, bo to próżne zbyt, by się tym przejmować, bo to sprawy błahe, a są przecież ważniejsze. Nie zauważamy, ile to ciało może, ile nam daje i umożliwia. Nie zauważamy, póki jest sprawne. Aż nagle ciało dopada i przypomina, że nie ma nas bez niego. Przynajmniej nie w tym świecie i nie na razie. Wcielić się w siebie – taki mam nowy projekt, nowy cel.

Upomnienie się ciała o naszą uwagę nie musi być dramatyczne. Wystarczy, że jest zawsze niewyspane, czym atakuje i nasze myślenie, i cierpliwość. To życie na kredyt zaciągany u nas samych, zgadzających się na pęd, stres, bezruch i niedospanie. Moje oświecenie „pod Damaszkiem" wyglądało tak, że w popłochu szukałam przepisu, jak zoptymalizować swoje dni, by wycisnąć z nich jeszcze więcej. Była szansa na kolejny ekscytujący projekt, ale kończyły się siły. Szukałam więc rad, jak zarządzać czasem, żeby się szybko dowiedzieć, że tylko sobą w czasie można zarządzić. Rada jednak wytrąciła mnie zupełnie z ówczesnego trybu. „Jeśli nie śpisz 7-8 godzin, nie jesz regularnie i w miarę zdrowo oraz nie uprawiasz choć trochę sportu, to czym ty chcesz zarządzać?" – pytała z internetowego filmiku Ola Budzyńska, ówcześnie znana jako przedsiębiorczyni internetowa Pani Swojego Czasu. To nie kryptoreklama, Budzyńska zmieniła życie i nie prowadzi już tamtej działalności, moja wdzięczność jednak trwa. A z drugiej strony wstyd trochę, żeby do zrozumienia takich rzeczy prawie czterdziestolatka potrzebowała internetowego filmiku.

Osiem godzin snu wydawało się poza zasięgiem, choć jedyną przeszkodą byłam ja sama i przekonanie, że są rzeczy ważniejsze. A potem nastąpiło trudne do wytłumaczenia nawrócenie, nieco pod osłoną pandemii, zdalnej pracy i wyciszenia zobowiązań zewnętrznych. Gdy te wróciły, wpadłam na jakieś zawodowe spotkanie, gdzie przy kawie wszyscy mówili, co u nich. Ile się dzieje, że znów wrócił pęd, że mało śpią, bo jest tyle ważnych spraw. Moi ludzie, mój świat. I nagle ktoś zapytał, co u mnie. Prawdziwym testem tego nawrócenia było, czy przyznam, iż najważniejsze u mnie jest to, że śpię osiem godzin i chodzę na spacery, a co więcej, regularnie pływam (choć basenu wciąż nie znoszę). Prawdziwym testem było przyznać, że nie mam wtedy ważniejszych rzeczy do zrobienia, a zatem może nie jestem tak ważna i tak bardzo we wszystkim potrzebna. A jeszcze prawdziwszym testem było pozwolić sobie na to bezczelne samolubstwo, które pozwala przyjąć, że mój sen i spacer są ważniejsze niż wszystkie inne ważne sprawy.

A że jestem Polką i katoliczką, wychowaną w kulcie poświęcania życia dla wyższych spraw, to wciąż nie wiem, czy tak można. Ani czy wypada. Ale trzymam się tego samolubstwa kurczowo. Śpijcie długo, a może jeszcze dłużej, w tym nowym roku! ©

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Teresa Życzkowska

(z d. Heydel)

ur. 26 lutego 1931 r. w Brzózie koło Kozienic

zm. 7 grudnia 2023 r. w Krakowie.

Najukochańsza Mama i Babcia,

doktor nauk chemicznych, długoletni pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego,

w latach 1980-1989 działaczka Komisji Zakładowej „Solidarność" UJ,

odznaczona medalem „Dziękujemy za wolność".

Przez ponad 60 lat wierna czytelniczka „Tygodnika Powszechnego".

Karol Życzkowski

ŚWIAT

AMERYKA POD ŚCIANĄ

Donald Trump w walce o Biały Dom sięga po coraz bardziej skrajną retorykę, a Demokraci po cichu uważają, że to najlepsze, co mogło im się przytrafić.

MARTA ZDZIEBORSKA

„Chaos" – to słowo najlepiej oddające obecną sytuację w USA. Aż 32 amerykańskie stany podjęły próbę wykluczenia Donalda Trumpa z prawyborów republikańskich rozpoczynających się już w połowie stycznia. Na razie w dwóch stanach się to udało – w Maine i Colorado nakazano wykreślenie byłego prezydenta z list wyborczych w oparciu o 14. poprawkę do konstytucji. Jej trzeci paragraf, używany zaraz po wojnie domowej przeciwko zwolennikom Konfederacji, zabrania sprawowania urzędu osobom, które zaangażowały się w rebelię przeciwko USA. W przypadku byłego prezydenta chodzi o rolę, jaką odegrał w pamiętnym szturmie na Kapitol – 6 stycznia 2021 r. tłum zagrzewany kłamstwami o jego rzekomym wyborczym zwycięstwie wtargnął do siedziby Kongresu. 5 osób zginęło, co najmniej 138 policjantów zostało rannych.

Prawnicy Trumpa zaskarżyli decyzje z Colorado i Maine. To stawia pod ścianą sędziów Sądu Najwyższego USA, których zadaniem jest rozstrzyganie największych sporów prawnych w kraju. Mówi się już, że będzie to dla nich najcięższa próba od czasu wyborów prezydenckich w 2000 r., gdy sąd nie zezwolił na ponowne liczenie głosów na Florydzie. To przypieczętowało zwycięstwo George'a W. Busha nad Demokratą Alem Gore'em i uruchomiło falę oskarżeń wobec sądu: przedstawiano go jako upolitycznione gremium, które przyłożyło rękę do przegranej Gore'a, choć ten w skali całego kraju zgarnął ponad pół miliona głosów więcej niż przeciwnik.

Niebezpieczny precedens

Ponad 23 lata później sytuacja sędziów może być jeszcze trudniejsza: nie dość, że jedna trzecia 90-osobowego składu została nominowana za prezydentury Donalda Trumpa, to jeszcze sędziowie mieliby orzekać o legalności jego kandydatury tuż przed prawyborami i na długie miesiące przed listopadowym pojedynkiem o Biały Dom. Przynajmniej na tym etapie wydaje się mało prawdopodobne, by Sąd Najwyższy utrzymał w mocy decyzje z Kolorado i Maine. Wykluczenie z wyścigu głównego kandydata Partii Republikańskiej postrzegane byłoby jako podważanie amerykańskiej demokracji i sianie chaosu – taki ruch zachęciłby nie tylko kolejne stany do prób zdyskwalifikowania Trumpa, ale także stworzyłby niebezpieczny precedens na przyszłość. Eksperci przestrzegają, że po podobną taktykę mogłyby sięgnąć republikańskie stany, by pozbyć się rywali z Partii Demokratycznej.

Sąd Najwyższy musi działać sprawnie: już 5 marca odbędzie się Super Wtorek, czyli dzień głosowania w prawyborach w kilkunastu stanach, w tym m.in. w spornych ↦

Donald Trump podczas konwencji w Reno w stanie New Jeresy. 17 grudnia 2023 r.

JABIN BOTSFORD / THE WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

↦ Maine i Colorado. Wyborcy z tego ostatniego stanu wystosowali do sędziów pismo z apelem, by ci szybko zdecydowali, czy rozstrzygną pozwy z Maine i Colorado (mogą odmówić), a jeśli tak, to by wydali werdykt przed 11 lutego. Dzień później rozsyłane są bowiem do mieszkańców karty do głosowania korespondencyjnego.

To zresztą nie koniec amerykańskiego *political fiction*: Sąd Najwyższy ma również rozstrzygnąć spór, czy zasadnie skazywano uczestników szturmu na Kapitol w oparciu o przepisy dotyczące obstrukcji oficjalnego posiedzenia władz. Taki zarzut postawiono również Trumpowi, który podburzał tłum przed oficjalną certyfikacją głosów elektorskich przez Kongres. Proces federalny w tej sprawie ma ruszyć 4 marca. Termin może jednak ulec zmianie. Trwa batalia o to, czy Trumpa chroni immunitet: jego prawnicy przekonują, że nie może być on ścigany za czyny popełnione w trakcie sprawowania urzędu prezydenta USA. Spór może trafić ostatecznie do SN, choć sędziowie już raz zamknęli drzwi prowadzącemu sprawę specprokuratorowi Jackowi Smithowi: odmówili zajęcia stanowiska z pominięciem sądów niższej instancji.

Dyktator pierwszego dnia

Ameryka stoi na konstytucyjnym rozdrożu i to w momencie, gdy rosną obawy, że druga kadencja Trumpa może oznaczać skręt w stronę autorytaryzmu. Polityk zaostrzył ostatnio retorykę, sugerując, że w przypadku wygranej nie cofnąłby się przed użyciem FBI i Departamentu Sprawiedliwości do zemsty na swoich wrogach politycznych. Na jednym z wieców wychwalał politykę premiera Węgier Viktora Orbána i odgrażał się, iż jako prezydent USA wypleni z kraju „robactwo", czyli „wszelkich komunistów, marksistów, faszystów i złodziei z radykalnej lewicy". Innym razem, z okazji świąt Bożego Narodzenia, Trump zaatakował Bidena i specprokuratora Jacka Smitha, życząc im, by „zgnili w piekle".

Jak alarmują mainstreamowe media w USA, w otoczeniu Trumpa rośnie grono konserwatystów opracowujących plan przejęcia przez niego władzy. Zakłada on m.in. osłabienie niezależności agencji federalnych i zmianę polityki zatrudniania urzędników państwowych, tak by można było ich zwolnić z dnia na dzień, jak w przeciętnej amerykańskiej firmie. Mnożą się obawy, że Trump obsadziłby kluczowe stołki lojalistami, także w Pentagonie i Departamencie Stanu, dzięki czemu łatwiej byłoby mu kształtować politykę według własnej wizji świata. „Chcemy zdemistyfikować Waszyngton. Wtargniemy tam i wpuścimy do środka resztę Ameryki" – mówi cytowany przez radio publiczne NPR Paul Dans, były pracownik administracji Trumpa i szef prawicowego think tanku 2025 Presidential Transition Project.

Choć sztabowcy Trumpa dystansują się od tych pomysłów, ich szef lubi na ten temat żartować. W grudniu podczas spotkania wyborczego transmitowanego przez stację Fox News Trump dowcipkował, że byłby dyktatorem „tylko pierwszego dnia". Wszystko po to, by, jak tłumaczył, zamknąć granicę USA–Meksyk (ze względu na napływ imigrantów) i przeforsować odwierty ropy naftowej w odległych rejonach Alaski. „Potem już nie będę dyktatorem, ok?" – szydził Trump, oskarżający imigrantów o to, że „zatruwają krew Ameryki".

Drudzy po Trumpie

Bez względu na to, czego by nie zrobił i nie powiedział Donald Trump, ma on miażdżącą przewagę nad rywalami w wyścigu o partyjną nominację. Według uśrednionego wyniku sondaży wyliczonego przez serwis 538, poparcie dla Trumpa na początku stycznia deklarowało aż 61,8 proc. republikańskich wyborców. Daleko w tyle plasował się gubernator Florydy Ron DeSantis (12,1 proc.) i była ambasadorka przy ONZ za administracji Trumpa – Nikki Haley (11,2 proc.). Pozycja byłego prezydenta jest tak silna, że najwięksi rywale boją się uderzyć w jego najczulszy punkt, czyli spór o wykreślenie z list wyborczych w Colorado i Maine. Na krytykę zdobył się jedynie były gubernator New Jersey Chris Christie, który otwarcie odcina się od Trumpa i przeprasza za to, że w 2016 r. poparł jego kandydaturę w wyścigu o Biały Dom (inna sprawa, że Christie wlecze się w sondażach z poparciem rzędu 3,4 proc.).

Walka w wyścigu już od dawna rozgrywa się nie o to, by wyprzedzić Trumpa, ale by uplasować się tuż za nim, na drugim miejscu. – Haley i DeSantis chcą być najbardziej wyrazistą alternatywą dla byłego prezydenta, na wypadek gdyby powinęła mu się noga w jednym z postępowań karnych i musiał zrezygnować z wyścigu – mówi „Tygodnikowi" prof. Andrew Smith, dyrektor ośrodka sondażowego na Uniwersytecie w New Hampshire.

Gra na podziały

Taktykę spoglądania kilka kroków naprzód widać m.in. w Iowa, gdzie szczególnie mocno aktywny jest Ron DeSantis. Gubernator, obawiając się, że jego kampania zgaśnie już po pierwszym starciu, zabiega o elektorat, przemierzając rolniczy stan wzdłuż i wszerz. Odwiedził już wszystkie 99 hrabstw, podobnie jak amerykański senator Ted Cruz, który w 2016 r. pokonał w Iowa Donalda Trumpa.

DeSantis, znany z mocno prawicowych poglądów, zdobył poparcie gubernatorki Iowa Kim Reynolds. Polityczka zrobiła to, twierdząc, że to on ma większe szanse na zwycięstwo w wyścigu o Biały Dom niż Trump. Poparcia DeSantisowi udzielił również wpływowy wśród ewangelików Bob Vander Plaats.

Dla odmiany, Nikki Haley skupia się głównie na stanie New Hampshire, gdzie 40 proc. elektoratu to wyborcy niezdecydowani, mający umiarkowane poglądy. Stwarza to szanse, że nie będą tak ślepo zapatrzeni w Donalda Trumpa jak mieszkańcy Iowa. Według sondażu opublikowanego przez dziennik „The Des Moines Register" retoryka Trumpa wielu wyborcom z tego rolniczego stanu nie przeszkadza lub wręcz zachęca ich do oddania na niego głosu.

Według sondaży z początku stycznia Trump ma w Iowa poparcie rzędu 50 proc., DeSantis – 18 proc., a Haley – 16 proc. W New Hampshire przewaga Trumpa topnieje: były prezydent ma tam 44 proc. poparcia, a kolejna na liście Haley – 26 proc.

I właśnie tu, jak przekonuje prof. Andrew Smith, swojej szansy upatruje Nikki Haley. Wykorzystując poparcie ze strony gubernatora New Hampshire – Chrisa Sununu, polityczka w ostatnich tygodniach mocno pnie się w sondażach. Reaguje już na to Donald Trump, który wyzywa ją od „ptasich móżdżków" i inwestuje w atakujące ją kampanie reklamowe.

Prof. Andrew Smith: – Nikki Haley właśnie w New Hamsphire ma większe

szanse na udowodnienie, że Trump nie jest zdecydowanym faworytem. Jeśli na ostatniej prostej udałoby się jej zmniejszyć dystans do Trumpa do zaledwie 10 pkt. proc., wówczas trudno byłoby ukryć podziały w Partii Republikańskiej.

Rywal idealny

Z punktu widzenia bezpieczeństwa Europy to Nikki Haley jest lepszą kandydatką do zgarnięcia nominacji: była ambasadorka przy ONZ podkreśla – w kontrze do Trumpa – że wspieranie Ukrainy w konflikcie z Rosją leży w interesie narodowym USA. Jeśli patrzeć jednak z perspektywy kampanii Joego Bidena, wymarzonym kandydatem byłby... Donald Trump. Mając go bowiem za rywala, Demokrata mógłby po raz kolejny uczynić z wyborów referendum przeciwko byłemu prezydentowi. Tak było w 2020 r. i dwa lata później, gdy rozegrał się ważny bój o Kongres (to m.in. dzięki antytrumpowskiej retoryce Demokraci utrzymali większość w Senacie).

Joe Biden już teraz grzmi, że Trump zagraża amerykańskiej demokracji i wytyka mu antyimigrancką retorykę. Gdy na grudniowym wiecu w New Hampshire Trump znów mówił o „zatruwaniu krwi" Ameryki przez cudzoziemców, kampania Bidena oskarżyła go o to, że swoimi słowami naśladuje Adolfa Hitlera. Sztabowcy prezydenta wytknęli również Trumpowi, że podczas wiecu cytował Władimira Putina. Prezydent Rosji w połowie września ubiegłego roku powiedział, że Trump padł ofiarą politycznych prześladowań, a wytoczone wobec niego postępowania karne są dowodem na „zepsucie amerykańskiej demokracji".

– Sztabowcy prezydenta modlą się o to, by to Trump zdobył nominację. Tylko dzięki temu Demokrata miałby ułatwioną walkę o reelekcję – ocenia prof. Smith, powołując się na kuluarowe rozmowy z pracownikami sztabu Bidena, którzy w 2020 r. byli zaangażowani w jego kampanię w New Hampshire. Opinia badacza nie jest wśród ekspertów odosobniona. Jak mówi cytowany przez dziennik „The Guardian" strateg polityczny Kurt Bardella, Joe Biden, mając Trumpa za rywala, może być spokojny. „Republikanie są na straconej pozycji, bo wszelkie działania Trumpa w ostatecznym rozrachunku zniechęcą do niego wyborców, których tak bardzo potrzebuje [mowa o elektoracie z tzw. *swing states*, czyli stanów wahających się, gdzie większość raz zdobywają Republikanie, a raz Demokraci – red.]. Joe Biden w zasadzie niewiele musi robić. Wystarczy, że będzie siedział i obserwował, co robi Trump, przy okazji samemu unikając problemów" – twierdzi ekspert.

JABIN BOTSFORD / THE WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

Wyścig o nominację Partii Republikańskiej już od dawna rozgrywa się nie o to, by wyprzedzić Trumpa, ale by uplasować się tuż za nim, na drugim miejscu.

Bez planu B Joe Biden jak na razie ma ich całe mnóstwo. Jego rządy źle ocenia ponad 55 proc. Amerykanów, a 40 proc. zwolenników Partii Demokratycznej chce, by 81-latek odszedł już na zasłużoną emeryturę. Bidena pogrąża też kryzys na Bliskim Wschodzie: choć robi wiele, by konflikt Izrael–Hamas nie rozprzestrzenił się na cały region, krytykowany jest przez progresywnych Demokratów za wsparcie dla Tel Awiwu i sprzeciw wobec zawarcia rozejmu z Hamasem.

Sztab Bidena niepokoi erozja kluczowego elektoratu – Afroamerykanów, Latynosów i młodych, którzy w 2020 r. pomogli mu zdobyć prezydenturę. Szacuje się, że 70 proc. Amerykanów poniżej 35. roku życia potępia odpowiedź Demokraty na konflikt Izrael–Hamas. Większość młodych w kluczowych stanach źle ocenia też jego zarządzanie gospodarką, choć bezrobocie jest rekordowo niskie, a wzrost gospodarczy przyspieszył. Ludzi jednak to nie przekonuje, bo są zmęczeni wysokim oprocentowaniem kredytów, co zamyka im drogę do kupna własnego domu lub samochodu. Według grudniowego sondażu The New York Times/ /Sienna Bidena poparłoby 43 proc. młodych, zaś Trumpa – 49 proc.

W innych zestawieniach dotyczących wszystkich kategorii wiekowych też nie jest najlepiej. Według wyliczeń portalu RealClearPolitics na początku stycznia Trump miał nad Bidenem przewagę rzędu 2,2 pkt. proc., a puszczająca oko do centrowego elektoratu Nikki Haley – 3,3 pkt. proc. Biden prześcignął tylko Rona DeSantisa – i to minimalną przewagą 0,3 pkt. proc.

Jak donosi telewizja CNN, najwięksi filantropi wspierający kampanię Bidena zarzucają mu, że oprócz atakowania Trumpa nie ma innych mocnych asów w rękawie i nie jest przygotowany na pojedynek z innym republikańskim kandydatem, jeśli ten nie uzyska partyjnej nominacji. Niepokój czują też niektórzy Demokraci z Kongresu, którym brakuje jasnych planów Bidena na drugą kadencję.

Prezydent USA podczas grudniowego spotkania z darczyńcami w Bostonie sam przyznał, że rozważa rezygnację z wyścigu o Biały Dom, jeśli swoją kampanię zakończy Donald Trump. Pytanie jednak, kto ewentualnie miałby Bidena zastąpić: wiceprezydentka Kamala Harris ma równie niskie notowania, a jego rywale w prawyborach Partii Demokratycznej to autorka książek o duchowości Marianne Williamson, kongresmen z Minnesoty Dean Phillips i... youtuber Cenk Uygur. Ten ostatni nie spełnia nawet wymogów formalnych, bo co prawda ma obywatelstwo USA, ale urodził się w Turcji.

Po trzech latach od ostatniej walki o Biały Dom ani Demokraci, ani Republikanie nie znaleźli wyrazistych i charyzmatycznych kandydatów, którzy zastąpiliby Bidena i niebezpiecznego dla demokracji Trumpa. A tym razem stawka w wyścigu jest znacznie wyższa. Także dla świata. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

Charkowskie osiedle po rosyjskim ataku rakietowym, 2 stycznia 2024 r.

Trochę już tu świrujemy

ANTONINA PALARCZYK, ZDJĘCIA PIOTR SOBIK Z CHARKOWA

Od dwóch lat, dzień w dzień, Julia przygotowuje posiłki dla tych, których domy ucierpiały od rosyjskich rakiet. Jak Charków radzi sobie z nieustającym zagrożeniem z powietrza?

Zawsze zaczyna się od Telegrama. Popularny wśród charkowian kanał Radar Kh (w wolnym przekładzie: Charkowski Radar) na bieżąco informuje o alarmach i zagrożeniu z powietrza. Choć nieraz to daremne. Od granicy z Rosją miasto dzieli 40 km. Syreny nie zdążą zawyć na ulicach ani alarm w telegramowej aplikacji w telefonie zaskowyczeć, a rakieta w ciągu minuty już dolatuje.

Nocą z 1 na 2 stycznia 2024 r. ten scenariusz się powtarza.

22.21: „Wszystkie szahedy w naszym rejonie kierują się w stronę obwodu połtawskiego. Może być głośno". Szahed to irański dron kamikadze dalekiego zasięgu.

7.30: „Rakieta!". Pod komunikatem wysyp reakcji użytkowników, od wkurzonych emoji po dynie i bałwanki.

7.30: „Wszyscy do schronów".

7.38: „S-300" (typ rakiety).

7.38: „Uderzenie".

7.40: „Uderzenie".

9.48: „*Wozdusznyij otboj*". Odwołanie alarmu (podane po rosyjsku – kanał Radar Kh jest rosyjskojęzyczny, tak jak wielu mieszkańców Charkowa).

NIE IGNORUJ | Rąbnęli rano w centrum. Taki powszedni chleb nasz charkowski. Rakieta wgryzła się w osiedle, posiekła okolicę odłamkami. Fala uderzeniowa pozbawiła szyb okna w promieniu kilku przecznic.

Na miejscu pracuje stała ekipa. Szybko i sprawnie. A nuż uderzą po raz kolejny tego dnia i trzeba będzie się przenieść w kolejne miejsce. Ratownicy, służby komunalne, policja i prokuratura ds. zbrodni wojennych, która zbiera odłamki i ustala, że użyto rakiety Iskander. Prasa lokalna i zagraniczna, której przedstawiciele są akurat w mieście. Gapie. I mieszkańcy osiedla, rozpoznawalni po telefonach przy uchu, rzadziej stojący nieruchomo, patrzący w przestrzeń lub w wybite okna własnych mieszkań. Nie ma na to czasu.

11.02: „W Charkowie na dany moment nie ma niebezpieczeństwa. Nie ignorujmy alarmów rakietowych".

– Właścicieli nie ma, są na bazarze – starsza kobieta stoi przed bramą jednego z uszkodzonych domów. – Pojechali szukać nowej furtki, starą urwała im fala uderzeniowa. Pilnuję im dobytku.

Popija herbatę z papierowego kubka z logo World Central Kitchen. Dodaje: – Mnie chroni Bóg i mój anioł stróż. Jestem charkowianką, nie ucieknę stąd nigdy.

Kiedyś w Charkowie żyło półtora miliona ludzi. Po 22 lutego 2022 r. część uciekła, ale wielu zostało. Ci już raczej stąd nie odejdą, choć miasto jest często pod ogniem.

11.25, piknięcie: „*Wozdusznyij otboj*".

17 TYSIĘCY POSIŁKÓW | Namiot międzynarodowej organizacji World Central Kitchen to element mikroklimatu, jaki wyrasta wokół każdego krateru po uderzeniu rakietowym. Zarządzająca namiotem Julia, wolontariuszka, odrywa się od porządkowania stołu: – Mamy wielką kuchnię, pracuje na terenie jednej z fabryk. Działamy od początku inwazji. Latem 2022 r. przygotowywaliśmy dziennie ok. 17 tys. posiłków i rozwoziliśmy po mieście potrzebującym.

Teraz Julia pracuje w rytmie ostrzałów miasta: – Po każdym z nich przyjeżdżamy na miejsce z herbatą i czymś do jedzenia. Dla pracujących służb i dla poszkodowanych. Jeżeli robota się przedłuża, gotujemy coś na ciepło. Zobacz tego gościa w czarnej kurtce, to kierownik charkowskiego oddziału World Central Kitchen. Był na każdym z przylotów – Julia używa neologizmu, który od dwóch lat zakorzenił się w języku. „Przylot" to coś, co spadło z nieba: rakieta, dron, w strefie przyfrontowej także pocisk artyleryjski.

– Jak jest przylot, jesteśmy zawsze. Zawsze jest nasz namiot. Owszem, można od tego postradać zdrowie psychiczne – dodaje Julia i uśmiecha się serdecznie. – Trochę już tu świrujemy.

12.15: „Teraz rakieta!".

ILE TAK MOŻNA? | Kilka przecznic dalej. W tej kawiarni szyby już ocalały. Dziewczyna za barem przedstawia się jako Margo. – Głośno było, owszem. Przywykłam już. Jestem z Saltiwki – mówi porozumiewawczo, przywołując nazwę dzielnicy, która z początkiem pełnoskalowej wojny zebrała największe cięgi od rosyjskiej artylerii. – Jak będzie blisko, może się schowam. Gdy były ciężkie ostrzały, chodziłam do schronu. Ale przez to dało się tylko godzinę popracować w ciągu dnia, może dwie. Ile tak można?

Kawa nieśpiesznie kapie w ekspresie. Margo bez przekonania przegląda wiadomości kanału Radar Kh. – Oho, rakieta. Leci, leciii...

12.24: „Znowu uderzenie w naszym obwodzie, idź do schronu".

Środkiem uliczki sunie z godnością samochód z gruzem na dachu i wybitymi szybami. Widzi to para lokalsów. Wybuchają śmiechem i dopingują kierowcę, niewidocznego, który pewnie też niewiele widzi przed sobą. Potem się przytulają, milkną.

Ksenia, może trzydziestoletnia mieszkanka osiedla, stoi przy świeżo rozłożonym stole pełnym kanapek, do których ustawia się kolejka głodnych. Po chwili wraca do konwersacji na Telegramie, gdzie dzieli się ze znajomymi zdjęciami z miejsca uderzenia iskandera. Ktoś reaguje wysłaniem zdjęcia płaczącego Kiwaczka, bohatera popularnej sowieckiej animacji.

13.31: „Jak już wszyscy rozumiecie, dziś ignorować alarmu rakietowego nie wolno. Zwracajcie uwagę na sygnały naszego kanału, będziemy uprzedzać w każdym momencie".

TEN ZAPACH | Policjanci ustępują miejsca starszym paniom w jadowicie odblaskowych kamizelkach, które zamiotą ulicę ze szklanych okruchów. Z kilku okien naraz wyrzucają gruz. Mężczyzna cichcem pociąga z piersiówki. Troje ludzi wynosi spakowane walizki. Ktoś niesie uratowany komplet wędek w pokrowcu.

Na chodniku, wśród słodkawego odoru krwi, który rozchodzi się nie wiadomo skąd, Andrij ćmi papierosa. – Raz poczujesz ten zapach i nie opuści cię do śmierci – przyznaje. Jak i reszta żelaznej ekipy, jest świadkiem niemal wszystkich ostrzałów miasta. Odpowiada za komunalne pojazdy, które usuwają wraki, ↦

↦ powalone drzewa i sterty wojennych śmieci. Ataki rakietowe zlewają mu się w jedną całość. Nie lituje się nad sobą i nie zamierza uciec z Charkowa. Trzyma go tu odpowiedzialna robota.

CZYSTY TERROR | Nad Charkowem zapada noc. Na lokalnych kanałach, forach i profilach trwają gorzkie dyskusje.

„Czy nie wydaje się wam dziwne, że przez dwa lata wojny budynkom rządowym w Kijowie nie zadano ani jednego ciosu?" – pyta użytkownik Telegrama.

„Jeden Wołodia zabija cywili, a drugi Wołodia trzyma nas tutaj w zamknięciu".

„Przenieść dzielnicę rządową z Kijowa do Charkowa, od razu ją znajdą".

„Chciałbym wyjaśnić, co mieści się w definicji »zwycięstwa« podanej przez naszego prezydenta. Wykrzykiwanie »Chwała Ukrainie« na ruinach Charkowa mnie osobiście nie kojarzy się ze zwycięstwem".

„Gdzie są tutaj nasze Siły Obrony Powietrznej? Znowu wszystko w Kijowie zestrzelą! A Charków łapie rakiety! Zapomnieli o Charkowie! Zełenski, zatrzymaj wojnę!".

Jeden z lokalnych kanałów postanawia skomentować te emocje: „Rozumiemy tych ludzi bardzo dobrze. Ponieważ to, co robi Rosja, to czysty terror rakietowy, abyśmy wywarli presję na nasze władze i zażądali zaprzestania tego wszystkiego. Niektórzy zapomnieli, kto jest naszym wrogiem. A jeśli chodzi o patrioty i inne systemy obrony powietrznej, to nie będzie potrafił zadziałać tak, jak działa w Kijowie. Jeśli taki by się tu znalazł, Rosjanie będą terroryzować Charków 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Będą szukać tych patriotów, dopóki ich nie znajdą. Niestety nie ma takiej możliwości, by maksymalnie chronić nasze miasto".

22.32: „Uderzenie".

Faktycznie, pół Charkowa usłyszało głuche rąbnięcie. Druga połowa wisi na kanałach, śledzi komunikaty.

22.33: „Jeszcze!".

22.34: „Uderzenie".

22.35: „Uderzenie".

© ANTONINA PALARCZYK

SERGEY VLASOV / AP / EAST NEWS

Patriarcha Cyryl na koncercie z okazji Dnia Literatury i Kultury Słowiańskiej. Moskwa, 24 maja 2023 r.

Kobieta rosyjska na czas wojny

FILIP RUDNIK

Antyaborcyjna kampania w Rosji – od lat animowana przez Cerkiew, a teraz mająca wsparcie niektórych władz lokalnych – przynosi skutki. Czy to kolejna odsłona procesu zacieśniania kontroli nad społeczeństwem? Jak widzą to Rosjanie?

W Rosji nie brakuje problemów. Mimo to – a może właśnie dlatego? – od miesięcy trwa dyskusja nad ograniczeniem dostępu do przerywania ciąży. Prym wiedzie w niej, tak jak wcześniej, Cerkiew prawosławna, ale ostatnio w sukurs przychodzą jej regionalne władze.

Według obowiązującego dziś prawa Rosjanki mogą dokonać aborcji do 12. tygodnia ciąży na własne życzenie. Ponadto prawo przewiduje przesłanki umożliwiające przeprowadzenie jej później – ze względu na zagrożenie dla zdrowia matki bądź ciężką sytuację finansową.

Liberalizm tych zapisów krytykuje Cerkiew, która od lat domaga się wprowadzenia całkowitego zakazu przerywania ciąży. Aby jednak złagodzić swój przekaz, duchowni formułują, w ich przekonaniu, mniej drastyczne propozycje – np. sugerując wprowadzenie konieczności uzyskania zgody męża na aborcję bądź penalizację nakłaniania do niej.

Argumenty? Aborcja to zło, a liberalne prawo pogłębia kryzys demograficzny. Przez ostatni rok dyskusję wzbogacono też kontekstem „specjalnej operacji wojskowej", czyli inwazji na Ukrainę. Przemawiając w parlamencie na początku 2022 r., patriarcha Cyryl, zwierzchnik Cerkwi, wzywał do wprowadzenia zakazu ze względu na aktualne wyzwania. „Uwarunkowania naszego czasu są takie, że zdecydowana rewizja demograficznej

polityki stanowi warunek dla przeżycia narodów Rosji" – mówił, wskazując na aborcję jako na jedną z przyczyn niskiej dzietności Rosjanek, szczególnie bolesnej w obliczu wojny.

Ograniczenia w regionach

Mimo nacisku Cerkwi władze na Kremlu przez lata nie decydowały się na znaczące zmiany w przepisach. Ostatnią przedwojenną modyfikację stanowiła – wprowadzona ponad dekadę temu – reguła „tygodnia ciszy". Na jej mocy kobieta decydująca się na aborcję w państwowych placówkach musi odczekać kilka dni po zwróceniu się do lekarza, zanim będzie mogła jej dokonać. Przez ten czas musi odbyć konsultacje z psychologiem, a w niektórych regionach także z duchownym.

Przez ostatni rok presja Cerkwi uległa jednak nasileniu, co doprowadziło do konkretnych kroków ze strony władz. W październiku 2023 r. Ministerstwo Zdrowia znacząco ograniczyło aborcję farmakologiczną, utrudniając dostęp do części preparatów w aptekach. Ponadto na przestrzeni kilku miesięcy w wielu regionach – w tym na okupowanym Krymie, w Tatarstanie czy obwodzie kurskim – prywatne kliniki przestały oferować usługi aborcyjne. Według doniesień medialnych nacisk w tej sprawie miała wywierać lokalna administracja, wprowadzając też grzywny za akt niesprecyzowanego „nakłaniania" do tego zabiegu.

Fakt, że decyzję o ograniczeniu aborcji podjęto na poziomie regionalnym, ukazuje specyfikę wytworzonego przez Putina systemu: lokalni włodarze chcą w ten sposób zapunktować na Kremlu, a Kreml może w ten sposób sondować nastroje.

„Zwiększenie kontroli"

– Sposób, w jaki Putin podkreśla wagę „rodzinnych" i „tradycyjnych" wartości, to sygnał polityczny dla lokalnych elit. Jeśli jakiś gubernator bądź mer pragnie wspiąć się szczebel wyżej bądź chce zostać zauważony, robi to, co w jego percepcji spodoba się w administracji prezydenta – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Anna Jiefimowa, dziennikarka i badaczka zajmująca się historią płci w Rosji i Związku Sowieckim (dziś żyjąca na emigracji). – Regionalny zakaz aborcji w prywatnych klinikach to wykazanie się inicjatywą. Udowodnienie, że dany polityk jest dobrym gospodarzem. Próba politycznego wybicia się.

Jiefimowa zaznacza, że aborcje w prywatnych placówkach odpowiadają za jedną piątą takich zabiegów w Rosji. Dokonuje się tam zwykle aborcji farmakologicznych. Kliniki komercyjne mają tę przewagę, że aborcje przeprowadza się tam niejako poza systemem. Państwo jej nie odnotowuje, nie ingeruje też w sam proces przez obowiązkowe konsultacje.

– Wiele osób, chcąc uniknąć „tygodnia ciszy", decyduje się na aborcję prywatnie – mówi Jiefimowa. – Ograniczenie tej możliwości to próba wprowadzenia większej kontroli nad społeczeństwem, w tym przypadku nad ciałami kobiet. Podczas całej procedury w państwowych placówkach można wykorzystać więcej zasobów, by utrudnić kobiecie terminację, choćby nakłaniając ją do odstąpienia od jej decyzji w trakcie konsultacji.

Najpierw dziecko, potem studia

Działania władz regionalnych – i przyzwolenie Kremla na nie – zdaje się przeczyć politycznej logice. Większość Rosjan nie popiera bowiem diametralnej zmiany przepisów. W badaniu z grudnia 2023 r., prowadzonym przez prywatną sondażownię Russian Field, 67 proc. respondentów nie poparło idei zakazu aborcji; odmienne zdanie miało 25 procent.

Z drugiej jednak strony trend zmian zdaje się opowiadać po stronie zwolenników zaostrzenia prawa. Opublikowany we wrześniu 2023 r. sondaż publicznego ośrodka WCIOM wykazał wzrost odsetka tych, którzy opowiadają się za większą interwencją państwa w kontekście przeciwdziałania aborcji. Grupa ta powiększyła się o 11 punktów procentowych względem roku 2022, z 36 proc. do 47 procent.

Sasza Talawer, doktorantka *gender studies* na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim (obecnie działa w Budapeszcie i Wiedniu), uważa, że ta tendencja jest efektem intensywnych kampanii społecznych promujących tradycyjne wartości. Twórców takich inicjatyw Talawer nazywa „genderowymi przedsiębiorcami". Finansowani z państwowych grantów bądź pieniędzmi konserwatywnych oligarchów, spieniężają oni tradycjonalistyczną narrację dotyczącą seksualności: sprzedają kursy popularyzujące konserwatywny model rodziny bądź rozpowszechniają broszury informujące o szkodliwości aborcji. W ten sposób poszerzają istniejący dyskurs o to, co wcześniej stanowiło jego margines.

– Te kampanie odnoszą sukces i trafiają do szerokiego grona odbiorców. Na ich tle pojawia się coraz więcej polityków, którzy tłumaczą, co kobieta powinna robić, a czego nie – mówi Talawer w rozmowie z „Tygodnikiem". – Choćby pomysł, aby kobiety mogły zdobywać wykształcenie dopiero po urodzeniu dziecka. Jeszcze 10 lat temu takie opinie były marginalne, teraz stanowią punkt odniesienia.

Problem z dzietnością

Do tego dochodzi kwestia dezinformacji, której rolę potwierdzają obie rozmówczynie „Tygodnika". Chodzi o promowany przez środowiska okołocerkiewne przekaz o setkach tysięcy przerwanych ciąży rocznie i forsowanie teorii, według której Rosja zajmuje światową czołówkę pod względem liczby dokonywanych aborcji.

– Tego problemu już nie ma. Statystyka świadczy o tym, że liczba terminacji uległa znaczącemu zmniejszeniu w ciągu ostatnich lat. Obecnie Rosjanki decydują się na zabieg o wiele rzadziej, co plasuje kraj gdzieś w połowie stawki, jeśli chodzi o średnią liczbę aborcji na mieszkańca – mówi Anna Jiefimowa.

– Jest za to problem z dzietnością – przyznaje Jiefimowa. – Jednak to bierze się z poczucia niskiego bezpieczeństwa socjalnego, a także tego, że społeczeństwo się modernizuje i nadaje niższy priorytet kwestiom rodzinnym. Zakaz aborcji w tej kwestii niewiele zmieni.

Demografia ponad wszystko

Przedstawianie zakazu aborcji jako remedium na kryzys demograficzny spełnia głównie funkcję polityczną, z czego zdają sobie sprawę politycy.

Po pierwsze przerywanie ciąży w społecznej pamięci całego społeczeństwa jawi się jako coś traumatycznego. Jiefimowa przypomina, że ze względu na ograniczoną produkcję prezerwatyw i podejrzliwość władz sowieckich wobec zachodnich tabletek antykoncepcyjnych w czasach Związku Sowieckiego aborcja stanowiła często jedyny możliwy „środek" zapobiegający ciąży, ↦

↦ co odbijało się na zdrowiu kobiet. Wcześniej zaś, zanim prawo zliberalizowano, wprowadzony przez Stalina całkowity zakaz aborcji przeniósł ją do podziemia – to nierzadko prowadziło do bezpłodności kobiet, które mimo wszystko decydowały się na nią. Niedziwne więc, że w 2023 r. Putin określił kwestię aborcji „ostrym problemem", chcąc w ten sposób zapunktować u konserwatywnego elektoratu, prezentując się jako prezydent troskliwy wobec kobiet.

Po drugie dążenie do zmniejszenia liczby aborcji koresponduje z toczoną przez Kreml batalią z Zachodem. Rosyjska propaganda przekonuje, że państwa NATO chcą całkowitego zniszczenia Rosji wraz z jej narodami, stąd konieczność zwalczania wszystkiego, co kojarzone jest z zachodnią „zgnilizną". Ograniczenie dostępu do aborcji i skupiona wokół tego dyskusja stanowi kolejny element z całej serii kroków, które obliczone są na mobilizację społeczeństwa.

Homoseksualiści jak terroryści

Mobilizacja ta dotyczy zresztą nie tylko kwestii aborcji.

Trwająca od ponad dekady walka w obronie – jak chce to widzieć Władimir Putin – tradycyjnych wartości doprowadziła do wyrzucenia poza społeczny i prawny nawias tych, którzy nie wpisują się w binarny podział płciowy. Od 2022 r. rosyjskie władze karzą grzywną za rozprzestrzenianie informacji o „nietradycyjnych relacjach seksualnych", w ramach czego zrównuje się pedofilię z homoseksualizmem bądź transpłciowością.

W 2023 r. rosyjski Sąd Najwyższy uznał „międzynarodowy ruch LGBT+" za organizację ekstremistyczną, na równi z chociażby ugrupowaniami islamskich terrorystów. Zakazano także operacji korekty płci, pozbawiając wielu transpłciowych Rosjan i Rosjanek części ich praw, zabraniając m.in. formalnego wystąpienia o zmianę identyfikacji płciowej w dokumentach.

Oprócz aspektu wewnętrznego wszystkie te decyzje mają także wymiar zagraniczny: troszcząc się w ich mniemaniu o tradycyjne wartości, rosyjskie władze przedstawiają się jako ostaniec konserwatyzmu i „normalności" w Europie. Jest to część kremlowskiego *soft power*, który okazuje się atrakcyjny dla niektórych ruchów prawicowych poza granicami Rosji.

W obliczu konfrontacji z Ukrainą i Zachodem także rosyjskie kobiety muszą odgrywać dziś konkretne role: **dobrych matek i żon żołnierzy.**

Dyktator feruje wyroki

Myli się jednak ten, kto chciałby postrzegać rosyjskiego dyktatora jako zbawcę światowego ruchu *pro-life*, szczerze zdeterminowanego, by zaostrzyć prawo aborcyjne.

Dyskusję o aborcji Kreml rozgrywa pragmatycznie, oddalając potencjalne niezadowolenie społeczne, gdyby zdecydowano się na zaostrzenie prawa ogólnokrajowo. W chwili gdy propozycja o ograniczeniu dostępu do aborcji w prywatnych klinikach trafiła pod obrady parlamentu – czyli na poziom federalny – Kreml postanowił ukrócić dyskusję.

Sygnał do tego dał sam Putin. Kwestię aborcji poruszono w trakcie niedawnej „Bezpośredniej Linii" – medialnej ustawki, podczas której dyktator na oczach telewidzów odpowiada na pytania rodaków. Putin odniósł się do tematu w jednoznaczny sposób: pozycja Cerkwi jest „zrozumiała", ale zakazu aborcji nie ma, a prawa kobiet powinny być przestrzegane. Przypomniał przy tym antyalkoholową kampanię z czasów pierestrojki: w jego interpretacji tamta próba ustawowego ograniczenia spożycia była przeciwskuteczna, bo doprowadziła do sytuacji, w której mieszkańcy Związku Sowieckiego truli się chałupniczo produkowanymi trunkami.

Zdaniem rozmówczyń „Tygodnika" poruszenie tego tematu podczas „Bezpośredniej Linii" było wyreżyserowaną próbą wyciszenia nastrojów. Odwołanie się przez Putina do kwestii praw kobiet jest też istotne z perspektywy pseudowyborów prezydenckich, zaplanowanych na marzec. Na tle wypowiedzi duchownych i polityków niższego szczebla Putin odgrywa ulubioną rolę: mądrego sędziego, który feruje salomonowe wyroki.

Nagroda dla Cerkwi?

Jednak mimo wypowiedzi Putina decyzje regionalnych władz i coraz większa obecność antyaborcyjnego przekazu wśród elit władzy wytyczają trend.

Sasza Talawer przypomina, że w sprawie aborcji to Cerkiew i konserwatywne organizacje są aktywne, naciskając na Kreml, który pozostaje wobec tej kwestii w dużej mierze reaktywny. W rozmowie z „Tygodnikiem" Talawer przywołuje krążącą wśród rosyjskich dziennikarzy teorię, jakoby doszło do kompromisu na linii duchowni – Kreml: wspierająca wojenny wysiłek Cerkiew miała zostać „nagrodzona" właśnie tym, że częściowo utrudniono dostęp do aborcji. Kreml miał uczynić tak w nadziei, że oczekiwania patriarchy Cyryla zostaną na jakiś czas zaspokojone.

– Całkowity zakaz nie wpisuje się jednak w putinowską narrację, która podkreśla szkodliwość tego rodzaju obostrzeń – niuansuje Talawer tę teorię. – Problem w tym, że organizacje promujące antyaborcyjny przekaz nie znikną. Będą dalej dotowane przez państwo, promując swój pogląd.

Konkurencyjnym narracjom natomiast – prezentowanym choćby przez rosyjskie feministki – trudno się przebić. Kreml nie znosi jakiejkolwiek działalności, której nie byłby w stanie kontrolować. Ponadto idee feminizmu władza traktuje w najlepszym wypadku podejrzliwie. Przykładem może być decyzja administracji Kaliningradu, która w grudniu 2023 r. unieważniła wydaną wcześniej zgodę na demonstrację przeciw zakazowi aborcji (powołała się na zagrożenie epidemiologiczne, choć podobne pikiety odbyły się w innych miastach).

Z perspektywy frontowej

Sytuację pogarsza wojna. W obliczu konfrontacji z Ukrainą i Zachodem – która w optyce kremlowskiej propagandy stanowi dla Rosji konflikt o charakterze egzystencjalnym – również kobiety muszą odgrywać konkretne role: dobrych matek i żon żołnierzy.

Rzutując na całość społecznego życia, wojna nadaje ważność jedynie tym działaniom, które przynoszą korzyść z perspektywy frontowej. Przy takim postawieniu sprawy narracja emancypacyjna jest spychana na margines. To zły prognostyk, gdy idzie w ogóle o prawa kobiet.

© FILIP RUDNIK

MOSES SAWASAWA / AP / EAST NEWS

Zwolennicy prezydenta Féliksa Tshisekedi cieszą się po ogłoszeniu jego zwycięstwa. Goma, Kongo, 31 grudnia 2023 r.

Kongijski Sezam

WOJCIECH JAGIELSKI,
ALEXIO RASHIRAI Z HARARE

Urzędujący prezydent Demokratycznej Republiki Konga Félix Tshisekedi został ogłoszony zwycięzcą grudniowej elekcji, choć nie wiadomo, czy ją wygrał. W jego rządach jak w lustrze odbijają się niedole tego drugiego co do wielkości kraju Afryki.

Tuż przed północą i nastaniem Nowego Roku 2024 komisja wyborcza w stołecznej Kinszasie, która liczyła głosy oddane w grudniowych wyborach, ogłosiła, iż 60-letni Félix Tshisekedi zdobył ich aż prawie trzy czwarte. Aż tyle, bo do wygranej wystarczyłaby mu zwykła większość.

W Demokratycznej Republice Konga – jednym z największych krajów Afryki (prawie osiem razy większym od Polski) – prezydentem zostaje ten, kto w wyborach zdobędzie po prostu najwięcej głosów, choćby miało to być tylko kilkanaście procent. Nawet wtedy nie urządza się dogrywki.

Taką ordynację ustalił poprzedni kongijski prezydent Joseph Kabila. Choć zwlekał, jak mógł, z oddaniem władzy (opóźnił elekcję o dwa lata), to po dwóch kadencjach nie mógł już dłużej panować. Przezornie namaścił więc na swojego następcę najwierniejszego z dworzan, licząc, że przy jego wsparciu zdobędzie on najwięcej głosów i niejako w jego zastępstwie zasiądzie na prezydenckim fotelu, a on, Kabila, formalnie pozostając w cieniu, faktycznie nadal będzie mógł rządzić.

Cuda (nie tylko) przy urnie

Żeby pokonać prezydenckiego pomazańca, kandydaci opozycji musieliby wybrać spośród siebie jednego i wspólnie go wspierać, wyrzekając się własnych ambicji, co w Kongu jeszcze nigdy się nie udało. Jednak cud taki niemal się ziścił właśnie pięć lat temu, gdy Kabila składał władzę, a opozycyjni pretendenci – w tym Félix Tshisekedi – zjednoczyli się przeciw jego faworytowi, ustępując pola jednemu, Martinowi Fayulu.

W ostatniej chwili Tshisekedi zmienił jednak zdanie i stanął do wyborów. Jego oponenci do dziś twierdzą, iż uległ podszeptom ustępującego Kabili, który miał mu obiecać, że pomoże mu zdobyć władzę, jeśli Tshisekedi się nią z nim podzieli, a po pięcioletniej kadencji mu ją zwróci.

Kabila dotrzymał wówczas słowa. Kongijscy i zagraniczni nadzorcy wyborów twierdzili, że podczas głosowania w grudniu 2018 r. Fayulu zdobył trzy razy więcej głosów od Tshisekediego. Jednak szef komisji wyborczej – wyznaczony przez Kabilę – zwycięzcą elekcji i nowym prezydentem ogłosił Tshisekediego.

Pięć lat później, stając do wyborów w grudniu 2023 r., przeciwnicy walczącego o reelekcję Tshisekediego nie potrafili się dogadać. Który z nich miałby niby ustąpić pierwszeństwa? Denis Mukwege, lekarz, zdobywca Pokojowego Nobla, wielbiony na wschodzie Konga i na Zachodzie jako wcielenie wszelkiego dobra? Moise Katumbi, najbogatszy z Kongijczyków, który jako gubernator wsławił się gospodarskimi rządami w prowincji Katanga i od lat obiecuje, że jeśli rodacy powierzą mu władzę w całym kraju, tak samo dobrze będzie nim zarządzać? A może ustąpić miał Martin Fayulu, który nie pogodził się, iż pięć lat temu skradziono mu zwycięstwo?

Stanęli do wyborów wszyscy i w rezultacie dobry doktor Mukwege, żółtodziób w polityce, nie zdobył nawet jednego procenta głosów. Fayulu zebrał ich tym razem ledwie 5 procent, a Katumbi, choć przyszedł na metę jako drugi, to z mizernym, bo 18-procentowym wynikiem. ↦

↦ Resztę, prawie trzy czwarte, miał zdobyć Tshisekedi. Nikt nie wróżył mu aż tak wspaniałego sukcesu.

Pięć lat Tshisekediego

Obejmując w styczniu 2019 r. władzę w Kinszasie, Tshisekedi obiecywał rodakom, iż przemieni Kongo w afrykańskie Niemcy: kraj bogaty, uporządkowany, którego mieszkańcy mają zapewnioną pracę i sumiennie pracują, przestrzegają dyscypliny i prawa. Niewiele z tego wyszło. „Czy znajdzie się w Kongu ktoś, kto z ręką na sercu powie, że żyje mu się lepiej, odkąd nastał Tshisekedi?" – pytał niedawno Fayulu na przedwyborczych wiecach.

Pod rządami Tshisekediego gospodarka w statystykach rozwijała się wprawdzie tak dobrze, jak żadna inna w Afryce. W 2023 r. zanotowała prawie 10-procentowe tempo wzrostu, a prezydent chwalił się, że budżet powiększył się trzykrotnie i można sobie pozwolić na wydatki, na jakie wcześniej państwa nie było stać.

Wszystko to jednak, jak zwykle, dokonało się dzięki zwiększonemu wydobyciu surowców, a zwłaszcza za sprawą wspaniałej na nie koniunkturze na światowych rynkach. Zyski – także jak zwykle – trafiły do kieszeni elit, a zwykli Kongijczycy jak klepali biedę, tak klepią. Dwie trzecie z ponad 100 mln Kongijczyków musi wyżyć za dolara dziennie, a drożyzna i inflacja potęgują niepewność ich losu.

Wydatki z budżetu poszły głównie na podwyżki dla dygnitarzy (kongijscy posłowie zarabiają po kilkanaście tysięcy dolarów miesięcznie, za to zwykły urzędnik musi zadowolić się studolarową pensją), a korupcja jak kwitła, tak kwitnie. Szaleje bezrobocie, zwłaszcza wśród młodych. Prezydentowi nie udało się ani ożywić rolnictwa, ani doprowadzić do tego, by kongijskie surowce były przerabiane w kraju, a wywożone od razu w świat – za mniejsze pieniądze, niż gdyby zostały tu przetworzone.

Tshisekedi wprowadził, jak obiecał, darmową naukę w szkołach podstawowych – dzięki temu ponad 5 mln więcej dzieci podjęło w nich edukację. Ale za to nieznośny ścisk zapanował w salach lekcyjnych, bo nie zbudowano nowych szkół; brakowało też nauczycieli, którym dołożono pracy, ale nie podniesiono zarobków.

Nieustająco otwarta rana

Nie lepiej było w kwestii, która jest otwartą raną Demokratycznej Republiki Konga: na wschodzie kraju po staremu trwa od ponad ćwierć wieku wojna domowa – rozpalona i wciąż podsycana przez maleńką sąsiadkę, Rwandę.

Wszystko zaczęło się w 1996 r., gdy rwandyjscy Tutsi wywołali na wschodzie Konga rebelię, aby rozgromić rywali Hutu. Ci dwa lata wcześniej dokonali w Rwandzie ludobójstwa, a potem – pod osłoną milionów uchodźców – ukryli się przed zemstą Tutsich za miedzą, we wschodnim Kongu właśnie.

Wojna ta doprowadziła do upadku w Kinszasie tyranii Mobutu Sese Seko (1965-1997), a potem jego pogromcy Laurenta Desire-Kabili (1997-2001), protegowanego Rwandyjczyków, który próbował uwolnić się spod ich kurateli. Gdy Kabila senior zginął w zamachu, władzę przejął jego syn, wspomniany już Joseph, poprzednik Tshisekediego.

Na przełomie wieków XX i XXI kongijski konflikt wessał tuzin ościennych państw i przerodził się w największą wojnę współczesnej Afryki. Szacuje się, że od kul, chorób i poniewierki zginęło kilka milionów ludzi.

Dziś wojna przycichła, ale tli się wciąż na kongijskim wschodzie. Rwanda zaś, która skutecznie rozgromiła Hutu, nadal wspiera we wschodnim Kongu rebeliantów, by wymuszać na rządzie w Kinszasie ustępstwa. Albo żeby po prostu grabić tamtejsze kopalnie z najcenniejszych skarbów.

Tshisekedi próbował załatwić spory z Rwandą po dobroci, zaprosił nawet tamtejszego dyktatora Paula Kagamego na swoją inaugurację. Nic jednak nie wskórał dyplomacją. Nie pomogły też ściągnięte na pomoc wojska ONZ, Wspólnoty Wschodnioafrykańskiej ani Wspólnoty Południowoafrykańskiej. Dziś Tshisekedi grozi Rwandzie wojną, a Kagamego przyrównuje do Hitlera. Rebelianci ze wschodu skrzyknęli się zaś w nową partyzancką partię (pod nazwą Przymierze Rzeki Kongo) i zapowiadają „zwycięski marsz na Kinszasę".

Mimo to na wyborczych wiecach Tshisekedi namawiał Kongijczyków, by dali mu drugą kadencję, gdyż dopiero wtedy będzie mógł spełnić obietnice, które złożył, ubiegając się o pierwszą. Tłumaczył, że połowa pierwszej kadencji zeszła mu na uwalnianiu się z więzów sojuszu z Kabilą i dopiero teraz, wreszcie niezależny, będzie mógł rządzić, jak chce.

Niełatwe głosowanie

Nie jest łatwo urządzić uczciwe wybory w takim kraju jak Demokratyczna Republika Konga, wielkim jak Europa Zachodnia i Południowa razem wzięte. Zajmuje cały środek kontynentu, samo jego jądro. W Afryce większa od niego jest dziś tylko Algieria, a ludniejsze jedynie Nigeria, Etiopia i Egipt.

Podobnie jak większość współczesnych państw afrykańskich, DR Konga nigdy by nie powstało w obecnej postaci, gdyby nie podbój i rozbiór Afryki przez mocarstwa kolonialne. Dzisiejsze kongijskie ziemie dostały się belgijskiemu królowi Leopoldowi i gdyby nie ta podległość, nigdy by się ze sobą nie zrosły. Stołeczną Kinszasę na zachodzie kraju dzieli od Bukavu (miasta na jego wschodnim skraju) podobna odległość jak Paryż od Mińska. A Bakongowie z kongijskiego zachodu tak różnią się od Hemów czy Bwarich ze wschodu, jak Francuzi od Białorusinów.

Dzieje niepodległego państwa nie przyczyniły się do jego zjednoczenia. Współczesną historię DR Konga tworzą wojskowe przewroty i dyktatury, antyrzą-

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 10/22 toczy się postępowanie z wniosku Zygmunta Batko o stwierdzenie nabycia przez Zygmunta Batko w drodze zasiedzenia własności nieruchomości położonej w Pawlikowicach (gm. Wieliczka), stanowiącej działkę ew. nr 39 objętą AWZ 7100/78.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności następców prawnych Antoniny Baran, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali swoje prawa do wskazanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione

dowe rebelie wspierane przez sąsiadów, bunty i wojny secesyjne najbogatszych prowincji. Nic nie wyszło z pomysłu prezydenta Mobutu, który chciał stworzyć spójne państwo, nadając mu nową nazwę (Zair) i nakazując wyrzec się imion europejskich, by przyjąć nowe, rdzennie afrykańskie.

W środku pory deszczowej

Po pierwszych wyborach, przeprowadzonych tuż przed ogłoszeniem niepodległości w 1960 r., drugą okazję, aby naprawdę samemu wybrać sobie przywódcę, Kongijczycy dostali dopiero w 2006 r. – wtedy to, po wspomnianej wielkiej wojnie, wolną (jak na ówczesne warunki) elekcję urządziły im ONZ wraz z Unią Europejską.

Wybory w grudniu 2023 r. były pierwszymi, które Kongijczycy przygotowali sami, bez pomocy ONZ i Unii Europejskiej. Niedługo przed elekcją Tshisekedi podziękował też wojskom ONZ za 20-letnią służbę i wyprosił je z Konga, a obserwatorów z Europy na głosowanie nie wpuścił.

Tak jak wielu przewidywało, podczas wyborów – urządzonych w środku pory deszczowej – nie wszystko poszło jak z płatka. Przygotowanie ich kosztowało ponad miliard dolarów, ale zamówione do druku za granicą dowody tożsamości i karty do głosowania dotarły do Kinszasy w ostatniej chwili, a do wielu lokali wyborczych już po czasie.

Na czas nie przygotowano też list wyborców ani porządnego niezmywalnego tuszu do znaczenia palców wyborców, by nie mogli zagłosować ponownie. Żeby dotrzymać terminu głosowania, komisja wyborcza musiała prosić prezydenta, by uprosił ONZ i sąsiadów o samoloty i śmigłowce, którymi materiały wyborcze rozwieziono do najodleglejszych regionów.

Niedoróbki, skargi, protesty

Niewiele to pomogło, bo w dniu elekcji, w środę 20 grudnia, dwie trzecie lokali wyborczych – w tym te w największych miastach Kinszasa i Lubumbashi (stolica prowincji Katanga) – otwarto z wielogodzinnym opóźnieniem, wielu nie otwarto w ogóle, a w co trzecim nie zadziałały elektroniczne maszyny do głosowania. We wschodnich prowincjach z powodu rebelii w ogóle ich nie przeprowadzono,

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Félix Tshisekedi

pozbawiając głosu prawie 2 mln ludzi. Komisja wyborcza postanowiła przedłużyć głosowanie na czwartek, potem również na piątek. W niektórych regionach głosowano jeszcze nawet pięć dni po wyznaczonym terminie.

Wszystko to sprawiło, że kandydaci opozycji zażądali unieważnienia elekcji i jej ponownego przeprowadzenia. Od dawna nie ufali za grosz przewodniczącemu komisji wyborczej Denisowi Kadimie – mianowanemu przez prezydenta, przez niego opłacanego i będącego jego przyjacielem oraz ziomkiem. Rywale prezydenta twierdzili, że choć wyborcze niedoróbki zdarzały się w całym kraju, to dziwnym trafem dochodziło do nich głównie tam, gdzie opozycja najbardziej liczyła na głosy, a przedłużano wybory tam, gdzie zwolenników miał Tshisekedi.

Oponenci Tshisekediego zarzucili też komisji wyborczej, że nie protestowała, gdy w kampanii wyborczej prezydent uderzył w nacjonalistyczne tony i oskarżał rywali, iż nie są prawdziwymi Kongijczykami, lecz przybłędami, niegodnymi, by ubiegać się o przywództwo kraju, który ich przygarnął.

Wyników wyborów nie ogłaszano też – jak obiecywano – w poszczególnych lokalach, co miało utrudnić ich fałszowanie, lecz podliczono w centrali na podstawie raportów lokalnych komisji.

Na skargi i protesty opozycjonistów Denis Kadima odparł, że nie umieją z godnością przegrywać.

Afrykański Sezam

Historia Demokratycznej Republiki Konga pokazuje, że sukces w wyborach to najłatwiejsze z wyzwań, które czekają jego przywódców, a ich intronizacja to początek trosk i zagrożeń. Wielu przypłaciło to życiem. Ale nigdy nie brakowało chętnych, by stawić im czoło.

„Indie to bogaty kraj biednych ludzi" – mawiał o swej ojczyźnie jej pierwszy premier Jawaharlal Nehru. Słowa te pasują także do Konga. Biedakami są tu poddani kongijskich władców, a władcy są współczesnymi nababami, którym na niczym nie zbywa.

Niewiele jest bowiem na świecie miejsc, które kryłyby tak wiele skarbów natury. Jest tu wszystko: złoża złota, srebra, diamentów, najcenniejszych metali, węgla. Niedawno u podnóża gór Ruwenzori odkryto złoża ropy naftowej – i to w niewyobrażalnej obfitości. Zaklęciem otwierającym ten kongijski Sezam jest władza. A jedyną drogą do niego było zdobycie jej w Kinszasie. Tradycyjnie kto rządził w stolicy, ten władał tym krajem i jego skarbami – i nie musiał się obawiać, że jakieś światowe mocarstwo podważy jego pozycję. Zbyt cenne były dla świata kongijskie zasoby (m.in. z kopalni w Katandze pochodził uran, z którego zbudowana była bomba atomowa, zrzucona przez USA na Hiroszimę).

Chińczycy i Rosjanie oferują swoją przyjaźń

Również Félix Tshisekedi nie musi się dziś obawiać, że zostanie oskarżony przez światowych graczy o wyborcze oszustwa i skazany na ostracyzm. Nikt nie ma złudzeń, że kongijski olbrzym to wzór demokracji. Za to jego ewentualne kłopoty zagrażają destabilizacją połowy Afryki.

No i dżungla nad rzeką Kongo to drugie po Amazonii płuca planety. A kongijska ziemia skrywa również i takie skarby, bez których światowa gospodarka nie przestawi się z napędu spalinowego na elektryczny – jak najbogatsze na świecie złoża kobaltu i trzecie największe na świecie złoża miedzi.

Nikt na Zachodzie nie będzie wypominać kongijskiemu władcy wyborczych kantów. Cena jest zbyt wysoka – w końcu ten, obrażony, mógłby odwrócić się plecami i nie otworzyć na przyjaźń, którą od dawna proponują mu Chińczycy czy Rosjanie.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI, ALEXIO RASHIRAI

HISTORIA

REDAKTOR „GRYDZ”

Sto lat temu, w styczniu 1924 r., ukazał się pierwszy numer „Wiadomości Literackich”, najważniejszego pisma dla inteligencji II Rzeczypospolitej. Jego twórca Mieczysław Grydzewski był w polskiej kulturze człowiekiem-instytucją.

PIOTR HAPANOWICZ

Była to nowa jakość na międzywojennym polskim rynku prasowym. Wcześniej pisma o tym profilu miały charakter środowiskowy, dość hermetyczny. Tymczasem „Wiadomości Literackie” adresowane były do wszystkich tych, którzy aspirowali do przynależności do polskiej inteligencji.

Antoni Słonimski mówił potem, że są one pomnikiem literatury dwudziestolecia. Wtórował mu Józef Wittlin, pisząc, iż bez tego pisma „przedwojenna Polska byłaby pod względem kultury literackiej zaściankiem, ubogą krewną, sierotką Marysią”. Po 1939 r. wydawane dalej na emigracji, „Wiadomości” ukazywały się w sumie przez ponad 50 lat, rywalizując z paryską „Kulturą” Jerzego Giedroycia.

Ich twórcą był Mieczysław Grydzewski, postać dziś zapomniana. „Grydz”, jak go nazywali znajomi, rówieśnik poetów z grupy Skamander – środowiska powstałego u progu niepodległości – był ich przyjacielem, a jako wydawca – ich promotorem. Życie poświęcił pracy redaktorskiej. Wittlin pisał, że Grydzewski to nie osoba, lecz instytucja, a „Wiadomości” to on.

Z żydowskiej rodziny, „do szpiku kości Polak”

Mieczysław Grützhändler, bo takie pierwotnie nosił nazwisko, urodził się w 1894 r. w Warszawie, w średniozamożnej rodzinie żydowskiej. Później używał nazwiska Grycendler, by zmienić je w końcu na Grydzewski. Nie krył żydowskiego pochodzenia, lecz, jak sam mówił, czuł się przede wszystkim Polakiem. Polskę zaś widział jako historyczną kontynuację idei tolerancyjnej, wielonarodowościowej i wielokulturowej jagiellońskiej Rzeczypospolitej.

Kazimierz Grocholski, wieloletni sekretarz redakcji „Wiadomości”, pisał o swoim szefie, że „był Grydz do szpiku kości Polakiem, Polska – jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość – była jego chlebem, wodą i powietrzem, oddał jej i jej kulturze całe swe życie hojnie i bez reszty, dowodząc raz jeszcze, jak puste, jak całkowicie pozbawione treści jest pojęcie »rdzennego« Polaka”.

Najpierw ukończył Szkołę Handlową Zgromadzenia Kupców m.st. Warszawy, po czym w 1913 r. zaczął studia prawnicze w Moskwie. Od 1916 r. kontynuował naukę już na Uniwersytecie Warszawskim, tym razem studiując historię. Ciągnęło go jednak do literatury.

Pracę redaktorską rozpoczął w czasopiśmie akademickim „Pro Arte et Studio”. Zaczął zapraszać do niego autorów, którzy w nieodległej przyszłości stworzą formację skamandrytów. W czasie wojny polsko-bolszewickiej wraz z dwoma z nich, Lechoniem i Tuwimem, zgłosił się do służby w Biurze Prasowym Naczelnego Dowództwa. Po wojnie, w 1922 r., uzyskał stopień doktora nauk filozoficznych na podstawie rozprawy o stosunkach polsko-francuskich za czasów Stanisława Augusta.

W środowisku Skamandrytów

Zanim powstały „Wiadomości”, był Grydzewski jednym z założycieli, a potem głównym redaktorem i wydawcą pisma literackiego „Skamander”. Ukazując się nieregularnie w latach 1920-28 i 1935-39, pełniło ono rolę trybuny dla kilku młodych poetów, którzy szybko urośli do rangi najważniejszych twórców pokolenia: Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego, Juliana Tuwima i Kazimierza Wierzyńskiego.

Grydzewski scalił ich w grupę poetycką. Zazwyczaj ze stoickim spokojem znosił ich kaprysy i wymagania. Wierzyński notował: „Żeśmy się nie rozlecieli na wszystkie strony i nie rozeszli się równie szybko, jak zeszliśmy się razem, jest zasługą Grydzewskiego. Bez niego nie powstałby miesięcznik poetycki »Skamander«”. Dalej pisał, że „wniósł [on] ze sobą instynkt gromadzki i skrzętność gospodarza i one pomagały mu zebrać osobne osobowości pod jednym dachem”.

Poeta Marian Hemar wspominał o Grydzewskim, że „był organizatorem nowej epoki, stworzył wtedy coś, co zawsze jest w literaturze najtrudniejsze do stworzenia, w każdym jej okresie najbardziej cenne i wartościowe, stworzył środowisko. Przemienił grupę znajomych w przyjaciół, przyjaciół w kartel poezji, połączył ich wspólnotą sławy”. Z kolei Witold Gombrowicz pisał: „Ci chłopcy urodzili się pod szczęśliwą gwiazdą. Znaleźli świetnego impresaria w redaktorze

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE x2

Cena 80 groszy

NUMER POŚWIĘCONY PAMIĘCI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

WIADOMOŚCI LITERACKIE

TYGODNIK

Dziś 12 stron

Niedość jest czytać „Wiadomości Literackie", trzeba je kupować lub prenumerować (zł. 8.— kwartalnie)

Nr. 23 (603)

Warszawa, Niedziela 9 czerwca 1935 r.

Rok XII

WICKHAM STEED

JÓZEF PIŁSUDSKI

Polscy uczestnicy X kongresu PEN Clubów. Mieczysław Grydzewski drugi od lewej. Budapeszt, 1932 r.

Obok: Numer „Wiadomości Literackich" poświęcony pamięci Józefa Piłsudskiego, wydany po jego śmierci. Czerwiec 1935 r.

Grydzewskim". Stąd Grydzewski bywał nazywany „szóstym Skamandrytą".

„Bezpretensjonalne i przystępne"

„Wiadomości Literackie" założył we współpracy z Antonim Bormanem. Pomysł pojawił się przy stoliku w kawiarni „Mała Ziemiańska" na Mazowieckiej. Obaj zainwestowali w nowe pismo własne fundusze.

Swoją formułą „Wiadomości", wydawane od 6 stycznia 1924 r., nawiązywały do paryskiego tygodnika literackiego „Nouvelles littéraires" (wielu oceniało potem, że okazały się lepsze od pierwowzoru). Ich wyjątkowość polegała na dbałości o poziom merytoryczny i redakcyjny, a także na szerokiej tematyce – obok literatury sporo miejsca poświęcano sztuce, muzyce, teatrowi, filmowi, także nauce. Przeważały materiały informacyjne (także o życiu kulturalnym za granicą), felietonowe, były też recenzje i wywiady (Grydzewski zakładał, że czytelnicy nie tylko chcą czytać utwory literackie, ale też wiedzieć, kim są ich autorzy).

Adam Pragier, redaktor pism PPS, oceniał, że „wszystko było na wysokim poziomie, a jednocześnie bezpretensjonalne i przystępne". Grydzewski chciał, by nowe pismo, ↦

adresowane do inteligencji, miało charakter masowy (w ówczesnych warunkach oznaczało to nakład ok. 15 tys. egzemplarzy). Aktywizował czytelników przez konkursy literackie, czytelnicze plebiscyty i ankiety, dyskusje krytycznoliterackie i publicystyczne. Były to zabiegi w polskiej prasie nowe, podobnie jak nowe formy reklamy.

Dzięki temu wszystkiemu dobra literatura na łamach „Wiadomości" osiągała zasięg, o jakim nie mogło marzyć żadne z wcześniejszych pism kulturalnych.

Polemika jest w cenie

Wyróżnikiem pisma był także – jak nazwał to historyk kultury Marcin Lutomierski – „świadomy i celowy eklektyzm". Nie reprezentowało żadnej szkoły estetycznej, nie toczyło bojów o jakąkolwiek doktrynę. Miało być wolne od ideologii, aspirując do bycia forum dla autorów różniących się poglądami, dla indywidualności korzystających z twórczej swobody.

Grydzewski podkreślał to otwarcie: „Żadnej ideologii! Żadnej doktryny, ani ideowej, ani artystycznej! Musi to być trybuna jak najszersza, obejmująca wszystkie przejawy życia literackiego i artystycznego. Musi to być trybuna śmiała, nowoczesna, postępowa... i na tym koniec!". Historyk Rafał Habielski zauważa, że wręcz ambicją Grydzewskiego była obecność, najlepiej w każdym numerze, także tekstów polemicznych.

Decyzje wydawnicze były odważne. Tu po raz pierwszy drukowano pionierskie „dramaty absurdu" i rozważania na temat czystej formy Witkacego. Grydzewski jako pierwszy publikował prozę i dramat Gombrowicza czy nowele Brunona Schulza. Były też oczywiście wiersze Tuwima, pamflety Słonimskiego, satyry Lechonia, publicystyka społeczna Tadeusza Boya-Żeleńskiego i Ireny Krzywickiej. Pisali dla niego także Józef Wittlin, Stanisław Baliński, Zuzanna Ginczanka, Jerzy Liebert, Ksawery Pruszyński, Michał Choromański, Zbigniew Uniłowski, Aleksander Janta-Połczyński, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Karol Irzykowski.

„Dla prawicy wywrotowe, dla lewicy – wsteczne"

„Wiadomości Literackie" nie reprezentowały jednego kierunku politycznego. Po przewrocie majowym w 1926 r. początkowo sympatyzowały z Piłsudskim i jego obozem. Potem, po politycznym procesie brzeskim – gdy Piłsudski postawił przed sądem swych oponentów, liderów partii centrowych i lewicowych – Grydzewski przekształcił literackie dotąd pismo w tygodnik literacko-społeczny. „Wiadomości" zaczęły skłaniać się ku lewicy sanacyjnej, propagując poglądy demokratyczno-liberalne, antyrasistowskie.

> Międzywojenny felietonista pisał, że „Wiadomości" były „dla endeków – sanacyjne, dla piłsudczyków – nieprawomyślne, dla komunistów – drobnomieszczańskie, **dla Żydów – antysemickie, dla rasistów – żydowskie".**

Eklektyzm pisma miał też przeciwników. Felietonista Juliusz Sakowski pisał, że „Wiadomości" były „dla prawicy wywrotowe, dla lewicy – wsteczne, dla endeków – sanacyjne, dla piłsudczyków – nieprawomyślne, dla komunistów – drobnomieszczańskie, dla Żydów – antysemickie, dla rasistów – żydowskie, dla świętoszków – niemoralne, dla awangardowych snobów – zbyt tradycyjne, dla kołtunów – po prostu miazmaty".

Z kolei poeta Stanisław Baliński konstatował: „Grydzewski był niezmiernie liberalny w sprawach krytyki i prawa do krytyki. Sam znosił wszystkie krytyki z epikurejską dobrotliwością. Uważał, że każdy ma prawo do wygłaszania swoich sądów".

Introwertyk integrujący ludzi

Grydzewskiemu udało się osiągnąć rzecz niezwykłą: z jednej strony propagować wielką tradycję romantyczną i klasyczną, sięgając po współczesnych mu pisarzy, z drugiej zaś efektywnie walczyć z fałszywym pietyzmem, przezwyciężać konwenanse, ośmieszać komercjalne bezguście.

Wierzyński wspominał, że jako redaktor był oświeconym autokratą. Nadesłane rękopisy poprawiał drobiazgowo, niezbyt przejmując się protestami ich autorów. Przy czym jego wybitność polegała nie tylko na umiejętnościach edytorskich, lecz również na tym, że potrafił komponować pismo jako spójną całość. W przypadku „Wiadomości" było to niełatwe, a to za sprawą ich eklektycznego charakteru – zarówno gdy idzie o rodzaj tekstów, jak też estetyczne i polityczne przekonania autorów. Swoje artykuły publikowali tu wszak zarówno liberalni skamandryci, jak też krytyczni wobec nich teoretycy awangardy.

A jakim „Grydz" był człowiekiem? Współcześni mu wspominali, że przez ponad 40 lat redagował teksty i kolejne pisma, zachowując entuzjazm dla każdego nowego utworu, z którym się zapoznawał. Niezwykle pracowity, z natury porywczy, zawzięcie bronił swoich zasad i przekonań, a na kompromis szedł w wyjątkowych sytuacjach. Miał przy tym umiejętność integrowania zespołu, współpracowników i autorów, zachęcając ich do poszukiwania nowego środka wyrazu lub odwagi w pisaniu.

A równocześnie był introwertykiem, nie znosił wydarzeń publicznych, politycznych czy kulturalnych. Nie miał też daru wymowy – unikał wystąpień.

W Paryżu i Londynie

Ostatni powstały przed wybuchem II wojny światowej numer „Wiadomości Literackich" ukazał się z datą z niedzieli 3 września 1939 r.

Wkrótce potem Grydzewski opuścił Polskę i przez Rumunię, Jugosławię oraz Włochy dotarł do Paryża, gdzie od marca 1940 r. zaczął wydawać „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie". Pismo, niebędące organem rządu Sikorskiego ani żadnej partii, stało się przystanią dla sporej części emigracyjnej inteligencji.

Po klęsce Francji w czerwcu 1940 r. przedostał się do Londynu, gdzie niemal natychmiast odtworzył „Wiadomości". Choć otrzymywał subwencję rządową, zachował ich apolityczny charakter. Rafał Habielski pisze, że wśród pism emigracyjnych „były jedynym periodykiem niemal w pełni odbijającym różnorodność w jedności świata wychodźczego".

Grydzewski był niechętny polityce rządu Sikorskiego i rządu brytyjskiego, szczególnie po podpisaniu umowy polsko-sowieckiej z 30 lipca 1941 r., do czego Brytyjczycy bardzo nakłaniali rząd RP

ARCHIWUM „WIADOMOŚCI LITERACKICH" ZE ZBIORÓW ARCHIWUM EMIGRACJI BIBLIOTEKI UNIWERSYTECKIEJ W TORUNIU

Mieczysław Grydzewski w Hiszpanii, koniec lat 50.

(krytycy wskazywali, że umowa przechodziła do porządku dziennego nad faktem, iż Sowieci byli w 1939 r. jednym z agresorów).

W odpowiedzi na krytykę jego polityki wobec Związku Sowieckiego rząd Sikorskiego cofnął Grydzewskiemu subwencję i narzucił pismu cenzurę, co automatycznie narzuciło ograniczenia. Grydzewski i jego współpracownicy zajęli nieprzejednane stanowisko w sprawie odpowiedzialności władz sowieckich za zbrodnię katyńską. Doprowadziło to ostatecznie do zamknięcia pisma w lutym 1944 r.

Przeciw kompromisom z Sowietami

Nową „redakcją" Grydzewskiego stała się biblioteka British Museum.

Wcześniej pisał mało. Dopiero w Londynie przełamał swoje dotychczasowe opory i zaczął pisać własne teksty. Stał się twórcą m.in. cyklu eseistycznego „Silva rerum", w którym na łamach „Wiadomości" zamieszczał znalezione w bibliotece British Museum ciekawostki dotyczące polskiej historii i literatury.

Później, już po II wojnie światowej, pisał też recenzje książek dla monachijskiego Radia Wolna Europa i waszyngtońskiego Głosu Ameryki. Zredagował kilka tematycznych antologii literackich, z których ukazała się jedynie antologia poezji.

Nie wybiegając jednak zbytnio w przyszłość – 8 kwietnia 1946 r. Grydzewski wznowił wydawanie w Londynie pisma pod nazwą „Wiadomości", które redagował wspólnie z Antonim Bormanem. Pisali w nim m.in. Zygmunt Nowakowski, Stanisław Cat-Mackiewicz, Kazimierz Wierzyński, Marian Hemar, Józef Mackiewicz, Józef Wittlin, Ferdynand Goetel.

Redakcja kontynuowała linię niechętną wszelkim kompromisom z komunistyczną Rosją. Grydzewski w czarnych barwach widział powojenną rzeczywistość polską i bardzo negatywnie oceniał decyzje intelektualistów, którzy decydowali się na powrót do pojałtańskiej Polski. Szczególnie dotkliwe było dla niego, iż zrobili to Tuwim i Słonimski, jego przyjaciele.

Dla promocji literatury polskiej na obczyźnie w 1958 r. powołał Akademię Literatury, zwaną „Akademią Grydzewskiego", i ustanowił doroczną nagrodę „Wiadomości" za najwybitniejszą książkę wydaną na emigracji i najlepszy utwór publikowany w tygodniku.

„Wiadomości Polskie" wydawał i redagował do grudnia 1966 r.

Grydzewski i Giedroyc: wielcy skonfliktowani

Dzieje suwerennej myśli polskiej od połowy lat 40. do połowy lat 70. XX w. w ogromnej mierze wypełnia spór między londyńskimi „Wiadomościami" Grydzewskiego a paryską „Kulturą" Jerzego Giedroycia.

Obaj wybitni redaktorzy byli wielkimi indywidualnościami polskiego świata intelektualnego na obczyźnie – i obaj nie przepadali za sobą. O ile Grydzewski formował opinię publiczną londyńskiej emigracji, był bezkompromisowy wobec komunistycznych władz w Polsce, o tyle Giedroyc starał się docierać do wolnych umysłów w komunistycznej Polsce.

Giedroyc i jego środowisko zarzucali Grydzewskiemu zbytnią zachowawczość, a nawet skłonności endeckie. Grydzewski z kolei uważał, że paryska „Kultura" obniża standardy i swoimi oszczędnymi ocenami wydarzeń w kraju zbyt delikatnie obchodzi się z komunistami.

Rafał Habielski sądzi, że podobnie jak ze śmiercią Grydzewskiego zamknął się okres wielkiej literatury emigracyjnej, tak wraz ze śmiercią Giedroycia zakończyła się powojenna emigracja.

Nieobecny

W 1966 r. Grydzewski doznał dwóch udarów mózgu. Częściowo sparaliżowany, odtąd przebywał w londyńskim ośrodku opiekuńczym; wspomagali go finansowo przyjaciele i czytelnicy. Zmarł 9 stycznia 1970 r. w wieku 75 lat. Jego ciało poddano kremacji, a prochy, zgodnie z jego wolą, rozsypano w ogrodzie krematorium w londyńskiej dzielnicy Golders Green. „Wiadomości" wydawane były jeszcze do wiosny 1981 r.

Choć bez Mieczysława Grydzewskiego trudno wyobrazić sobie życie kulturalne w międzywojennej Polsce oraz w środowisku emigracji polskiej po 1939 r., dziś „Grydz" jest postacią zapomnianą.

Był wprawdzie legendą, ale bardziej za życia niż po śmierci. Choć ludzie z emigracji wojennej dokładali starań, by pamięć o nim przetrwała, wydaje się, że komunistyczna PRL skutecznie pamięć tę zatarła. W szerszej świadomości społecznej Grydzewski jest dziś praktycznie nieobecny.

© PIOTR HAPANOWICZ

SŁAWOSZ UZNAŃSKI jest inżynierem i elektronikiem, projektantem i badaczem systemów elektronicznych działających w trudnych warunkach. Przez lata związany z Europejską Organizacją Badań Jądrowych (CERN), gdzie m.in. nadzorował pracę Wielkiego Zderzacza Hadronów. W 2021 r. przeszedł rekrutację do Korpusu Astronautów Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA). Wkrótce ma wziąć udział w misji na Międzynarodową Stację Kosmiczną.

KOSMOS SIĘ OPŁACA

SŁAWOSZ UZNAŃSKI, ASTRONAUTA:

Urodziłem się 12 kwietnia, w rocznicę lotu Gagarina. Mama zawsze składała mi na urodziny życzenia szczęśliwego Dnia Kosmonautów. Chyba tak się to zaczęło.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Ostatnie miesiące musiały być intensywne.

SŁAWOSZ UZNAŃSKI: Zacząłem przygotowania 1 września, uczyłem się różnych systemów funkcjonujących na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Jak ta stacja działa? W jaki sposób ją kontrolujemy? Jakie są systemy podtrzymania życia, wytwarzania energii? To był dość techniczny miesiąc. Październik był inny. Zakończył się polski nabór na eksperymenty naukowe, które mogłyby zostać wykonane na stacji kosmicznej. Zacząłem bardziej współpracować z polskimi podmiotami po to, żeby pomóc zbudować i implementować te eksperymenty polskich

instytutów i polskiego prywatnego sektora kosmicznego. Podczas szkolenia nie ma rutynowego tygodnia ani dnia. Wkrótce zacznę przymierzać się do stroju, w którym astronauci startują na stację.

Twoja droga w kosmos wydaje się nietypowa. Pracowałeś w CERN-ie, czyli ośrodku, w którym działa Wielki Zderzacz Hadronów. To kojarzy się z pracą pod ziemią. W kosmos stamtąd trochę dalej.

CERN i ESA [Europejska Agencja Kosmiczna – red.] są dwiema największymi europejskimi organizacjami naukowymi, rotacja pracowników między nimi jest duża. Kilku studentów, którzy robili doktorat w moim zespole, dzisiaj pracuje w ESA nad kosmicznymi technologiami. Miałem również studentów w CERN-ie, których zatrudniłem po ich pierwszych doświadczeniach zawodowych z ESA. CERN bada, z czego składa się materia, jakie są te podstawowe klocki Lego wszystkiego, co nas otacza. Patrzy na świat w mikroskopijnej skali. ESA zerka w gwiazdy i inicjuje eksplorację Układu Słonecznego w makroskali. To, co jest wspólne, to fizyka, która i w skali mikro, i w skali makro działa tak samo, możemy więc te dwa światy łączyć.

Kiedy polecisz?

Czekam na tę informację. Mam nadzieję, że szybciej niż później, ale nie chciałbym spekulować. Wiadomo, że loty kosmiczne są trudne. Daty mogą się zmieniać.

Nie da się chyba uciec od tego, że to niebezpieczna sprawa. W kosmosie było około 600 ludzi i 18 z nich zginęło.

Loty kosmiczne mogą być niebezpieczne. Wydaje mi się jednak, że te statystyki poprawiają się od czasu pierwszych misji eksploracyjnych. Oczywiście Księżyc jest bardzo dużym wyzwaniem, natomiast na Międzynarodową Stację Kosmiczną latamy regularnie. Obchodzimy akurat dwudziestą trzecią rocznicę tego, jak stale utrzymujemy życie poza naszą atmosferą.

Sama Międzynarodowa Stacja Kosmiczna może wkrótce przestać działać. Amerykanie mówią, że może zostać porzucona w ciągu dekady.

Nie byłbym taki pewien. To niezwykła platforma naukowa. Oczywiście stacja kosmiczna się starzeje. Niektóre moduły zostały przecież wyniesione pod koniec lat 90. Są również plany, żeby stacja kosmiczna przeszła w ręce komercyjne, np. firmy Axiom, która wysyła na nią nowe moduły. Nie przesądzałbym, że na początku najbliższej dekady ta stacja będzie deorbitowana, na razie jest naszym jedynym laboratorium na orbicie.

Nasze obecne załogowe misje wyglądają jak powtórka tego, co już było. Stacje kosmiczne mamy od lat 70. Program Artemis, czyli powrót na Księżyc, przypomina program Apollo z lat 60. Czy my nie odgrzewamy starych kotletów?

Nie, z pewnością nie! Dzisiaj wracamy na Księżyc, jak to NASA ładnie ujęła, żeby ustanowić na nim naszą stałą obecność. Misje Artemis mają być kontynuowane długo. Chcemy nauczyć się, jak żyć na Księżycu na stałe. W jaki sposób zbudować habitat? Jak mogłyby wyglądać systemy podtrzymania życia? Dzisiaj mamy konstelację satelitów wokół Ziemi, które dają nam internet, telekomunikację, pozycjonowanie wokół Ziemi. Za 10-15 lat być może będziemy mieli konstelację, która daje również nam internet, komunikację i pozycjonowanie na Księżycu, a może te konstelacje będą razem złączone w jedną. To już dla nas wykonalne. Wtedy Księżyc stałby się nam technologicznie i eksploracyjnie dużo bliższy.

Wybiegliśmy w przyszłość, to teraz spójrzmy w przeszłość. Dlaczego Sławosz Uznański w ogóle zainteresował się kosmosem? Które filmy science fiction za to odpowiadają?

Uwielbiam kosmos, ale pewnie cię zawiodę: nie jestem wielkim fanem „Star Wars", nie oglądałem ich, tak jak wszyscy, po pięć razy. Raczej byłem na zewnątrz, nie siedziałem w domu na kanapie przed telewizorem.

To co Cię w takim razie wciągnęło?

Urodziłem się 12 kwietnia, w rocznicę lotu Gagarina w kosmos, mama zawsze składała mi na urodziny życzenia szczęśliwego Dnia Kosmonautów. Chyba tak się to zaczęło. Na studiach wybrałem kierunek elektronika i telekomunikacja, z kosmosem związałem się podczas doktoratu. Wiedziałem, że chciałbym kontynuować karierę naukową i szukałem jakiejś takiej strategicznej działki, która by mnie fascynowała, byłaby motywująca i nie groziłby jej szybki outsourcing do Azji. W ramach doktoratu zacząłem budować europejską technologię układów scalonych, tych małych chipów, które mamy w telefonach i w komputerach, właśnie na potrzeby kosmosu. To było 15 lat temu. Od tamtego czasu z kosmosem jestem zawsze bardzo blisko.

Miałeś kiedykolwiek ulubionego astronautę?

Mam raczej ulubione historie dotyczące astronautów. Gdy Neil Armstrong i Buzz Aldrin wylądowali na powierzchni Księżyca, to trzeci członek załogi – Michael Collins – został na orbicie Księżyca. Kiedy tamci dwaj wracali do niego, to zrobił niezwykłe zdjęcie. Widać na nim powierzchnię Księżyca, lądownik Eagle, który wraca już do Collinsa na orbitę, a w oddali można zobaczyć naszą błękitną planetę. Lubię tę historię, ponieważ na tym zdjęciu są wszyscy ludzie, którzy wówczas żyli. My, którzy byliśmy na planecie, i dwaj astronauci wracający do statku nad Księżycem. Jedyną osobą, która na tym zdjęciu się nie znajduje, jest jego autor – Michael Collins. Załogowe loty kosmiczne dają niezwykłą perspektywę – spojrzenia na nasze społeczeństwo, środowisko. W przypadku tego zdjęcia możemy iść dalej: nie tylko są na nim wszyscy ludzie, którzy wówczas żyli, ale całe życie, jakie znamy w kosmosie – poza autorem fotografii.

Wróćmy do twojej codzienności. Wszyscy znamy te filmy ze szkolenia astronautów: wirówki, baseny, bardzo złożone tortury, którym ci ludzie są poddawani. Nie boisz się trochę?

Jestem z natury optymistycznie nastawiony do wszystkiego, lubię poznawać nowe warunki, siebie w nowych warunkach. To będzie ciekawa przygoda. Nie miałem jeszcze lotów parabolicznych czy wirówek, ale miałem pierwsze nurkowania w basenie. Nie mogę się doczekać tych elementów szkolenia.

Co Cię czeka?

Czekają mnie loty paraboliczne, żeby doświadczyć stanu nieważkości, przynajmniej na kilkanaście czy ↦

MIKOŁAJ ZACHAROW / REPORTER

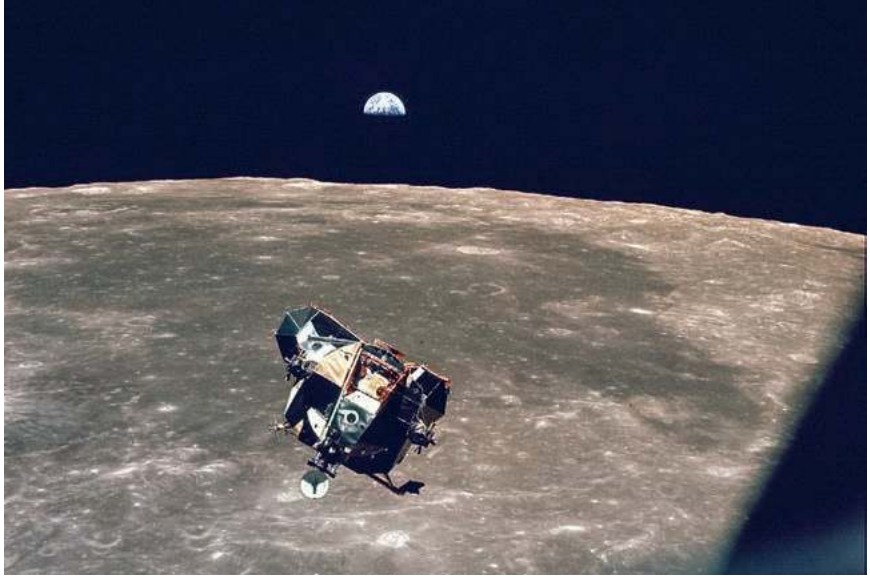

MICHAEL COLLINS / NASA / MATERIAŁY PRASOWE

Ziemia widziana znad Księżyca, na pierwszym planie lądownik. Misja Apollo 11, 21 lipca 1969 r.

↦ kilkadziesiąt sekund. Samolot leci do góry i zaczyna opadać, wytwarzając stan nieważkości, ale po to, żeby później wspiął się na kolejną parabolę, trzeba przeżyć przeciążenie 2 g. To oznacza, że nasze ciało staje się dwa razy cięższe. Takich parabol samolot może wykonywać do kilkudziesięciu podczas jednego lotu. Wirówki oczywiście też mogą symulować duże przeciążenia albo całe profile przeciążeniowe, których doświadczają astronauci np. podczas startu rakiety czy lądowania kapsuły. Będę miał też możliwość trenowania w basenie i pracy w symulowanej stacji kosmicznej, przygotowywania się do różnych scenariuszy operacyjnych. Będę musiał posiąść dużo wiedzy z zakresu biologii, medycyny, biotechnologii, bo takie eksperymenty również będę przeprowadzał dla polskich i europejskich instytutów. To cały wachlarz nowych kompetencji do nabycia, a ja nie mogę się doczekać, bo zawsze lubiłem być w szkole.

Na orbicie masz plan co do minuty, z wyjątkiem czasu na sen czy odpoczynek.

Co do pięciu minut. Cały dzień jest bardzo dokładnie zaplanowany i podzielony na 5-minutowe odcinki. Każda minuta na orbicie to duży koszt, który musi się zwrócić w postaci technologii i badań naukowych.

To brzmi jak korpo!

Z jednej strony tak. Ale to jednak uczestniczenie w badaniach dziesiątek naukowców, którzy są na Ziemi. Współpraca międzynarodowa. W takim środowisku czuję się jak ryba w wodzie.

Przygotowujesz się do konkretnych zadań, ale jako członek załogi musisz być w stanie zrobić cokolwiek, co będzie potrzebne. W razie awarii musisz być uniwersalny.

Są trzy główne awarie, które mogą się zdarzyć. Brak atmosfery, czyli wyciek ze stacji kosmicznej i utrata ciśnienia. Toksyczne gazy, np. amoniak, które by się dostały do stacji kosmicznej. Amoniak jest bardzo trujący, ale jest wykorzystywany w systemie chłodzenia stacji. Może się też zdarzyć pożar, bo na stacji jest mnóstwo instalacji elektrycznych i istnieje ryzyko zwarcia. Wszyscy astronauci muszą w takiej sytuacji wiedzieć, jak się zachować.

Jak się przygotowujecie mentalnie, żeby radzić sobie z zagrożeniami, kiedy nikt nie może przyjść z pomocą?

Przeszedłem już duże szkolenie z medycyny kosmicznej. Oczywiście jest cała część przygotowania psychologicznego, bardzo pomocne jest szkolenie kompetencyjne. Im większe doświadczenie z systemami stacji kosmicznej, tym mniejszy stres. Żywność, ćwiczenia fizyczne – to też bardzo ważne, wszystko jest elementami układanki. Po to, żeby być operacyjnie sprawnym, trzeba zadbać i o siebie, i o sen, żywienie, trening fizyczny.

A co chcesz robić w czasie wolnym w kosmosie?

Nie wiem, ile go będę miał. Chciałbym mieć jak najwięcej możliwości połączenia się z Ziemią. Z rodziną, z bliskimi, ale również z polskimi szkołami, studentami i z dziennikarzami. Warto pokazywać, dlaczego powinniśmy inwestować w badania naukowe. Mam nadzieję, że poprzez taką komunikację będę mógł zainspirować nową generację astronautów, inżynierów czy ludzi pracujących w kosmosie.

A co potem? Mimo wszystko astronauci większość kariery spędzają na Ziemi. Co robisz między misjami?

Jest wiele innej pracy. Oczywiście dużą część czasu astronauty zajmuje trening – mam ok. 40 godzin szkoleń tygodniowo. Ale to dlatego, że przygotowuję się do misji. Ważną częścią naszej pracy jest popularyzacja. Szczególnie gdy mówimy o astronautach wracających z misji i pomiędzy misjami. Jeździmy do szkół, na konferencje, rozmawiamy z dziećmi, studentami, opowiadamy o technologii.

Poza tym każdy astronauta ma swoją drugą działkę w ESA. Coś, czym zajmuje się pomiędzy misjami. Luca Parmitano, jeden z włoskich astronautów, pracuje w centrum operacyjnym w Houston w Centrum Kontroli Lotów Kosmicznych. Współpracuje z astronautami, którzy aktualnie są na orbicie, żeby ułatwić im komunikację i eksperymenty. Samantha Cristoforetti, Włoszka, która dołączyła do Korpusu Astronautów po selekcji w 2008 r., pracuje jako menadżerka, projektując i prowadząc przyszłe misje eksploracyjne ESA. Misja to mała kropla w morzu godzin spędzonych na przygotowaniach, części komunikacyjnej i pracy nad innymi projektami i misjami.

Kosmos to pieniądze, pieniądze to polityka. Dlaczego inwestycje w kosmos powinny być dla nas priorytetem?

Bo dają świetny zwrot z inwestycji. ESA gromadzi takie dane na temat wszystkich większych programów. Misje obserwacyjne Ziemi to zwroty rzędu 6-7 złotych za każdą złotówkę zainwestowaną. Jeżeli mówimy o konstelacjach pozycjonujących, czyli służących do nawigacji satelitarnej, jak europejski system Galileo, to są zwroty już 10 do 1. Misje eksploracyjne – 4 do 1. W banku takiego zwrotu ekonomicznego nie uzyskamy. A to jest tylko i wyłącznie bezpośredni zwrot z rozwijania technologii. Natomiast później ten pośredni zwrot, miejsca pracy dane dla społeczeństwa, których technologia kosmiczna dostarcza, jest dużo, dużo większy i już trudny do oszacowania.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Słuchaj także w Podkaście Tygodnika Powszechnego:
tygodnikpowszechny.pl/podkast

ELIZA

Kącka:
Komurka Kącka

Sielecka, dwie sąsiadki przy śmietnikach. Jedna, z kotem pod pachą, ofukuje: „Nic dziś nie dostaniesz”. „A co pani Zosia taka...”. „Podrapał księdza na kolędzie. Znowu!”. „Eee, to zwierzę, co ono tam...”. „Jakoś innych nie tyka”. „Może to ubiór...?”. „A może koloratka, hę? Zrobiłam test wody święconej”. „Co?!”. „Pokropiłam go”. „Księdza?!”. „Kota!”. „I co?”. „Nie miota się”. „To chyba dobrze?”. „No, nie wiem. Wyraźnie jest odcięty psychicznie od wczoraj”.

Park Morskie Oko, deszcz. Rozmowa o dzieciach ze spektrum. Obok mnie babcia dziecka przed diagnozą, zalękniona, że się potwierdzi. Zaklina się, że jednak nie, bo przecież jest przesmyk, którym można wywinąć się mimo twardych z pozoru danych. Zaczyna: „No, ale pani dziecko chyba nic nie mówiło przed czwartym rokiem, prawda?” – pyta z nadzieją. „Niewiele – odpowiadam – ale nieco mówiło jednak”. „Aha. Ale na pewno nie z panią”. Ta rozbrajająca nadzieja, że nie zdołałam przerzucić kładki porozumienia z dzieckiem, podczas gdy oni zmontowali przejście. „Mało mówiła do mnie, głównie do rzeczy wokół” – odpowiadam. „A, to widzi pani, u nas lepiej, bo Alinka nazywa różne przedmioty, ale mówi, że kocha mamusię”. „To dobrze” – odpowiadam, chociaż boli. „Dobrze, pani Elizo, dziękuję bardzo, bardzo, może ten autyzm Alinki nie jest tak ciężki, będziemy się kontaktować, ale to bezcenne, że nam pani dała tło z własnych doświadczeń. Widzę teraz, że może Alinka to lżejszy przypadek. Pani Elizo, w kontakcie, niech się pani nie poddaje”.

Pierwszy dzień stycznia, popołudnie. Pogoda smętna, ale choć na chwilę do Łazienek. Melancholia pojedynczych kapiszonów gdzieś w oddali. Przede mną krąży para w moim wieku. Ułomki dialogu. „Może w tym roku, co...?”. „Nieee wiem”. „Kiedyś ty chciałaś”. „Wiem”. Pauza, orbitują wokół klombów. Wracają. „Teraz będzie stabilniej”. „Nie będzie. Widzisz to światło?”. „Y?”. „Za ciemno na robienie dzieci”.

Dzień wigilijny, słońce późnojesienne. W pilotce, z garnkiem pod pachą i z dzieckiem pod bokiem gnam do kuzynki na Choszczówkę. Mżawka, wysiadamy na wiadukcie przy Dworcu Gdańskim. Przed nami wyskakuje matka z dwojgiem dzieci i tuzinem siat. Pomagam jej przez moment ręką prawą; woltyżerka z garnkiem. Ona do małego, zezując z niepokoju: „Franciszek, gdzie reklamówka?!”. „Jaka?”. „O mój Boże, czerwona!”. „Nie mam”. Ona do mnie: „Matko Boska!”. Ja w uśmiech: „To nie do mnie”. Ona do małego: „Miałeś pilnować!”. Do mnie, w stuporze cierpienia: „Pierogi mi odjechały!”.

Dworzec Gdański, szwendanie przed odjazdem. Wpadam do pawilonu piekarni – za mną staje w kolejce gość z dużym pudłem w siatce, chyba tortowym. Uzmysławiam sobie, że jechaliśmy razem autobusem z przystanku Dolna. Potem w hali poczekalni siadamy plecami do siebie, a gdy zapowiadają pociąg na Legionowo, podrywamy się jednocześnie. Ja zbaczam z trasy na peron, bo idę jeszcze do mikrospożywczaka po butelkę wody. Ale w końcu na peronie, odjazd za pięć minut. Gość siedzi ze swoim tortem na ławce po naszej stronie peronu i badawczo mi się przygląda. Wjeżdża SKM, wsiadamy – ja w czole kolejki. Gdzieś na tyłach mała burda. Biegnie konduktor, pohukiwania alkoholowe, jakaś mała przepychanka. Kilku pasażerów przedryfowało na sąsiednie siedzenia. W tym gość z tortem, wyraźnie już przestraszony, że siada po przekątnej ode mnie. Choszczówka, wysiadamy. Łapię kątem oka jego zeza i uśmiecham się. Wyciąga rękę, wskazując na lewy brzeg Choszczówki: „Ja teraz tam idę, nie tam, gdzie pani, do widzenia!”. By nie sprawdzać, czy tak jest rzeczywiście, poczekałam, aż zniknie na ścieżce przecinającej zagajnik.

Poczekalnia na Dworcu Gdańskim. Przy mnie rodzina z plecakami, tobołkami świątecznymi. Mały wspina się na ławkę, wyłudza czekoladę. Nie dostał, nudzi się, do mnie: „A ja jadę do babci Wiesi”. „Fajnie”. „A ty jedziesz do babci Wiesi?”. Matka strofuje, by przestał, uspokajam. Śmieję się: „A co, chcesz mnie zabrać ze sobą?”. Zdziwił się: „Ty musisz odwiedzić swoją babcię”. „Moją babcię Wiesię?”. „Tak!”.

Folder Inne poucza: „Proszę Pani, jeśli mogę darować Szanowną. W piśmie pseudokatolickim donosi Pani na zachowania! Jak w komunie! Podpuszcza ludzi, by okazali patriotyzm a potem sprzedaje to w prasie. Powstaje przez to fałszywy obraz ze środków Unii. Udaje Pani sympatię dla prostych ludzi i wykorzystuje na materiał. Jeszcze się pokaże czy działa Pani sama czy jako sieć. A może cała komurka Kącka? Co maskuje dobre nazwisko. Polska podsumuje kiedyś wasze żądy. Przez takich jak Pani ludzie myślą, że Polska to krajdoł!”.

119, dwie starsze, siedzimy nos w nosy. „Najgorsze, wie pani, że Telewizję Publiczną jak raz sprywatyzowali. Nie wiem, co się da jeszcze oglądać”. „Prywata! Jak za komuny”. „Tak! Strajk głodowy na Woronicza, ile oni wytrzymają? Za symboliczne pensje państwowe”. „Honorowi ludzie, jest z nimi nasz Antoni”. „Na razie włączam Republikę, mam nadzieję, że ona przejmie naszą panią Danutę”. „I innych naszych”. „Toż oni by się nadawali do pracy po całym świecie, a muszą cierpieć”. „Od narodu”. „Jak on tego szybko nie załatwi, mamy nową Rosję”. „Wie pani, jak rządzą ruscy agenci...”. „A nie niemieccy?”. „Eee, powiem pani, oni są na dwóch żołdach”. „A to się nie kłóci?”. „Mąż mówi, że nie”. ©

KULTURA

SIŁA SPRAWCZA

AGNIESZKA PRZEPIÓRSKA, AKTORKA:

Tli się we mnie tęsknota za delikatnością i łagodnością, by móc wreszcie z tej perspektywy opowiadać świat.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Najlepsza aktorka teatralna ubiegłego sezonu ma nową fryzurę?

AGNIESZKA PRZEPIÓRSKA: Włosy upinam tuż przy głowie, bo zakładam czarną perukę. Rozmawiamy w przerwie między próbami w Teatrze Słowackiego do „Proszę państwa, Wyspiański umiera", autorskiego spektaklu Agaty Dudy-Gracz. Ja gram trzy kobiety ważne dla Wyspiańskiego: Teosię, czyli żonę, Teodorę Pytko, Helenę, czyli córkę, Wandę Siemaszkową, czyli odtwórczynię Panny Młodej w premierowym Weselu" . A w samej Teosi odnalazłam coś, co widza może zaskoczyć.

Co?

Wrażliwość, delikatność, bezbronność. To nie była prymitywna chłopka, w której krakowscy mieszczanie widzieli babę niepiśmienną, niezgrabną, brudną. Na życiu Teodory położył się cień przeszłości: ojciec bijący ją w dzieciństwie, a być może stosujący inne formy przemocy. To uniwersalne doświadczenia: wszyscy tak samo odczuwamy tęsknotę, ból, miłość. W sferze emocji nie jest ważne, z jakiego świata się wywodzimy.

Tych emocji doświadczają też Zuzanna Ginczanka, Simona Kossak, Barbara Sadowska, Anna Walentynowicz – bohaterki granych przez Ciebie monodramów.

Piotr Rowicki, autor tekstu, w ten sposób pokazuje bohaterki, a po ich świecie pewną reżyserską ręką prowadzi mnie Anna Gryszkówna. Ważny jest research, spotkania z ludźmi i ekspertami. To połowa moich przygotowań. Agata Araszkiewicz pomagała mi przy „Ginczance", „Simona" jest adaptacją książki Anny Kamińskiej, a „Walentynowicz" – adaptacją biografii napisanej przez Dorotę Karaś i Marka Sterlingowa. Elżbieta Ficowska i Cezary Łazarewicz byli konsultantami przy „Sadowskiej".

A same bohaterki?

Wszystkie mają jeszcze coś wspólnego: niebywałą siłę. Siłę w sensie sprawczości, decyzyjności, podejmowania wyzwań. One muszą być silne, by zostać zauważone i przebić się do męskiego świata. Przez dekady ich rola była marginalizowana – mówiło się o Kossakach-mężczyznach, a nie o Simonie, o Tuwimie, a nie o Ginczance, o Przemyku, a nie o Sadowskiej, o Wałęsie, a nie o Walentynowicz. A ja chciałam z ich perspektywy pokazać świat, nie niszcząc przy tym męskiej narracji. Robię teatr, gdzie w centrum jest kobieta, która ma prawo błądzić, co nie zmienia faktu, że żyje sensownie. Zależy mi i na tym, by te opowieści były zrozumiałe dla każdego. Gram dla ludzi z ulicy.

Kogo dziś porywa postać Anny Walentynowicz?

Ona jest z innego świata, jej pryncypialność jest mi obca. Ale ciekawiła mnie jej droga do miejsca, w którym się znalazła, przecież była twarzą strajków sierpniowych i Wolnych Związków Zawodowych. A wywodziła się z wioski ukraińskiej, z biedy, oddana na służbę dlatego, że jej starsza siostra tam nie wytrzymała, bo było jej za ciężko. Walentynowicz zacisnęła zęby i powiedziała: dam radę. W ogóle całe życie powtarzała: „Dam radę".

Co to oznacza dla „ludzi z ulicy"?

Wyzwaniem jest zrobić monodram o suwnicowej, robotnicy nie mają dziś przedstawicieli na scenie. W dodatku chodzi o postać samej Walentynowicz – ona jest niewygodna, spoza naszej bańki. Przed premierą panikowałam: Jezu, jak ja się przebiję z jej historią przez mur niechęci. A teraz myślę, że każdy odczyta ten spektakl, jak chce. Już czuję, że jest duża rozbieżność między widzami a krytykami. Moim jedynym celem jest pokazanie złożonej osobowości tej kobiety. Z monodramami jeżdżę po całej Polsce, od tej wielkomiejskiej po powiatową i widzę, jak ludzie reagują.

Jak?

Bez uprzedzeń. Po „Simonie K. Wołającej na puszczy", którą grałam w jakimś maleńkim ośrodku, gdzie zmieściła się garstka osób, podeszła do mnie zapłakana starsza pani i pyta: „Simonko, a ty bardziej mieszkasz teraz w Warszawie czy w Krakowie?". Zrozumiałam, że ona się musiała kiedyś z Kossak zetknąć, a teraz ma rozjazd pomiędzy tym, że ja jestem aktorką, która gra Simonę, a nie prawdziwą Simoną. Ale nie chciałam jej wytrącać z nastroju, więc powiedziałam tylko, że jestem i w Warszawie, i w Krakowie – co nie jest kłamstwem, bo rzeczywiście żyję na dwa miasta. A po obejrzeniu „Ginczanki. Przepisu na prostotę życia" odezwała się wnuczka kobiety, która siedziała z Ginczanką w jednej celi przy Montelupich. Babcia jej opowiadała, ↦

GRAŻYNA MAKARA

AGNIESZKA PRZEPIÓRSKA (ur. 1979) jest aktorką. Od dwunastu lat wespół z Anną Gryszkówną (reżyseria) i Piotrem Rowickim (tekst) tworzy monodramy – teatr biograficzny. Uhonorowana przyznawaną przez miesięcznik „Teatr" nagrodą im. Aleksandra Zelwerowicza dla Najlepszej Aktorki Sezonu Teatralnego 2022/2023. 6 stycznia 2024 r. w Teatrze im. Juliusza Słowackiego odbyła się z jej udziałem premiera „Proszę Państwa, Wyspiański umiera".

Na zdjęciach w przestrzeniach Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, styczeń 2024 r.

↦ że Ginczanka przeraźliwie bała się śmierci. A ja w spektaklu pokazuję, że ona umierała z podniesioną głową.

Spektakl zaczynasz słowami: „Niesprawiedliwość, niesprawiedliwość”.

Te słowa na wnuczce koleżanki Ginczanki zrobiły tym większe wrażenie, że jej babcia nieustannie powtarzała właśnie: „Niesprawiedliwość, niesprawiedliwość”. Całe życie miała poczucie winy, pytała samą siebie, dlaczego została rozstrzelana tak utalentowana i piękna kobieta, a nie ona – zwykła zjadaczka chleba, która nic wielkiego po sobie nie zostawi. W naszej sztuce chcieliśmy gotowością Ginczanki na śmierć ocalić godność jej jako reprezentantki wszystkich Żydów mordowanych w upodleniu.

A w „I będą święta”, pierwszym monodramie, skupiałaś się na kobietach, które straciły mężów w katastrofie smoleńskiej.

Impulsem było to, że wiosną 2010 r. zewsząd płynęła opowieść o wdowach smoleńskich. A ja zastanawiałam się nad mechanizmem upublicznienia straty, przeżywaniem żałoby w świetle reflektorów. Dlaczego niektóre kobiety mówią, a inne milczą? Dlaczego jedne wpuszczają do domu media, a drugie nie chcą mieć z nimi niczego wspólnego? Obserwowałam, co się działo w trakcie pogrzebów – jedna z wdów z dziećmi nie mogła dopchać się do grobu męża i ojca, nie pozwolił na to tłum fotoreporterów. Albo Małgorzata Szmajdzińska, wdowa po Jerzym, przez internautów została zlinczowana za to, że pomalowała usta do telewizji, a na dodatek w czasie rozmowy lekko się uśmiechnęła. Docierało do mnie, jak kultura pilnuje wizerunku kobiety, która musi odegrać te swoje role wdowy, matki, żony itd.

Ciebie też to dotyczyło?

Byłam wówczas samotną matką i mierzyłam się z masą oczekiwań. W chwili, gdy nie miałam pracy, a syn był mały, dostawałam wskazówki, jak mam postępować. Miałam więc i pracować na pełny etat, i zapewnić dziecku dom, wikt, opierunek, uwagę, słowem: być obecną. Źle, że wychodzę wieczorem grać spektakl, nie wychodzę – też źle. Posyłam dziecko do żłobka: źle, bo nie jest przy matce, nie posyłam: źle, bo biega po garderobie. A wracając do wdów: kiedy kobieta z dziećmi poznaje faceta i chce się z nim związać, to słyszy, że nie wypada i za wcześnie, a jak wdowiec i znajdzie sobie kobietę, to świetnie, bo zajmie się jego dziećmi.

MAGDA HUECKEL / DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ

Agnieszka Przepiórska w monodramie pt. „W maju się nie umiera. Historia Barbary Sadowskiej”. Maj 2023 r.

DAWID ŚCIGALSKI / TEATR ŁAŹNIA NOWA

Agnieszka Przepiórska w roli Ginczanki. Luty 2020 r.

DAWID LINKOWSKI / TEATR ŁAŹNIA NOWA

Agnieszka Przepiórska w spektaklu o Annie Walentynowicz. Prapremiera spektaklu w Stoczni Gdańskiej. Sierpień 2022 r.

Nie zdawałam sobie sprawy – wraz z autorem tekstu Piotrem Rowickim i reżyserem Piotrem Ratajczakiem – jak czułej struny dotykam „Świętami”. Sporo kobiet mówiło, że to ich historia.

Emancypacji?

To główny wątek „Świąt”. Pytanie postawione samej sobie po śmierci męża: kim byłam przez lata małżeństwa? I odpowiedź: nikim. Wszystko robiłam dla męża i dla dzieci. Zapomnienie o sobie, o potrzebach, pragnieniach, marzeniach. Paradoksalnie: po śmierci męża przychodzi czas na odzyskiwanie podmiotowości, istnienia na swoich warunkach. W „Polonii powielonej” Maria Janion pisze, że idealizacja kobiety jako matki – nastawienie wyłącznie na rozrodczość, podtrzymywanie gatunku i oddanie się rodzinie – umacnia męską historię. Kobieta gwarantką narodowej wspólnoty, przyzwoitości, poprawności polityczno-obyczajowej. Interesują mnie też fantazmaty literatury, które Janion analizowała w „Niesamowitej Słowiańszczyźnie”, jej odczytywanie romantyzmu, w ogóle sposób myślenia i poczucia wolności intelektualnej. A „Kobiety i duch inności” były dla mnie objawieniem. Nieustannie potrzebuję się roznamiętniać intelektualnie. I właśnie książki Janion otwierają mi głowę.

Powstanie monodram o Janion?

Sądzę, że tak, choć jeszcze nie teraz. To byłby spektakl mocno intelektualny. A ja w monodramach cały czas jestem w emocjach. One działają na widzów.

A Ciebie eksploatują?

W pracy zapominasz o sobie, stanie psychicznym i fizycznym. Wychodzisz na scenę i zasuwasz wbrew temu, co ciało podpowiada. A podpowiada: „Połóż się, bo jesteś wycieńczona”. Mam swój rytuał: na moment przed rozpoczęciem spektaklu, w kostiumie siadam na krześle i wstając z niego, zostawiam w garderobie prywatną Agnieszkę, a wraz z nią niedyspozycje i dręczące myśli. Monodramy są pod tym względem o tyle trudne, że na scenie jestem kompletnie sama. Jak się pomylę, to żaden aktor mnie nie uratuje.

Dopiero od całkiem niedawna akceptuję to, że może mi coś nie wyjść. Nawet kiedy zapomnę tekstu, co zdarzyło mi się raz na 2,5 tysiąca zagranych spektakli. Plotłam wtedy trzy po trzy, próbując wcelować na właściwy tor i po paru minutach udało się. Sądzę, że widzowie zrozumieliby, gdybym powiedziała: „Słuchajcie, przepraszam, muszę na chwilę wyjść, bo mam problemy z żołądkiem". Teatr to przecież spotkanie z żywym człowiekiem ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Ty też jesteś przecież takim „żywym człowiekiem".

Płynne są granice pomiędzy życiorysem postaci, które gram, a moim. Co oznacza, że potrafię przyjąć na siebie cudze wzloty, upadki, wydatki, cierpienie, szczęścia. Jak gąbka chłonę historie, wpuszczam je w krwiobieg, one się we mnie wtapiają. Tym kobietom daję swoje ciało, wrażliwość, głos, wolny czas. Czyli coś, co nie trwa wiecznie. To nie jest tak, że ja, żerując na ich życiorysach, objadę Polskę wzdłuż i wszerz, zarabiając na tym pieniądze. W kwestii monodramów mam poczucie uczciwej współpracy: one dają coś mnie, a ja daję coś im. Wzajemność i wparcie.

Czyli jesteś urodzona do sceny?

Moja pierwsza scena była na wsi, w Porębie Średniej. Wychowywała mnie mama pracująca jako lekarka, więc non stop z pacjentem. A ja uwielbiałam spędzać czas w sklepie wielobranżowym: siedziałam na wysokim parapecie znajdującym się za kratką i recytowałam wiersze oraz śpiewałam piosenki. Ludzie przymykali na mnie oko, bo byłam „córką doktórki". Ale wtedy poczułam, jakie to przyjemne być w centrum uwagi. W liceum byłam pewna, że chcę zostać aktorką. Choć to był czas, w którym na niczym nie mogłam się skupić. Kiedy miałam przeczytać jakiś dramat, nie byłam w stanie zapamiętać, która postać jest która i to doprowadzało mnie do szału. Musiałam cofać się do pierwszej strony, gdzie znajduje się opis bohaterów.

Też tak miałam.

W ogóle sprawiało mi trudność kojarzenie faktów. Siedzenie godzinami w ławce podczas wykładów było dla mnie torturą. Maturę ledwo co zdałam. Dopiero w szkole teatralnej, do której dostałam się za trzecim razem, poczułam się na swoim miejscu. Tyle że zostałam wyrzucona po pierwszym roku, bo nie spełniałam warunków fizycznych, coś się komuś nie podobało w proporcjach mojej głowy do szyi. Paradoksalnie to doświadczenie jeszcze bardziej mnie utwierdziło w tym, że ja chcę to robić.

Jak gąbka chłonę historie, wpuszczam je w krwiobieg, one się we mnie wtapiają.
Tym kobietom daję swoje ciało, wrażliwość, głos, wolny czas.

Zdumiewające.

Szkołę aktorską skończyłam w Petersburgu. Przyjechałam tam dokładnie w tym momencie, kiedy Putin przejmował władzę. Odkręcił kurek z pieniędzmi i liftingował cały Petersburg, bo to „jego miasto". Ciekawe jest, jak ludzka pamięć się układa. Po ataku Rosji na Ukrainę pojawiły się w mojej głowie wspomnienia rozmów i zdarzeń, do których wcześniej nie wracałam. Jakby umysł szukał spójnej narracji. To zło, a to dobro. Zdania, które słyszałam wówczas, zupełnie inaczej zabrzmiałyby dzisiaj. Jeden kolega powiedział, że Czeczenię, w której trwała wojna, trzeba ogrodzić drutem kolczastym, wykluczyć ze świata, gdyż mieszkają tam terroryści. Chciałam te słowa kontrować, ale nie było dyskusji.

A teraz?

Teraz obserwuję, kto z tamtejszych znajomych na Facebooku ustawia „Słoneczniki" Van Gogha jako zdjęcie profilowe i wyraża w ten sposób solidarność z Ukrainą. Widzę, kto i gdzie stamtąd ucieka – jeden znajomy wylądował w Berlinie, więc płyną zewsząd gratulacje. A koleżanka Rosjanka, która wyjechała do Paryża, napisała do mnie: „Po co pojechałaś do Rosji, po co uczyłaś się tego strasznego języka?". Ale najmocniejsze zdanie padło z ust kolegi: „Ukraińcy to nasi przodkowie, a z przodkami nie można walczyć". Jeśli chodzi o samych profesorów, to Lew Dodin, świetny reżyser, napisał do Putina list, w którym błaga o zaprzestanie wojny w Ukrainie. Pozostali milczą. Lecz nie chcę ich oceniać z wygodnej kanapy w środku Europy.

GRAŻYNA MAKARA

A sama szkoła w Petersburgu?

Wspaniała, bo w Rosji artyści są hołubieni, ludzie mają potrzebę kontaktu ze sztuką, tak przynajmniej było dwadzieścia lat temu. Kwiaty, uznania, oklaski – to oddzielny spektakl po spektaklu. Ale już warunki w samej szkole marne, bo zimno, mury niedogrzane. To był tygiel kulturowy – studenci pochodzili z różnych części Rosji. Niektórzy z Petersburga do domu jechali pociągiem tydzień.

Ważnym nauczycielem był dla mnie Lew Gitelman, światły człowiek, wielki humanista. Zawsze elegancki: z laseczką i w kapeluszu. Oraz Walery Galendiejew, który nauczył mnie „mówić przestrzennie" – niosąc w każdym wypowiedzianym zdaniu konkretne obrazy i emocje.

Myślałaś w ogóle o powrocie tutaj? ↦

↦ W warszawskiej szkole powiedziano mi, że mogę grać tylko służące, w Rosji – że królowe. Sądziłam, że tam zostanę, ale wyjechałam do Londynu – wyszłam za mąż, założyłam rodzinę. Po dwóch latach wróciłam do Polski i właściwie zaczynałam od nowa. Długo szukałam swojego miejsca, sporo było perturbacji, niepewności, życia na walizkach.

Akademia Teatralna, z której zostałaś wyrzucona, nosi imię Aleksandra Zelwerowicza. Tak się składa, że właśnie odebrałaś od miesięcznika „Teatr" nagrodę im. Aleksandra Zelwerowicza dla najlepszej aktorki w minionym sezonie.

To już jest inna szkoła niż ta, z której mnie wyrzucono. Teraz tam jest nowa kadra, inaczej pracująca ze studentami. Nie ma we mnie myśli: a widzicie, do czego doszłam? Raczej: czy ja na tę nagrodę zasłużyłam? Teatr traktuję jako służbę, jako codzienny trud. Na moje kameralne monodramy przychodzą widzowie mimo tego, że nie mam nazwiska gwiazdy – nie jestem celebrytką.

A Twoja niezależność?

Umacnia się. Przez minione 15 lat znajdowałam się na męskim polu walki. Nie było w moim życiu życiu miejsca na niemoc. Nawet na wzruszenie. Cały czas próby, spektakle, próby, spektakle – by udowodnić, by się przebić, by nie stracić szansy. By się znaleźć. W tym miejscu, w którym jestem, zrezygnowałam z życia towarzyskiego, większości przyjemności i w ogóle cieszenia się urodą życia. Opowiadając ze sceny o silnych kobietach, sama muszę być silną kobietą. Lecz tli się we mnie tęsknota za delikatnością i łagodnością, by móc wreszcie z tej perspektywy opowiadać świat.

To w ogóle da się zrobić?

Na pewno trudno byłoby rozstać się z siłą, bo – wydaje mi się – bez niej mogę rozlecieć się na kawałki. A po drugie: jest poważne ryzyko, że nikogo nie zainteresuje taka opowieść. Delikatność może być kojarzona z paniami w lokach, z wachlarzem ręku i wieczną migreną. Ale zmierzam w głąb, w stronę delikatności, choć bardzo powoli. Na pewno obejdzie się bez wachlarza.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Zupełnie nowa bajka

MONIKA OCHĘDOWSKA

Jeszcze przed premierą „Akademię pana Kleksa" zobaczyło ponad 437 tys. widzów, to rekord. Żaden film przed premierą nie zgromadził też tak wielu negatywnych recenzji. Niesłusznie!

Z początku nie chodziło nawet o magię, a zwyczajne plamki, które zbierał „pewien golarz, imieniem Filip". Świeża dostawa piegów trafiała w każdy czwartek do Ambrożego Kleksa – nauczyciel najpierw przymierzał osobliwe zdobycze przed lustrem, a następnie chował do tabakierki na specjalne okazje. Wiadomo, piegi „znakomicie działają na rozum i chronią od kataru".

Jeśli jedna opinia jest w stanie zmienić czyjeś życie, to moje – mniej więcej trzydzieści lat temu – zmieniła ta zawarta w książeczce Jana Brzechwy, wedle której nie mogło być „nic piękniejszego niż duże czerwone lub żółte piegi". Dlatego też, kiedy „któryś z uczniów wyróżnił się podczas lekcji, pan Kleks uroczyście wyjmował z tabakierki świeżą, nie używaną jeszcze piegę i przytwierdzał ją do nosa".

Było nas dwoje. Michał poza tym, że piegowaty jak ja, był też – co tu kryć – pierwszej klasy rudzielcem. Na przekór plemieniu bladych twarzy trzymaliśmy się razem aż do momentu, w którym obecność Kleksa na lekcjach polskiego ostatecznie powstrzymała koleżanki i kolegów przed nieustannym przezywaniem nas parą opalających się przez sitko gamoni. Powiem więcej – po raz pierwszy nam zazdroszczono. Nie mieliśmy w końcu jednej fryzjerskiej piegi na nosie, mieliśmy piegów setki – i to na własność. Mimo imion rozpoczynających się na literkę „M" czuliśmy się pełnoprawnymi uczniami Akademii.

Dopiero gdy emocje związane z kolorowymi plamkami opadły, zainteresowało mnie oko Kleksa wysyłane w podróże balonem. Pamiętacie? Ambroży

NEXT FILM / MATERIAŁY PRASOWE

Akademia Pana Kleksa, 2023 r.

Kleks miał swoją małą satelitę, a także – jak powiedzielibyśmy dzisiaj – oprogramowanie i aplikację do przeglądania przestrzeni kosmicznej. Choć nie to było jego największym osiągnięciem – ostatecznie był przecież twórcą sztucznej inteligencji, która objawiła się pewnego dnia w postaci Alojzego.

Ale pamiętam też smutek i rozczarowanie, kiedy okazało się, że opiekun Akademii robi się coraz mniejszy. Tak malutki, że sypia na dnie szklanki, by w końcu zamienić się w najbanalniejszy guzik. Finał baśni, w którym ujawnia się sam autor, wyjaśniając, że wszystko, co przeczytałam, zmyślił, wydał mi się tak okrutny, jak okrutne bywa niespodziewane wytrącenie ze stanu niewinności i niewiedzy – wygnanie z krainy dzieciństwa nieuchronnie związane z wkroczeniem w życie zła.

Czy ta zebra jest prawdziwa? Czy to tak naprawdę bywa?

Brzechwa lubił ponoć pracować przy otwartych drzwiach, twierdząc, że posiada zdolność płynnego przemieszczania się między codzienną krzątaniną a światem baśni. To wyjaśniałoby zadziwiającą dostępność Akademii, mieszczącej się najzwyczajniej w świecie na końcu ulicy Czekoladowej, do której z dnia na dzień można posłać niesfornego dwunastoletniego niejadka, jakim jest Adaś Niezgódka.

Poza otwartymi przestrzeniami do pracy Brzechwa musiał cenić także otwarte dzieła – w końcu ojciec Niezgódki, którego poznajemy w trzeciej części przygód Kleksa, przechowuje w swojej bibliotece wyłącznie okładki i grzbiety książek. Ich treść bezczelnie wybebesza (brzytwą!) i przepisuje sam, wedle humoru i upodobania, wciąż na nowo. Gdyby się nad tym dłużej zastanowić: czy nie tak właśnie wygląda każda nasza lektura albo adaptacja tekstu? Nawet ściągając z półki regularnie ten sam tom, za każdym razem czytamy nieco inną historię, ponieważ nieustannie nabywamy w życiu rozlicznych doświadczeń. W ten sposób każdy z czytelników i każda z czytelniczek wypełnia sobą przestrzeń pomiędzy okładkami a grzbietem powieści, nieco przetrzebiając oryginalny zamysł twórców. Cóż, nie tylko bibliotekę i postać starszego pana Niezgódki, ale całe baśniowe uniwersum Brzechwy można poddawać analizie wciąż na nowo.

Zresztą odkąd w 1946 r. ukazała się „Akademia pana Kleksa", naprawdę wiele napisano o jej innowacyjności, autotematyzmie i jawnej fikcyjności (Brzechwa na każdym kroku podkreśla, że opowiadana przez niego historia to tylko bajka) czy arcydzielnym absurdzie świata przedstawionego, ale też możliwych odczytaniach historii Kleksa przez pryzmat wojny i Zagłady. Można interpretować utwór Brzechwy jako opowieść o stworzeniu świata i człowieka, bo struktura „Akademii..." ma charakter nie tylko kosmologiczny, ale też apokaliptyczny (razem z muchami do świata bajek na zawsze wkracza zło). Książka o Adasiu i jego kolegach jest wreszcie opowieścią o ścierających się żywiołach technologii i pisma, ale też przeciwstawia prozę życia bezinteresownej, czasem niepoprawnej zabawie, która pozwala dzieciom na żywienie się wyłącznie ciastkami z różnokolorowym kremem.

Jakąkolwiek interpretację przyjmiemy i cokolwiek między bajki Brzechwy włożymy, możemy się chyba zgodzić co do tego, że pan Kleks symbolizuje pewną siłę, która – pojawiając się w świecie za sprawą arbitralnej decyzji swego twórcy – staje się motorem wielu różnych opowieści. Opowieści te z kolei pozwalają przebywającym w Akademii dzieciom uwierzyć w moc własnej wyobraźni na tyle, by w dorosłym życiu wciąż potrafiły swobodnie korzystać z jej zasobów (Adaś Niezgódka zostaje „doktorem filologii zwierzęcej" oraz autorem „słownika porównawczego żabich gwar w jeziorach i stawach"). Taką właśnie myślą i zasadami – całkiem mądrze i zgodnie z przesłaniem Brzechwy – kierują się twórcy najnowszej ekranizacji przygód z uniwersum Kleksa.

Trafiająca właśnie do kin „Akademia..." nie jest bowiem kolejną adaptacją historii Adasia. To zupełnie nowa, pierwsza z cyklu fabuł przedstawiających losy dwunastoletniej, mieszkającej w polskiej dzielnicy Nowego Jorku Ady, której rodzice uczyli się niegdyś w klasie Ambrożego. Wychowywana przez mamę dziewczynka od spontaniczności i fantazji woli uporządkowane życie toczące się wedle ściśle określonego planu. Aż pewnego dnia – jak to bywa w bajkach – nieco wbrew sobie zostaje powołana przez szpaka Mateusza do kolejnego, tym razem koedukacyjnego rocznika uczniów Kleksa.

Bohaterka filmu będzie się musiała zmierzyć nie tylko ze swoim zwątpieniem w siłę wyobraźni czy złością na nieobecnego w jej życiu ojca, ale też wkraczającymi do świata baśni mocami zła reprezentowanymi przez ród Wilkusów.

Powiem ci w słowach kilku, co myślę o tym wilku

Reżyser Maciej Kawulski i scenarzysta Krzysztof Gureczny dali się dotąd poznać głównie za sprawą baśni dla dorosłych. Nakręcone przez nich filmy „Jak zostałem gangsterem. Historia prawdziwa" (2019) oraz „Jak pokochałam gangstera" (2022) to utrzymane w formie romansów łotrzykowskich opowieści o polskiej mafii – także tej z czasów Wołomina i Pruszkowa. W dość frywolnych opowieściach najważniejszą wartością okazują się nie kasa czy władza, a przyjaźń. Bohaterowie Gurecznego i Kawulskiego skazują się na samotność, uprawiając gangsterkę w starym, coraz bardziej niemodnym stylu. Ale Gureczny – kojarzony głównie z netfliksowymi postaciami Nikosia czy Pershinga – jest także autorem scenariusza do adaptacji familijnej „Kacperiady" Grzegorza Kasdepkego, czyli... opowiadań dla małych łobuzów.

Skądinąd główna bohaterka stworzona przez „gangsterski" duet na potrzeby nowej „Akademii..." także ma w sobie ↦

↦ charakterystyczny dla postaci Gureczego awanturniczy głód adrenaliny.

– Ada Niezgódka przypomina zarówno Meridę Waleczną, jak i Vaianę – przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem" scenarzysta, jako ważne punkty odniesienia dla swojej historii wymieniając nie legendarną dla pokolenia dzisiejszych czterdziesto- czy pięćdziesięciolatków ekranizację Krzysztofa Gradowskiego z 1983 r., ale „Goonies" Richarda Donnera czy produkcje realizowane przez studia Disneya i Pixara. „Akademia..." ma być obrazem rywalizującym o dziecięcą uwagę z obecnym właśnie na ekranach kin „Wonką" Paula Kinga z Timothéem Chalametem w roli Willy'ego, a nie „echem dziecięcych lat" ich rodziców.

I słusznie, bo choć scenariusz powstawał w pandemii, na chwilę przed nadejściem pierwszej fali niezwykłej popularności literatury dla młodszych nastolatków, premiera filmu trafia w szczególny moment, gdy rodzima kultura młodzieżowa ma się całkiem dobrze. Nie tylko półki księgarń uginają się pod ciężarem tysięcy pisanych z myślą o dzieciach książek. Powstaje też coraz więcej filmów i seriali, które kierowane są do nastoletniego widza.

Niezwykle ważną częścią młodzieżowej estetyki są także historie o szkołach magii. Moda na opowieści stawiające w centrum wydarzeń przypominającą Hogwart akademię, która wróciła w czasach zdalnej edukacji, pomagała uciec z przestrzeni Zooma w przytulne mury ekskluzywnej, czasem sentymentalnej, innym razem bardziej „gotyckiej" szkoły. Rosnąca w tym czasie moda na styl „dark akademia" stworzyła nie tylko specyficzny podgatunek literacki, ale wpłynęła także na styl ubierania czy trend we wnętrzarstwie, na który skądinąd produkcja Kawulskiego odpowiada równie dobrze jak popularne seriale typu „The Umbrella Academy" (2019) czy „Gambit królowej" (2020). Założę się, że scenografia Darii Dwornik i zdjęcia Bartka Cierlicy są już wnikliwie studiowane przez akademicką subkulturę.

Poniedziałek już od wtorku poszukuje kota w worku

Podczas świąt Bożego Narodzenia film zobaczyło ponad 437 tys. widzów. To – jak mówią nam twórcy „Akademii..." – rekord pokazów przedpremierowych: takiej widowni nie zgromadził dotąd żaden polski ani zagraniczny film. Żaden film nie zgromadził również w ostatnim czasie tak wielu negatywnych recenzji jeszcze przed oficjalną premierą. Pochodzą one głównie od widzów dorosłych, dla których lektura książek Brzechwy oraz jej pierwsze adaptacje – razem z genialną ścieżką dźwiękową Andrzeja Korzyńskiego – były ważnym doświadczeniem przypadającego na lata 80. dzieciństwa. Ciężko znosimy powrót do świata baśni, którym – jak nam się wydaje – nielegalnie zarządza dziś dwójka gangsterów z ekipy „Nikosia". Jeszcze ciężej znosimy spotkanie z samym Ambrożym Kleksem, który na ekranie wydaje nam się słaby, śmieszny, niepotrzebny.

NEXT FILM / MATERIAŁY PRASOWE

Tomasz Kot jako Pan Kleks, 2023 r.

Opowieść Jana Brzechwy zawsze prezentowała nam **rzeczywistość bez pana Kleksa.** Ale pragnęła świata, w którym można – a nawet należy – go sobie wyobrazić.

– Grany przez Tomasza Kota pan Kleks jest postacią, co do której nie mamy pewności, czy to, co robi, to efekt szaleństwa, czy przebłysk nieprawdopodobnego geniuszu. Chcieliśmy z Agnieszką Kruk pokazać Kleksa tak, by widz nie do końca potrafił odkodować, czy jego bierność jest objawem słabości albo załamania, czy może Kleks po prostu odpuszcza sobie działanie, by zrobić miejsce dla Ady? – opowiada Gureczny. Scenarzysta przyznaje też, że każda z męskich postaci filmu (Kleks, Mateusz, przywódca Wilkusów Vincent, Albert czy ojciec Ady) nosi w sobie jakąś tajemnicę, która będzie wymagała wyjaśnień w kolejnych odsłonach historii.

A pamiętacie, jakie sekrety miał Ambroży Kleks w oryginalnej historii Brzechwy i w jakich okolicznościach doszło do ich odkrycia? Jaka była reakcja nauczyciela na pojawienie się w murach Akademii golarza Filipa, symbolu zła? I czy nie było tak, że Kleks był stwórcą pewnego świata, z którego potem postanowił się po prostu wycofać? Tłumacz i filozof Adam Lipszyc w napisanym prawie ćwierć wieku temu tekście o twórczości Brzechwy zauważył, że jedna z bardziej zagadkowych postaci książki, czyli Alojzy, był w istocie upiorną formą „samoświadomości" bajki. Był „zrobiony", „skonstruowany", tak jak „zrobiona", czyli „wymyślona" jest każda literacka postać i każda historia, o czym przestrzega zresztą czytelników pojawiający się w tekście „Akademii..." symbol baśni, Hans Christian Andersen.

„Pojawienie się takiego lustra wewnątrz równie nieprawdziwej opowieści rozsadza ją od środka" – wyjaśniał Lipszyc. – „Bajka nie może toczyć się dalej, gdy wie, że jest tylko napisana", zatem „Pan Kleks przestaje być Bogiem i musi pojawić się Autor". Sztuczność Alojzego demaskuje sztuczność bajki, a wcześniej jeszcze sztuczność samej Akademii. Nasza wiara w moce pana Kleksa zależy zatem wyłącznie od tego, jakim zechcemy go zapamiętać. Prawdziwa „Akademia..." Brzechwy jest natomiast światem bez pana Kleksa. Za to światem, w którym można – a nawet należy – go sobie wyobrazić.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Śródtytuły są cytatami z wierszy Jana Brzechwy.

Czekajcie, słuchajcie

DOROTA KOZIŃSKA

Czasem spędza miesiące na przygotowaniu krótkiego utworu. Musi odczytać i zrozumieć tekst, celnie zinterpretować notację muzyczną. A kiedy już wszystko będzie gotowe, sprawdzić, czy to się w ogóle da zagrać albo zaśpiewać.

AGNIESZKA LAELIA MILLERI / MATERIAŁY PRASOWE

Agnieszka Budzińska-Bennett, 2022 r.

W gronie artystów, których można dziś z czystym sumieniem określić mianem ambasadorów kultury polskiej na świecie, znalazło się kilka osób, których kariery śledziłam od samego początku. Agnieszka Budzińska-Bennett zajmuje wśród nich pozycję wyjątkową. Przede wszystkim dlatego, że poszła triumfalnie tą samą ścieżką, którą zaczęłam nieśmiało wydeptywać na początku lat 90.

Początki żeńskiego ansamblu muzyki średniowiecznej, który przez blisko dekadę współprowadziłam z Aldoną Czechak, były równie zwariowane jak cała tamta epoka. Wspominałam kiedyś, że pięknie było, lecz trudno. Doświadczenia zdobywane na kursach mistrzowskich na Zachodzie – za pieniądze uciułane, pożyczone, wyżebrane po instytucjach i fundacjach – częściej bywały przedmiotem drwin niż autentycznego zainteresowania polskich środowisk muzycznych. Sama dziś nie dowierzam, że mimo to udało się osiągnąć kilka istotnych sukcesów: przede wszystkim porzucić rozpowszechniony wówczas w Polsce „naśladowczy" model wykonawstwa historycznego na rzecz modelu zaangażowanego, wymagającego badań źródłowych, pracy na rękopisach, studiów porównawczych nad tradycjami wokalnymi, rozwijania umiejętności świadomej improwizacji.

Tak się jednak złożyło, że mniej więcej w tym samym czasie zajęłam się krytyką. Konflikt interesów narastał. Stopniowo odchodziłam od działalności artystycznej. A może po prostu zabrakło mi determinacji, pracowitości, charyzmy i talentu – wszystkich tych cech, które Agnieszkę wyniosły na sam szczyt i uczyniły z niej jedną z czołowych specjalistek w tej wąskiej i trudnej dziedzinie. Na miarę europejską, o ile nie światową.

Pątniczka

Pamiętam, kiedy skontaktowała się ze mną po raz pierwszy, jeszcze jako studentka muzykologii na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Sama miała już za sobą kilka prestiżowych kursów, między innymi u brytyjskich sopranistek Evelyn Tubb i Emmy Kirkby, związanych długoletnią współpracą z ansamblem The Consort of Musicke. Uczestniczyłam wówczas w programie badań nad twórczością Hildegardy von Bingen, zainicjowanym przez Barbarę Thornton i wspieranym przez Benjamina Bagby'ego z legendarnego zespołu Sequentia. Blisko dwa lata kursowałam między Polską, Belgią i Niemcami, zbierając wiedzę i doświadczenia, które co kilka miesięcy konfrontowaliśmy podczas intensywnych sesji w domu Barbary i Benjamina w Kolonii.

Agnieszka – od dzieciństwa rozkochana w epoce średniowiecza, od czasów licealnych zasłuchana w nagrania pionierów wykonawstwa historycznego, na studiach konfrontująca swoje życiowe pasje z warsztatem muzykologicznym – wypytywała o wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Jej zapał, determinacja i tyleż niezłomne, ile słuszne poczucie własnej wartości zrobiły na mnie piorunujące wrażenie. Ta bystra, pełna energii dziewczyna o egzotycznej urodzie była jak żywe srebro. Pomyślałam sobie, że jeśli uda jej się wziąć udział w kursach prowadzonych przez współzałożycieli Sequentii, wyniesie z nich po stokroć większe korzyści niż ja. Udało się dwukrotnie. A intuicja mnie nie zawiodła.

Po latach zaczęłyśmy mówić do siebie „siostro". Początki naszej wędrówki w dziedzinę muzyki dawnej okazały się bowiem zaskakująco zbieżne. Agnieszkę od początku fascynowała współpraca, działania zespołowe. Choć przeszła sumiennie wszystkie szczeble edukacji muzycznej w rodzinnym Szczecinie i na zakończenie nauki w liceum uzyskała dyplom z fortepianu, nie zaprzyjaźniła się z nim nigdy. Przy klawiaturze czuła się samotna: fascynował ją świat średniowiecznych smoków i bohaterów, dwornej miłości, kunsztownej poezji, nad którą od dziecka ślęczała z dykcjonarzami, chłonąc magię obco brzmiących słów i melodii zapomnianej mowy. Czytała skandynawskie sagi i „Pieśń o Nibelungach", a potem konfrontowała swoje lektury z „Tetralogią" Wagnera. „Beowulfa" pochłonęła jak najlepszy kryminał. Do dziś ma słabość do literatury *fantasy* i dziwnych ↦

↦ seriali, między innymi do „Ragnaroka", norweskiej opowieści z niejednym morałem, której twórcy dokonali brawurowej reinterpretacji nordyckich mitów, by przyciągnąć przed ekrany współczesnych, niepewnych własnej tożsamości nastolatków. Wrażeniami z kolejnych odcinków dzieliłyśmy się niedawno na Messengerze, pokładając się ze śmiechu i pilnując, żeby nikt nie zaglądał nam przez ramię.

Ja latami dłubałam przy swoich krytykach, esejach i felietonach, Agnieszka poświęciła się bez reszty archeologii muzycznej i coraz bardziej udanym próbom ożywienia tego świata w praktyce wykonawczej. Po ostatnim semestrze poznańskiej muzykologii, w 1997 roku, rozpoczęła studia w Szwajcarii, w Schola Cantorum Basiliensis, jednym z najważniejszych ośrodków mediewistyki muzycznej, a zarazem mateczników wykonawstwa historycznego. W SCB kształcili się między innymi Gustav Leonhardt i Jordi Savall; w murach tej uczelni narodziła się także Sequentia, owoc wspólnego koncertu dyplomowego Thornton i Bagby'ego; tam uczył śpiewu charyzmatyczny kontratenor Richard Levitt, członek legendarnego Studio der frühen Musik, ulubiony nauczyciel Agnieszki, Andreasa Scholla i... Stinga, który korzystał z jego wskazówek, przygotowując płytę z pieśniami Dowlanda. Tam właśnie, w klasie Heidrun Rosenzweig, Agnieszka opanowała podstawy gry na harfie średniowiecznej. Tam założyła w 1997 żeński zespół Peregrina – czyli Wędrowniczka – którego nazwa nawiązuje nie tylko do „pielgrzymowania" muzycznych idei po średniowiecznej Europie, ale też do biografii tworzących go śpiewaczek, które w poszukiwaniu muzycznego Świętego Graala przywędrowały do Szwajcarii także ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Finlandii.

Po drodze, niejako mimochodem, Agnieszka nauczyła się sześciu języków, w tym niezbędnej w jej pracy łaciny. Ukończyła skandynawistykę, odbyła też podyplomowe studia muzykologiczne na Uniwersytecie w Bazylei. Pracując jako asystentka w Archiwum Mikrofilmów tamtejszego Instytutu Muzykologii, poznała swojego przyszłego męża Lucasa Bennetta, a tym samym pożeniła szczęśliwie światy muzyki średniowiecznej i współczesnej (Lucas, teoretyk i muzykolog, specjalizuje się w twórczości XX i XXI wieku; jego ojciec, kompozytor Gerald Bennett, długoletni współpracownik Pierre'a Bouleza, któremu pomagał zakładać słynny paryski IRCAM, jest jednym z najwybitniejszych na świecie autorytetów w dziedzinie muzyki komputerowej i elektroakustycznej). Swoją imponującą edukację Agnieszka przypieczętowała ukończonymi *summa cum laude* studiami w dziedzinie prowadzenia zespołów wokalnych w Schola Cantorum Basiliensis oraz obronionym w Poznaniu doktoratem o *subtilitas*, czyli tym, co słychać, a czego nie słychać w motetach okresu *ars antiqua*. A było to w roku 2010.

Grabię, stawiam i podlewam

Zespół Peregrina miał już wtedy w dorobku dwie płyty: *Mel et lac* z XII-wiecznymi pieśniami maryjnymi oraz *Filia praeclara* ze śpiewami starosądeckich klarysek, za którą nominowałam Agnieszkę po raz pierwszy do Paszportów Polityki. Nominacja przemknęła niezauważona. Rok później pozyskałam już niewielkie lobby, dzięki czemu Agnieszka trafiła do finałowej trójki „za pasję badaczki, która przygotowuje programy koncertów i nagrań w toku żmudnej pracy muzykologicznej, filologicznej i historycznej. Za znakomitą płytę *Crux* z paryską muzyką wielkanocną z przełomu XIII i XIV wieku". Paszport znów ją ominął.

W roku 2012, z uporem godnym Katona Starszego, nawoływałam jurorów do otwarcia uszu na kolejne dokonania artystki, zgłaszając jej kandydaturę „za kolejną doskonałą płytę *Veiled Desires*, antologię, która opowiada o życiu, duchowości i seksualności średniowiecznych zakonnic muzyką tamtej epoki. Za umiejętność wpisywania działalności artystycznej w szerszy dyskurs społeczny i historyczny. Za rzetelność badań źródłowych, które są niezbywalnym elementem pracy muzyków wykonujących muzykę dawną". Znów finał, znów odmowa wydania paszportu. Agnieszka wyściskała mnie w kuluarach i poprosiła grzecznie, acz stanowczo, żeby już więcej jej nie nominować.

Prośbę spełniłam. Nie przepuściłam jednak żadnej okazji do kazań o Świętej Agnieszce z Bazylei i jej solidnym rzemiośle, które nie potrzebuje żadnych paszportów. Doceniłam, że w 2016 roku powierzono jej pieczę artystyczną nad olbrzymim projektem nagrania wszystkich „Melodii na Psałterz polski" Mikołaja Gomółki z Chórem Polskiego Radia, ale wciąż brakowało mi w Polsce oddźwięku na to, co sercom nas obu najbliższe: na muzykę średniowiecza. Wolną od przepychu, łatwą tylko z pozoru, w rzeczywistości wymagającą od wykonawców maksymalnej precyzji i skupienia – pod pewnymi względami podobną japońskim ogrodom zen, w których mieści się cały wszechświat, gdzie żwir grabi się godzinami w fale, a na maleńkiej przestrzeni ustawia się kilka kamieni w taki sposób, żeby nie dało się wszystkich objąć wzrokiem.

Nie każdy lubi monochromatyczne pejzaże z piasku, mchu i skalnych odłamków. Nie każdy też czuje się w nich bezpiecznie. Agnieszka postanowiła więc tym spokojniej grabić, ustawiać i podlewać swoją ukochaną muzykę, żeby dać słuchaczowi przestrzeń i pomóc mu wydobyć z niej jak najwięcej znaczeń. Sama kiedyś wspominała hipnotyzujący występ Benjamina Bagby'ego, który improwizował obszerny fragment staroangielskiego poematu epickiego „Beowulf", akompaniując sobie na sześciostrunnej lirze. Jego monolog ciągnął się przeszło godzinę, z tekstu dało się wyodrębnić tylko pojedyncze zrozumiałe słowa,

POŻEGNANIE

Zbyszkowi Nosowskiemu i jego rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Teściowej

składają

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

a i tak, zdaniem Agnieszki, każdy się domyślał, w którym momencie potwór „ruszył trzecim pazurem lewej tylnej łapy”.

I z czasem podobnie zaczęło się dziać na jej koncertach. Jakby każdy rozpoczynał się, niczym w „Beowulfie”, słynnym zawołaniem „Hwaet!”, które tłumaczy się zwykle jako „słuchajcie!”. Tymczasem znaczy ono dosłownie „czekajcie” i odbiorcy posłusznie czekają. Aż wyłoni się sens, aż przed oczyma zarysuje się obraz, aż setki dźwięków, niepozornych jak kwiaty perzu, ułożą się w symboliczny wzór. Bardziej dociekliwi zaczną później szukać kontekstów. Mniej dociekliwi – albo po prostu zmęczeni chaosem współczesnego świata – zadowolą się czystym pięknem kompozycji.

Agnieszka w pełni zdaje sobie sprawę, że nie można narzucić odbiorcom jedynie słusznego modelu słuchania. Muzyk-mediewista trawi czasem miesiące na przygotowanie krótkiego utworu: musi go rozszyfrować na kilku poziomach: odczytać i zrozumieć tekst, celnie zinterpretować notację, osadzić kompozycję w kontekście społecznym, historycznym bądź liturgicznym, w razie potrzeby skojarzyć ją z odpowiednim instrumentarium. Jeśli pojawią się wątpliwości, rozstrzygnąć je w archiwum albo poprosić o pomoc kolegów po fachu. Kiedy już wszystko będzie gotowe, sprawdzić, czy to się w ogóle da zagrać albo zaśpiewać. Jeśli nie, wrócić do punktu wyjścia i zacząć wszystko od nowa. Człowiek się namęczy, a słuchacz i tak może puścić niepozorny drobiazg mimo uszu. Trzeba więc umiejętnie ułożyć program, w przypadku muzyki średniowiecznej znacznie bardziej podatny na kaprysy akustyki, architekturę wnętrza i ogólny charakter przestrzeni.

Z bliska

Dlatego wybierając się na szwajcarskie koncerty w ramach projektu „Kras 52”, realizowanego przez Agnieszkę we współpracy z Instytutem Adama Mickiewicza, poprosiłam organizatorów o możliwość wysłuchania tego samego programu dzień po dniu: w późnogotyckim kalwińskim kościele w Bielu w kantonie Berno i nazajutrz w XV-wiecznym Haus zum Hohen Dolder w Bazylei, dawnej siedzibie średniowiecznego stowarzyszenia z wioski klasztornej St. Alban, do którego obowiązków należał między innymi nadzór nad miejscowymi winnicami, rozstrzyganie sporów granicznych i ochrona przeciwpożarowa dóbr klasztoru.

Wciąż brakowało nam w Polsce oddźwięku na to, co sercom najbliższe: na muzykę średniowiecza. Wolną od przepychu, łatwą tylko z pozoru, w rzeczywistości wymagającą od wykonawców maksymalnej precyzji i skupienia.

Rękopis określany tajemniczą sygnaturą Kras 52 znajdował się kiedyś w zbiorach warszawskiej Biblioteki Ordynacji Krasińskich przy ulicy Okólnik. Trafił tam w 1857 roku, na mocy legatu Konstantego Świdzińskiego, bibliofila, kolekcjonera dzieł sztuki i mecenasa, który przed śmiercią zgromadził zbiór większy, niż liczyła ówczesna biblioteka Ossolińskich. Przeszło połowa kolekcji – wraz z gmachem – poszła z dymem w październiku 1944 roku w pożarze wznieconym przez okupantów po klęsce powstania warszawskiego. Manuskrypt odnalazł się cudem trzy lata po wojnie, w Bawarskiej Bibliotece Państwowej w Monachium, gdzie po oprawie z jasnej skóry i ozdobnym napisie „Rękopism z wieku XV” rozpoznał go Karol Estreicher. Oprócz kazań Jakuba de Voragine, zbioru *Gesta Romanorum* oraz traktatu o wypędzaniu demonów zawiera ponad czterdzieści utworów zapisanych czarną notacją menzuralną, z muzyką twórców schyłkowej fazy *ars nova* i wczesnej polifonii franko-flamandzkiej, a także siedem z dziewięciu zachowanych kompozycji Mikołaja z Radomia oraz inne muzyczne zabytki związane z Krakowem i dworem Władysława Jagiełły.

Pierwsza część projektu, zatytułowana *Regina Gloriosa*, obejmuje repertuar maryjny – fascynujące świadectwo przenikania się wpływów włoskich, awinońskich i miejscowych, a także najwcześniejszych w Polsce, nieśmiałych jeszcze eksperymentów z polifonią zachodnią. Agnieszka, tym razem z zespołem Dragma – złożonym z jej stałych współpracowników – przedstawiła jeden z najsubtelniejszych i najbardziej wyrafinowanych programów ostatnich lat. Podzielony na cztery części (msza maryjna, muzyka na Boże Narodzenie i Objawienie, muzyka na Ofiarowanie Pańskie oraz modlitwy maryjne przedzielone *Magnificat*), wykonany w pięcioosobowym zaledwie składzie, nie tylko ukazał leciutką, półprzezroczystą jak pergamin fakturę tych utworów, lecz także, za sprawą przemyślanego układu i kilku mądrze dobranych uzupełnień z innych źródeł, skutecznie podtrzymał uwagę wszystkich odbiorców. Bez efekciarstwa, za to wypróbowaną metodą delikatnych kontrastów – zmysłowego sopranu Agnieszki z anielskim, skupionym głosem Tessy Ross, intrygujących dialogów harfy z lutnią Marca Lewona, rozmów prowadzonych tak wyrazistym szeptem instrumentów, że ilekroć do gry włączały się fidele Jane Achtman i Elizabeth Rumsey oraz giterna Lewona, średniowieczny ansambl dawał wrażenie całkowitej pełni.

Ta sama muzyka – ulatująca jak słup światła pod sklepienie kalwińskiej świątyni – w maleńkiej, wyłożonej skrzypiącymi deskami sali Haus zum Hohen Dolder, przemawiała do słuchaczy wprost, czasem z odległości niespełna metra. I znów, po raz kolejny, mogłam się przekonać o jakości tych wykonań, podobnie jak o mistrzostwie śpiewu operowego przekonuję się w skromnych teatrach na pięćset miejsc. W takich warunkach muzyk staje przed widownią obnażony jak w chwili narodzin. *Ecce homo. Ecce mulier*. Każdy niedostatek warsztatu wybrzmiałby w tej izbie głosem trąby jerychońskiej.

Kiedy już było po wszystkim, kiedy – jak za dawnych dobrych lat – wysprzątaliśmy wspólnie salę i pozmywaliśmy naczynia, rodzina Agnieszki zaprosiła mnie na kolację do restauracji, której nazwy nie zdradzę. Sami poszukajcie, gdzie w Bazylei można zjeść najprawdziwszą duszoną głowiznę i *ossobuco*. Bo jeszcze to mnie łączy z Agnieszką, jej mężem Lucasem, ukochanym teściem Geraldem i jego partnerką Pam, że lubimy dobrze zjeść i popić ucztę dobrym winem. Uwielbiamy też gotować, znajdując w tym rozkosz podobną szperaniu w dawnych archiwach. Następnym razem same przyrządzimy skorzonerę z czerwoną soczewicą albo kurczaka na ostro z dynią. Być może w tej sztuce dorównam jeszcze Agnieszce.

© DOROTA KOZIŃSKA

Inne wibracje

ANITA PIOTROWSKA

„Totem" opowiada o tym, jak życie wychodzi śmierci naprzeciw, z jednej strony zatupując ją i zaklinając, a z drugiej – celebrując jej rychłe nadejście poprzez afirmację tego, co żywe.

Meksykanie słyną z tego, że inaczej niż my radzą sobie z ludzką śmiertelnością, brawurowo łącząc katolickie imaginarium i rdzenną kulturę. Film „Totem" Lili Avilés wydaje się mieć niewiele wspólnego z tamtymi rytuałami – pewnie dlatego, że rozgrywa się w środowisku artystycznej bohemy i tamtejszej mocno zeuropeizowanej klasy średniej. Jest jednak ktoś, kto doświadcza tego wszystkiego zupełnie na surowo, nieomal organicznie i właśnie takie spojrzenie przenika ów niezwykły film, intymny i hałaśliwy równocześnie.

Mała Sol (w tej roli fenomenalna Naíma Sentíes) domyśla się, że organizowane z pompą urodziny jej taty mogą być także pożegnaniem. Z nosem klauna, w tęczowej peruce, przygotowuje z tej okazji program artystyczny. W ogóle cały film wielkimi przygotowaniami stoi: w domu babci, gdzie aktualnie przebywa chory, od rana trwa wielkie sprzątanie, pieczenie ciast, szykowanie prezentów, odświętnych koafiur i kreacji. Każdy z członków tej licznej, wielopokoleniowej rodziny ma tutaj swój czas ekranowy, bo też każdy inaczej wypełnia sobą finałowe odliczanie. I Avilés potrafi fantastycznie rzeźbić w domowym chaosie. Wścibska kamera Diega Tenoria zagląda również tam, gdzie rzekomo nie wypada, na przykład do łazienki, oczywiście wiecznie zajętej. Albo do zaciemnionego pokoju z aparaturą medyczną, gdzie skrajnie wyczerpany chorobą, choć młody jeszcze Tona (Mateo García Elizondo) ukrywa się przed rodzinnym zgiełkiem.

Jedynie tam nie wolno przebywać ruchliwej i wszędobylskiej siedmiolatce. Wraz z nią zaglądamy więc w inne zakamarki domu i podglądamy jego mieszkańców, pracowników czy gości. Wśród nich jest dziadek pielęgnujący drzewko bonsai, znudzone nastolatki z nosem w ekranach, jest ciotka, która z rozpaczy się upija i przypala tort... W obliczu tego, co dzieje się tuż obok, ich hiperaktywna krzątanina musi mieć posmak absurdu. Ale skoro za obiektywem stawia się umownie wrażliwego dzieciaka, nie dziwi w „Totemie" lekkie zakrzywienie rzeczywistości. Dlatego tak zabawny jest staruszek z elektroniczną krtanią, krewna zajęta w takich chwilach ujędrnianiem swoich pośladków, oczyszczanie wnętrz z niskich wibracji i duchów czy zbiorowa „terapia kwantowa" w intencji chorego. Każdy bowiem próbuje sobie jakoś radzić z powolnym odchodzeniem Tony i w ogóle z odchodzeniem. Ten niepokój wyraża wprost jedynie Sol, zadająca pytania o koniec – dziecinne, acz wcale nie naiwne – swojemu telefonowi.

Avilés uruchamia na ekranie istny kosmos, wypełniony ludźmi, zwierzętami, rzeczami. W jednej ze scen dziewczynka przyczepia żywe ślimaki do wiszących na ścianach obrazów olejnych, jakby chciała wpuścić życie w to, co nieodwołalnie martwe. Dowiadujemy się, że wcześniej były tam płótna jej ojca – za chwilę opuszczą dom na zawsze. Uderza naturalna cielesność dziecięcego mikroświata, a zarazem zmysłowego babińca, jako że w umierającym domu roi się przede wszystkim od kobiet i to one wypełniają go swoją energią. Pracują między innymi na to, by Tona, odrzuciwszy chemioterapię, mógł zostać pięknie pożegnany przez najbliższych.

Meksykańska reżyserka dotyka tych spraw bez sentymentalizmu. Jej kino, nasycone szczegółem i atmosferą, wyzbyte jest emocjonalnych gier, co w przypadku tak ciężkiego tematu, na dodatek naznaczonego osobistymi doświadczeniami (jej córka we wczesnym dzieciństwie straciła ojca) musiało być nie lada wyczynem. Oglądamy wszakże film o dziecięcej tęsknocie, o wypatrywaniu ukochanego taty, który gaśnie powoli gdzieś za ścianą i z jakichś powodów jest izolowany od własnej córki.

Gdy wreszcie dochodzi do spotkania (najbardziej przejmujący moment filmu), ojciec dostaje w prezencie drewnianą, być może aztecką zabawkę, która pozwala odczytywać obrazy z rozsypanych nasion. Takim kalejdoskopem wydaje się sam „Totem" jako obraz polifoniczny

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE

TOTEM *(„Tótem”) – reż. Lila Avilés. Prod. Meksyk 2023. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 12 stycznia.*

Lila Avilés to reżyserka, scenarzystka i aktorka. Zasłynęła jako twórczyni filmu „La camarista” (2018), który był meksykańskim kandydatem do Oscara. Podobnie jej następny tytuł, „Totem”, nagrodzony przez Jury Ekonomiczne w Berlinie i zakwalifikowany na tzw. krótką listę oscarowych nominacji. Inspiracją dla niego stały się osobiste przeżycia reżyserki i jej siedmioletniej córki.

Powyżej: Naíma Sentíes (jako Sol) i Montserrat Marañon (jako Nuria) w filmie „Totem”, 2023.

i zmiennokształtny, poruszany czułą (także w znaczeniu: superprecyzyjną), ale przecież nie czułostkową ręką. A tam, gdzie ezoteryk szukałby niskich czy wysokich wibracji, Avilés znajduje własną częstotliwość drgań, rozpiętą między mikroobserwacjami codzienności a metafizycznymi szczelinami.

Dlatego banałem byłoby stwierdzenie, że to po prostu film o godzeniu się ze śmiercią. Jest coś ekstatycznego w tej antycypacji żałoby z udziałem ciągle żywego, wspomaganego morfiną bohatera i towarzyszących mu przyjaciół. W trakcie urodzinowego przyjęcia otrzymują maski z jego podobizną, jakby w ten sposób w każdym z nich miała przetrwać cząstka Tony. Ktoś wspomina o mezoamerykańskiej koncepcji czasu: ma charakter cykliczny, lecz zamiast powracać do tego samego punktu, pnie się spiralnie ku górze – podobnie obecny będzie Tona w życiach swoich bliskich. Przy tej okazji warto podkreślić, że „Totem” nie jest dziełem pięknoduchowskim, oderwanym od ziemi, przesadnie zmetaforyzowanym. Wręcz przeciwnie, mocno trzyma się konkretu (w jakim filmie widzieliście kubeczek menstruacyjny?), wyraźnie naśladuje estetykę dokumentalną i jednocześnie zawiera dyskretny komentarz społeczny, skupiony na klasowych i etnicznych różnicach. Jesteśmy w Meksyku, czyli kraju, który na każdym kroku przypomina poruszony kalejdoskop.

Zaczynająca swą edukację od teatru Avilés wie, jak rozegrać ograniczony czas (wszystko dzieje się w jednym dniu) i przestrzeń (nie wychodzimy poza obręb domu z przyległościami). Znać w tym jej fascynację Johnem Cassavettesem czy Lucrecią Martel, czyli kinem łączącym w sobie żywioł improwizacji i ponadprzeciętną świadomość kinowego języka, którego reżyserka uczyła się nie w szkołach, lecz na planach filmowych. Nie uświadczysz więc w „Totemie” klisz z gatunku „świat oczami dziecka” lub „życie na przekór śmierci”. A witalność, którą tak afirmuje, wyraża się najpełniej w sposobie opowiadania – w jego rozwibrowaniu, pozwalającym przeżywać wraz z bohaterami najbardziej sprzeczne emocje. I podążać za najmłodszą (prawie) spośród nich poprzez domowy labirynt, złożony z niedomówień, ekscesów i rutyny. Bo ta ostatnia również pomaga przezwyciężyć nieubłaganą linearność czasu. ©

Lektor:
Czworokąt przyjaźni

▪ *Anna i Mieczysław Porębscy, Wiesława i Tadeusz Różewiczowie*
PISANIE JEST TYLKO DODATKIEM. KORESPONDENCJA 1946-2011
Podała do druku, opracowała i wstępem opatrzyła Krystyna Czerni. Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2023, ss. 652.

Wszystko zaczęło się po wojnie w Krakowie, u Juliana Przybosia, który zaprosił do siebie młodego Tadeusza Różewicza. Z Ustronia na Śląsku Cieszyńskim przyjechała krewna Bronisławy z Kożdoniów Przybosiowej, Anna Lazar, wkrótce Porębska. Anna i Mieczysław studiowali historię sztuki i namówili do tego też poetę – energiczna Anna załatwiła nawet za niego formalności. Kiedy Różewicz poślubi Wiesławę Kozłowską, powstanie przyjacielski czworokąt – i przetrwa całą epokę Peerelu. W 1992 r. umrze Anna Porębska, ostatnie listy jej męża i Różewicza pochodzą z początku roku 2011, gdy Mieczysław obchodził 90. urodziny.

Ileż warstw ma ta książka! Najpierw (kolejność nie oznacza ważności) to portret powojennego półwiecza widzianego z boku, spoza warszawskiej perspektywy, wobec której dystansuje się zwłaszcza Różewicz, mieszkający w Gliwicach, potem we Wrocławiu. Ale i Porębski, zaangażowany krótko w socrealizm, decyduje się na przełomie lat 60. i 70. przenieść ze stolicy do Krakowa, by objąć dyrekcję Instytutu Historii Sztuki UJ, później zaś pomieszkuje głównie w ustrońskim domu Lazarów.

Warstwa druga to fascynująca rozmowa dwóch przyjaciół szczerze i wzajemnie zainteresowanych własną pracą. Niestroniących od krytyki; Różewicz nie jest zachwycony, że Porębski tyle czasu poświęca Kantorowi... To również kronika kryzysów twórczych. Porębski ubolewa, że nie zdołał przekonać świata do „swoich” artystów, jak Nowosielski czy Brzozowski. Uniwersytet też jest rozczarowaniem; aż by się chciało wtrącić: Panie Profesorze / Mieczysławie, byłeś dla nas, studentów, kimś bardzo ważnym! Różewicz sprawia chwilami wrażenie przytłoczonego międzynarodowymi sukcesami (nie bez żalu, że na przykład na scenach krakowskich jego sztuki są prawie nieobecne). I następna warstwa – to przecież także książka o miłości małżeńskiej! Anna i Wiesława rzadko zabierają głos, ale w listach swoich mężów obecne są nieustannie.

Całość wzorowo opracowana edytorsko, uzupełniona została zdjęciami, zapisem ścieżki dźwiękowej filmu Andrzeja Sapii zrealizowanego z oboma przyjaciółmi oraz rozmową z Mieczysławem Porębskim o Tadeuszu Różewiczu, jaką na 80-lecie poety przeprowadził dla „TP” niżej podpisany. ©℗

OLGA

Drenda: *Biribomba*

Lubię zauważać zaskakujące podobieństwa między Polską a, wydawałoby się, odległymi miejscami na świecie, z którymi mamy (na pozór jedynie) pobieżne czy luźne kontakty. Są np. takie miejsca, w których można się poczuć jak w dalekiej podróży, choć dowiózł nas tam jedynie tabor kolei regionalnej. Znam zakątki Rudy Śląskiej, które przypominają Kalifornię albo i Meksyk. Kiedyś Miron Białoszewski pojechał do Nowego Jorku i zaczął notować, co mu przypomina Garwolin albo Przasnysz – widocznie świat składa się z takich nieoczekiwanych przestrzennych bliźniąt.

Ale są i podobieństwa w zakresie stylu życia. Australia to np. taka bardzo daleka Polska (albo odwrotnie), jeśli weźmiemy pod uwagę zamiłowanie do grillowania i łabędzi z opon, a z Chilijczykami łączy nas czasem podobne poczucie humoru. Trudno wyjaśnić te zbieżności, bo rzadko daje się prześledzić przepływ inspiracji; to raczej rodzaj globalnej wędrówki znaków, które osiadają tam, gdzie chcą. Dlatego ostatnio z dużym zainteresowaniem obserwuję rosnące, przynajmniej w internecie, podobieństwo polskich zwyczajów językowych do filipińskich i indonezyjskich.

Od razu zaznaczam, że nie znam ani bahasa Indonesia, ani tagalskiego, za to wiem, co zdumiewa międzynarodową społeczność internetową, gdy zabłądzą w rejony, w których aktywni są mieszkańcy Archipelagu Malajskiego. „Dlaczego oni mówią w połowie po angielsku?", pytają zdumieni ludzie z innych krajów. Sama zareagowałam podobnie, kiedy przez wspólnych znajomych poznałam pewną doktorantkę z Indonezji. Te specyficzne nowe odmiany językowe – zwane jaksel (dialekt z południowej Dżakarty) i taglish (tagalsko-angielski) – nie przypominają bowiem typowych hybryd, języków kreolskich czy mieszanych. Angielskie wstawki, frazy, czasami połowy zdań pojawiają się w nich jakby losowo, znikąd, nie po to, by uzupełnić brakujące słownictwo. W przypadku tych krajów akurat dość łatwo to wytłumaczyć – mowa w końcu o regionach, w których równolegle funkcjonują setki języków wzajemnie wpływających na siebie, a do tego nauka angielskiego w szkołach jest dość powszechna. Przeciętna ludzka głowa co chwilę musi przełączać się na inny program.

Wszędzie czy nigdzie, na pewno polsko

OLGA DRENDA

Jak to się ma do Polski? Przecież my, dla odmiany, mamy zdecydowanie mniej na głowie; mówimy w większości raczej podobnym językiem, który owszem, wciąga zapożyczenia i innowacje, ale bez przesady. Pewnie każdy, kto pracował za granicą albo w międzynarodowym środowisku, kojarzy polonijny ponglish czy językowe miszmasze właściwe dla miejsca pracy: w biurze forwaruje się maile, a w barze kanapkowym slajsuje się chleb. W internecie lajkujemy i szerujemy. Takie mutacje powstają dość naturalnie i dla wygody; nawet jeśli brzmią niezgrabnie, to mają służyć praktycznemu użytkowi.

Ale tam pożyczone z angielskiego (czy innego języka) słownictwo wpasowuje się w rodzimą gramatykę, wkleja się, spolszcza. Tymczasem w nowej internetowej polszczyźnie dwa języki istnieją jakby równoprawnie, tylko co chwilę inny wyskakuje na powierzchnię. Jej patronem mógłby zostać Glennskii Meyer, pochodzący z USA wokalista zespołu Blenders, który w polsko-angielsko-kaszubskiej „Biribombie" nawijał: „Chyba każdy kto potrafi chociaż troszeczkę pisać / and as well ya'all czytać / Wcale nie będzie musiał pytać". Albo znacznie od niego młodszy raper Schafter.

Tak samo 18-latki z Warszawy, Manili i Dżakarty pewnie równie często mawiają dzisiaj „jesteś literally głupi", albo „let's agree, pizza z ananasem jest disgusting". Sądząc po ulubionych, powtarzających się fragmentach, angielski najczęściej wskakuje na miejsce przymiotników, przysłówków czy partykuł. Kilka lat temu w mowie potocznej krążyło niewybredne powiedzonko, które podsumowywało ówczesne podejście do skakania pomiędzy językami: „zawsze tak pier....sz, pół English, pół Polish?". Wygląda na to, że stopniowo traci na aktualności, bo taka mowa zwyczajnieje.

Nie mam tu oczywiście zamiaru jałowo narzekać na „tę dzisiejszą młodzież" – u nich akurat wydaje mi się to zupełnie naturalne przy takim tempie przepływu informacji i trendów (trochę mniej u moich rówieśników, ale to inna sprawa). To zjawisko, które o czymś świadczy. Może chodzi o to, że polski jest po prostu dość trudny, a może pokazuje, gdzie jest granica wyporności umysłu w przypadku przeciążenia informacją – o, właśnie tu następuje punkt automatycznego szatkowania wiedzy na sałatkę.

Nie mam tylko pojęcia, dlaczego ze wszystkich zwyczajów językowych przyjmuje się u nas ten z dalekiej Azji. Ale też świat jest pełen tego rodzaju zagadek, zaskoczeń, niespodziewanych Polsk. Niedawno oglądałam horror produkcji indonezyjskiej, który rozgrywał się w nawiedzonym bloku. Blok wydał mi się dziwnie znajomy, może widziałam podobny w Katowicach, a może w Szczecinie? Polska jest trochę wszędzie.©

PAWEŁ

Bravo:
Właściwy moment

Sto osiemdziesiąt stopni – ten parametr często pojawia się u dołu tej strony, kiedy kończy się sucha pogadanka i przechodzimy do konkretów. Najpierw zamęczam was niczym gadatliwy gospodarz przedłużający aperitif w salonie: wygłodniali goście stoją uprzejmie z wygazowanym i ciepłym szampanem w kieliszkach, a ten ględzi i ględzi, zachwycony swą rolą niczym marszałek Hołownia. Ale nawet największy narcyz nie panuje nad żołądkiem, zacny ten organ serią mocnych skurczów przerywa wreszcie perory i ratuje zebranych, wszyscy mogą w końcu zasiąść do stołu. Tam zaś już dawno wystygło i zmatowiało pieczyste, jeszcze przed chwilą pykająca banieczkami wrzącego beszamelu lazania zdążyła się okryć gumowatą skorupą, suflet przybrał nieodwracalnie postać beretu.

Tylko zupa, ta najcierpliwsza z potraw, mogłaby wrócić naprędce do garnka, by odzyskać należną ciepłotę, resztą dań rządzi nieubłagane prawo właściwego momentu sformułowane już siedem wieków przed Chrystusem przez jednego z tzw. siedmiu mędrców greckich – Pittakosa z Mityleny. Nie jestem pewien, czy wypowiadając wiekopomne *kairon gnothi* miał na pewno na myśli idealny czas na wyjęcie z pieca placka z kozim serem. W pierwszym numerze noworocznym „Tygodnik" rozmawiał ze starożytnikiem sugerującym, że nawet tu, w Polsce, jest Grecja – niestety, nie zdążymy już dopytać o ten szczegół.

Nawet gdyby profesor wyśmiał moje przypuszczenie, pozostanie niezmiennym jak jednia Parmenidesa faktem, że pieczenie – a dobrze wiecie, że ten rodzaj obróbki cieszy się w niniejszej rubryczce szczególnymi względami – daje efekty o ulotnej optymalności, mówiąc zaś po ludzku: interwały między „niedopieczone", „w punkt" i „zeschłe" bywają frustrująco krótkie. W porównaniu z Grekami mamy o niebo skuteczniejsze narzędzia do określania upływu czasu. Do tego stopnia, że właściwie przestaliśmy jego pomiar traktować jako coś godnego naszej uwagi. Nastawia się podaną w przepisie liczbę minut na wyświetlaczu piekarnika albo na telefonie (lub obrotowym minutniku w kształcie kurczaczka, o ile ktoś gustuje w gotowaniu duchologicznym) i problem, wydawałoby się, znika.

Ale właściwy moment, o czym na pewno wiedziała żona Pittakosa, zależy od temperatury, oba parametry łączy nierozerwalna relacja. Stąd te nieszczęsne sto osiemdziesiąt stopni, o których czytacie w większości przepisów. Liczba ta jest *de facto* tylko emblematem „średnio gorącego pieca" właściwego dla większości przepisów, stąd jej częste występowanie. Ale żaden normalny piekarnik nie utrzymuje tej samej temperatury co do stopnia w całej swojej przestrzeni, poza tym termostat przecież działa tak, że kiedy mu się ustawi „180", to moduluje temperaturę w przedziale mniej więcej 175-185.

Spójrzcie, co robi *pizzaiolo*, kiedy już roznieci porządnie ogień: rzuca na kamienne dno pieca garść mąki i po tym, jak się ona zwęgli, ustala, czy w środku jest dość „gorąco". Są rozmaite podobne sposoby, które musiały wystarczyć, dopóki piekło się w komorach pieców o najróżniejszym kształcie zasilanych ciepłem palonego drewna lub węgla. Dopiero XX-wieczna nowoczesność przyniosła gazowe kuchenki sterowane pokrętłem. A jak już ma się pokrętło czy inny wihajster dający poczucie panowania nad światem, to trzeba je jakoś wyskalować. Z początku konstruktorzy podawali rozsądnie trzy istotne wartości: „niską" – co się na nasze przekłada na ok. 150 stopni, dobrą do delikatnych wypieków, biszkoptów i wolno dochodzących białych mięs, średnią (180) i wysoką (powyżej 220), przydatną do pieczenia ciast o wysokiej wilgotności, w tym chleba. Potem nadeszła skala dziesiętna (popularna do dziś np. w Wielkiej Brytanii), no i powszechna u nas podziałka o skoku dziesięciu stopni Celsjusza.

PIXEL-SHOT / SHUTTERSTOCK

Nie ma chyba w naszej codzienności łatwiejszych do znalezienia przejawów tej obsesji kontroli i grania na lęku, że nie jesteśmy w stanie zapanować nad życiem. W imię tej obsesji dajemy sobie wciskać niejeden durny gadżet, oszukańcze leki, a przede wszystkim mnóstwo politycznych bubli. W kuchni, jak się rzekło, wystarczy skala o trzech intuicyjnych progach ciepła oraz przede wszystkim uważne pilnowanie potrawy, by złapać jej właściwy moment, a nie tylko czekanie, aż piekarnik zapika. To dobra maksyma także poza kuchnią, gdzie coraz częściej jesteśmy jako te wolno pieczone barany. ©℗

Zdarzyło mi się raz zamieszkać na pół roku w domu, który miał same zalety i jedną straszną wadę: nieczynny piekarnik. A ja np. ziemniaków prawie innych nie jadam, jak tylko pieczone. Co wtedy robiłem? Jest sposób, o ile ziemniaki są w miarę niestare (w styczniu już raczej nie). Małe ziemniaki myjemy i kroimy wzdłuż na połówki, solimy. Na dużej patelni (tak, by ziemniaki zmieściły się w jednej warstwie) podsmażamy je na cienkiej warstwie oleju, często mieszając przez kilka minut, aż skórka zacznie się wyraźnie złocić. Zalewamy je gorącą wodą tak, by prawie je przykryć, zmniejszamy ogień i gotujemy pod lekko uchyloną pokrywką ok. pół godziny, do miękkości. Odkrywamy, odparowujemy wodę, jeśli została, dodajemy parę łyżek masła (ewentualnie z rozgniecionym czosnkiem) i dusimy na małym ogniu ze dwie minuty.

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

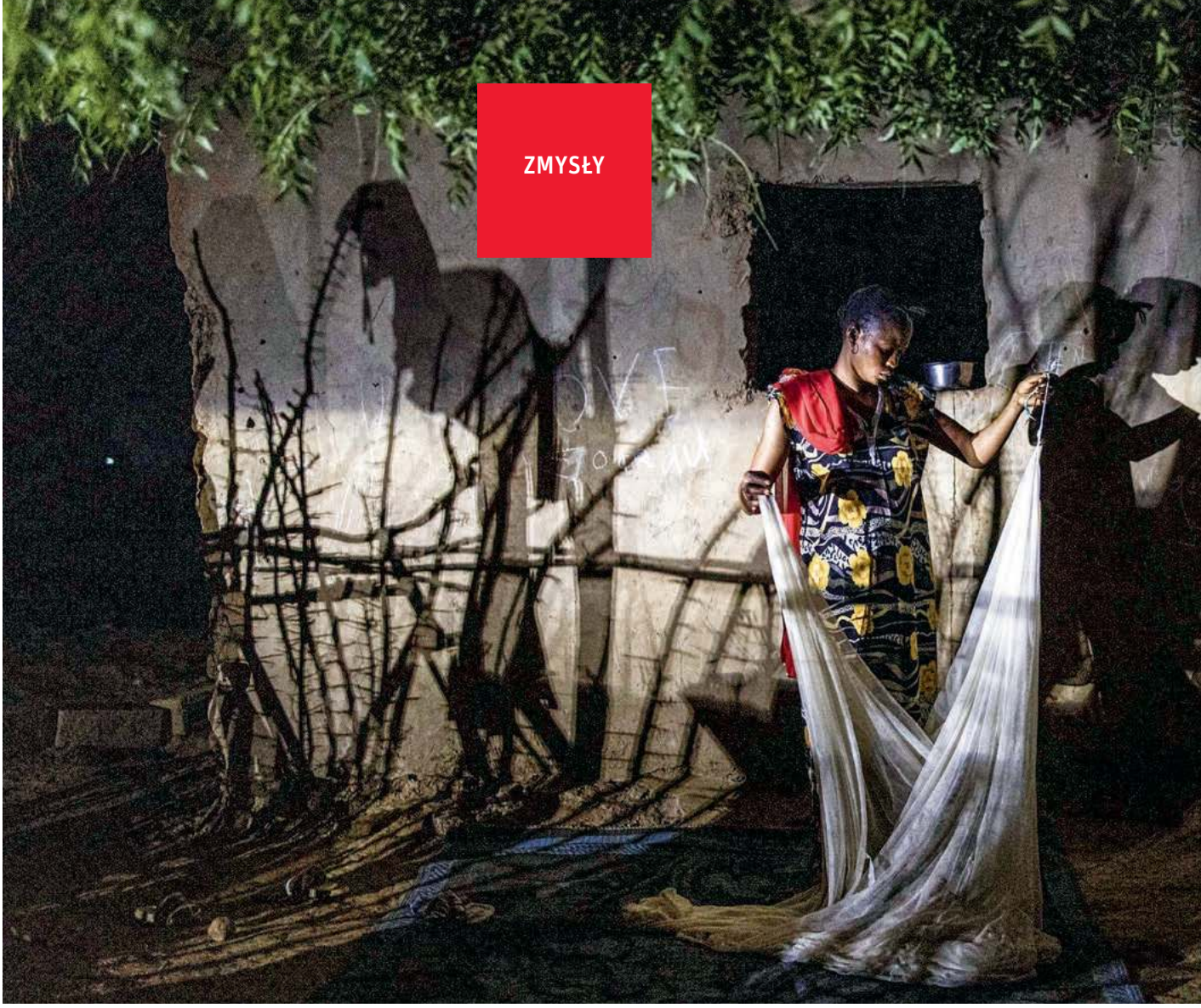

CO SIĘ CZAI POD ŁÓŻKIEM

Czy jest powód, dla którego noc jest domeną potworów? I skąd to nieprzyjemne uczucie, gdy wracamy do domu po zmroku? Rzućmy na to trochę światła.

PIOTR SZYMANEK

Każdego dnia na kilka lub kilkanaście godzin świat nakrywa się woalem nocy. Jej przybycie oznacza zanik światła, spadek temperatury i koniec dziennej zmiany wielu zwierząt, w tym ludzi: nasz mózg zaczyna produkować melatoninę, która z wolna posyła nas w objęcia Morfeusza. Nim zaśniemy, nasze powiększone źrenice będą starały się wciąż przeniknąć ciemności. Pozostaniemy jednak w dużej mierze zdani na nasze przewidywania. A jak lepiej obronić się przed nieznanym, niż przeceniając zagrożenie?

Być może właśnie dlatego noc obrosła warstwą mrożących krew w żyłach opowieści oraz – zdawałoby się intuicyjnych – przekonań. Nocą z ukrycia wychodzą duchy i wampiry, a czarownice zbierają się na sabat. Nocą można napotkać ośmielone nieobecnością człowieka drapieżniki, kojarzymy ją też z podwyższoną przestępczością. Lęk bywa niekiedy spotęgowany przez obecność księżyca w pełni, który ma rzekomo moc wywoływania w człowieku bezsenności, agresji, brutalności, a nawet szaleństwa.

Zmierzmy się z nocnymi strachami uzbrojeni w metody naukowe i zastanówmy, czy noc faktycznie wydobywa z ludzi i z otaczającego nas świata wszystko, co najgorsze.

JOHN WESSELS / AFP / EAST NEWS

Przygotowywanie moskitier przed nocą, Matam, Senegal, maj 2023 r.

Noc, a nocą, gdy nie śpię

Na pewno znacie to nieprzyjemne uczucie, gdy wracamy do domu po zmroku. W ciemnej ulicy łatwo wyobrazić sobie, że gdy zagrozi nam ktoś obcy, nie będzie w pobliżu nikogo, kto mógłby nam pomóc. Samotny powrót z imprezy wydaje się bardziej ryzykowny niż spacer w świetle dnia. Czy słusznie?

Przyjrzyjmy się najpierw obawom przed przestępczością. Począwszy od 1956 r. w cyklicznych ankietach pytano Amerykanów o to, czy w odległości jednej mili od ich domu znajduje się miejsce, gdzie baliby się chodzić samotnie nocą. W kolejnych latach od 30 do 48 proc. respondentów odpowiadało twierdząco. Obawa taka nie występuje równie często u obu płci – dotyczy 8-9 proc. mężczyzn i ok. 40 proc. kobiet (niektóre źródła podają ponad 60 proc.!).

Liczby te jednak nie są jednoznaczne, bo i pytanie jest ogólne. Czy Amerykanie unikający wychodzenia po zmroku boją się przestępców, czy może dzikich zwierząt lub potworów? W końcu do bycia świadkiem obecności ducha i UFO przyznaje się, odpowiednio, co piąty i co dziesiąty z nich. Amerykańscy mężczyźni śmielej udają się na nocne przechadzki, bo może sądzą, że obronią się przed napastnikiem? W końcu aż 6 proc. z nich uważa, że pokonałoby gołymi rękami niedźwiedzia grizzly czy goryla.

Nasze obawy przed napaścią po zmroku traktuje się często jako oczywistość. I zamiast zbadać, czego konkretnie dotyczą – przestępców, ciemności czy może zgubienia drogi – niektórzy naukowcy przeskakują wprost do wyjaśnienia zjawiska, na przykład przy pomocy psychologii ewolucyjnej. Mamy tu więc klasyczną opowieść o doborze naturalnym, który wyposażył nasz gatunek nie tylko w atuty cielesne, ale i pewne predyspozycje psychologiczne. A że ci z naszych przodków, którzy nocy się nie bali, częściej padali ofiarą kryjących się w ciemnościach drapieżników i obcych, to ostatecznie w populacji pozostali głównie ludzie, dla których światło księżyca to znak, by zamknąć dom na klucz.

Najciemniej pod latarnią

Możemy jednak zrobić krok wstecz i zastanowić się, czy strach przed nocną przechadzką związany jest z samą porą dnia, czy może po prostu – jak śpiewa Iron Maiden – z ciemnością. Odpowiedzi szukali naukowcy z Chongqing w Chinach. Poprosili uczestników badania o rozpoznawanie wzrokowych i słuchowych bodźców, które nie pasują do zaprezentowanej reszty. Bodźce te podzielone były na neutralne oraz wywołujące niepokój lub strach (np. zdjęcie pająka, krzyk). Korzystając z dobrze znanego w psychologii efektu torowania, autorzy badania sprawdzili, czy pora dnia (dzień lub noc) oraz niezależnie kontrolowane przez nich oświetlenie laboratorium sprawią, że badani będą szybciej odpowiadać na „straszne" bodźce. Jak się okazało, tak właśnie jest: nocą, nawet gdy przebywamy w sztucznie oświetlonym pomieszczeniu, nasz umysł wykazuje krótsze czasy reakcji na awersyjne bodźce, jak gdyby był na nie przygotowany. Niezależnie od tego, że ciemność może być straszna sama w sobie, to już wybicie wieczornej godziny na naszym biologicznym zegarze dobowym wystarczy, byśmy mieli się na baczności.

Ale właśnie: co z tą ciemnością? Natężenie światła w naszym otoczeniu także ma znaczenie. Badanie Dongpila Sona i współpracowników przeprowadzone w wirtualnej rzeczywistości pokazało, że zwiększenie iluminacji ulicznej w istotnym stopniu redukowało strach przed przestępczością. Efekt ten działa również poza laboratorium: zgodnie z analizą Kate Painter z Uniwersytetu Cambridge poprawa oświetlenia na ulicach Londynu zmniejszyła poczucie zagrożenia przestępczością u mieszkańców. Związek ten, w połączeniu z efektem samej nocy, może wskazywać, że nasz naturalny program strachu reaguje zarówno na nasz wewnętrzny zegar, jak i na brak oświetlenia.

Pomówmy wreszcie o danych dotyczących samych przestępstw za dnia i w nocy. Zapytałem znajomą kryminolożkę, dlaczego większość poważnych naruszeń prawa ma miejsce pod osłoną ciemności. Usłyszałem, że to nie do końca tak, choć faktycznie noc sprzyja pewnym formom przestępczości, bo zapewnia warunki niezbędne do ich popełnienia. Chodzi o anonimowość, mniejszą liczbę potencjalnych świadków, większą – potencjalnych ofiar pozostających pod wpływem alkoholu lub zwyczajnie zaspanych i nieuważnych, a także pogorszoną percepcję właścicieli dobytku.

Nie wszystkie jednak występki potrzebują powyższych czynników. Dlatego w oficjalnych statystykach prowadzonych przez firmę Vivint (dane z 13 metropolii obejmujące 1,3 miliona ↦

↦ przestępstw) nie znajdziemy potwierdzenia hipotezy o związku nocy z aktywnością kryminalną. Co do zasady większość przestępstw w wielkich miastach USA ma miejsce między czwartą a siódmą po południu. Jednak rzut oka na godziny występowania poszczególnych czynów zabronionych pokazuje, że przestępstwa takie jak podpalenie, oszustwa, pobicia, molestowanie i napaść seksualna oraz kradzież należą do domeny nocy (najczęściej: od północy do trzeciej nad ranem). Pokrywa się to z pojawiającą się w literaturze informacją o zwiększonej częstotliwości nocnej wyłącznie brutalnych przestępstw.

A co ze światłem, które wydaje się koić nasze skołatane nocą nerwy? Jak pokazało badanie Patricia Domíngueza i Kenza Asahiego, sztuczne przedłużenie dnia poprzez zmianę czasu na zimowy może zmniejszyć liczbę kradzieży i rozbojów odpowiednio o 20 i 30 proc.! W Chinach oświetlenie uliczne pomogło zwiększyć liczbę aresztowań. Niektóre badania wskazują jednak, że zwiększenie oświetlenia – np. z powodu pełni księżyca – może podwyższyć odsetek przestępstw, zwłaszcza tych wymagających sprawnej oceny sytuacji, wartości przedmiotów i możliwości fizycznych celu ataku. Pełnia może też zachęcać potencjalne ofiary do oddalenia się od domu. Zresztą – jak twierdzą niektórzy – widok księżyca w całej jego okazałości skłania nas do całego wachlarza dziwnych zachowań...

Pełnia nieszczęścia

„Wina księżyca, który bliżej ziemi (...). Nic też dziwnego, że ludzie szaleją" – pisał Szekspir („Otello", tłum. Leon Ulrich), wyrażając popularne do dziś przekonanie, że fazy naszego satelity wpływają na człowieka i mogą doprowadzić go nawet do obłędu. Współcześnie rozpowszechnienie tej idei można przypisać z jednej strony astrologii, z drugiej – Arnoldowi Lieberowi, amerykańskiemu psychiatrze, który w latach 90. przedstawił w swojej książce „How the Moon Affects You" tezy dotyczące tzw. biologicznego przypływu. Zdaniem Liebera, okrążając naszą ziemię, Księżyc oddziałuje nie tylko na pływy morskie i magnetyzm, ale również na wszystkie zwierzęta – w tym ludzi. Wpływ ten ma dramatycznie zwiększać statystyki morderstw, samobójstw, napaści, nagłych stanów psychiatrycznych i wypadków w trakcie pełni.

Ten domniemany efekt nazwano „efektem pełni" lub – nieco bardziej dramatycznie – „efektem transylwańskim", choć każdy fan „Van Helsinga" dobrze wie, że pełnia księżyca wzbudza skojarzenia związane z wilkołakami, a nie z zamieszkującymi Siedmiogród wampirami. Do pierwszych badaczek tego tematu należały Jodi Tasso oraz Elizabeth Miller. W 1976 r. opublikowały na łamach „Journal of Psychology: Interdisciplinary and Applied" wyniki analizy 34 tys. różnych przestępstw popełnionych w ciągu roku na terenie jednej z wielkich metropolii. Sprawdzały, na ile okres pełni wyróżnia się na tle pozostałych trzech kwadr, jeśli chodzi o statystyki poszczególnych przestępstw. Dane wskazywały jednoznacznie, że wszystkie rodzaje przestępstw z wyjątkiem morderstwa popełniane są częściej w pełnym świetle naszego satelity. Niepokojące!

Na fali księżycowego szaleństwa kolejni badacze zaczęli doszukiwać się wpływu pełni na najróżniejsze zachowania ludzi i zwierząt. Stwierdzono np., że osadzeni w zakładach karnych zachowują się wtedy bardziej agresywnie. To samo miało dotyczyć osób z poważnymi zaburzeniami rozwoju psychomotorycznego. Niektóre badania z lat 90. podawały też, że pełnia księżyca oznacza większą liczbę przyjęć na oddziałach ratunkowych, szczególnie z powodu prób samobójczych i ryzykownych zachowań. Badacze chętnie odwoływali się do językowego skojarzenia szaleństwa z księżycem – wszak angielskie słowo *lunacy* (obłęd) pochodzi wprost od łacińskiego *luna*, czyli księżyca (w języku polskim słowo „lunatykowanie" funkcjonuje natomiast jako synonim „somnambulizmu" i jakże wdzięcznego „sennowłóctwa").

Dwaj japońscy badacze zaproponowali na łamach „Bioscience Hypotheses" wyjaśnienie efektu transylwańskiego: pełnia wpływa na ludzi i zwierzęta poprzez subtelne zmiany odczuwanego magnetyzmu ziemi. Zgodnie z tą – nieco szaloną – hipotezą nasilenie światła księżycowego zaburza tak zwaną magnetorecepcję, czyli zdolność organizmów żywych do wykrywania pola magnetycznego. Tsutomu Nishimura i Masanori Fukushima powołują się na badania wskazujące, że m.in. ptaki, pszczoły i wieloryby dostosowują swoje zachowanie do geomagnetyzmu. Zdaniem badaczy ludzie też wykazują podobne predyspozycje – na skutek oscylacji magnetycznych globu ziemskiego zmieniają się np. wyniki badań elektroencefalograficznych.

Do podobnych idei trzeba podchodzić ostrożnie. Prawdziwa czy nie, hipoteza Japończyków może jednak... nie mieć czego wyjaśniać. Począwszy od lat dwutysięcznych badacze z całego świata poddali bowiem efekt transylwański kolejnym analizom, z których wynika, że większość zaobserwowanych zależności nie istnieje. Zacznijmy od przestępstw: znaleziony we wcześniejszych badaniach wpływ pełni na ich częstotliwość można wyjaśnić – jak już wspomnieliśmy – zwiększonym natężeniem światła, które pomaga sprawcy rozeznać się w sytuacji. A co z agresywnym zachowaniem zwierząt? W czasie pełni nie obserwuje się wyższej liczby przyjęć szpitalnych z powodu ugryzień. A wpływ księżyca na zaburzenia psychiczne i ryzykowne zachowania ludzi? Można to ująć w ten sposób: wiedza o tym, że danej nocy będzie pełnia, nie poprawia naszych przewidywań dotyczących nagłych stanów psychiatrycznych ani kryzysów psychicznych o więcej niż 1 proc. Co się zaś tyczy agresji u pacjentów szpitalnych, analiza ponad 180 tys. przypadków na izbie przyjęć przeprowadzona przez Timothy'ego Yeunga i współpracowników wskazała, że pełnia księżyca nie zwiększa istotnie liczby napaści na personel szpitalnego oddziału ratunkowego.

Czy więc efekt transylwański to jedna wielka pomyłka? Nie do końca. Istnieje bowiem jedna stabilna zależność, którą potwierdziło kilka niezależnych badań. Chodzi mianowicie o wpływ pełni na sen. W trakcie tej fazy księżyca, być może ze względu na natężenie oświetlenia, śpimy krócej (z jednego z badań wynika, że średnio o 20 minut), a nasz sen jest płytszy.

Sprawa zostanie pewnie jeszcze poddana bardziej wnikliwym testom, ale aktualnie hipotezy wpływu pełni na agresję, przestępczość czy zaburzenia psychiczne nie mają wystarczającego potwierdzenia. Nie ma też więc co dywagować o magnetorecepcji; zamiast tego warto rozważyć znacznie prostsze twierdzenie, mówiące, że mit o efekcie transylwańskim może wynikać po prostu... z niewyspania. Ostatecznie, czyż niedostatek snu nie zmienia wielu z nas w łaknącego kawy potwora?

Nocne straszydła

A skoro o potworach mowa: noc ma także komponent irracjonalny. W ciemności czai się nie tylko przestępca – także duch, wilkołak czy inne straszydło.

Gdy mowa o dorosłych, nyktofobia – czyli lęk przed ciemnością – nie znajduje się na czele listy najpopularniejszych przypadłości lękowych, ale jak podają Joshua Levos i Tammy Zacchilli z Uniwersytetu Saint Leo, wśród 120 przebadanych przez nich studentów ponad 50 proc. wymieniło strach przed ciemnością w pierwszej piątce największych obaw. Sprawa ma się oczywiście inaczej w przypadku dzieci, dla których ten lęk to codzienność. Około 70 proc. wszystkich dzieci przeżywa tzw. lęk przed nocą (ang. *nighttime fears*; nie mylić z „lękami nocnymi"!), który – choć uważany za normę rozwojową – odbiera im cenne godziny snu i może prowadzić do chronicznego niepokoju. Ten zaś jest już wskazaniem do konsultacji psychiatrycznej.

Czego boją się dzieci? Wywiady przeprowadzone z rodzicami i ich latoroślami pokazują, że lęk przed nocą to przede wszystkim strach przed potworami, pająkami i ludźmi (np. złodziejem lub porywaczem), obawa o ojca i matkę (w szczególności o zagrożenie ich życia), a także antycypacja koszmarów oraz burzy z piorunami. Co do zasady im starsze dziecko, tym konkretniejsze stają się obawy: potwora zastępują włamywacze, a lęk coraz częściej dotyczy przyszłości, problemów społecznych i potencjalnych katastrof. Na wszystkie te niepokoje dzieci reagują bezsennością i wstawaniem w nocy „do rodziców".

Trudno znaleźć jedną główną przyczynę lęku przed nocą. Jeśli chodzi o tzw. wyjaśnienia „bliższe" (dotyczące uwarunkowań danego zjawiska z „tu i teraz"), dzieci przeżywają lęk przed nocą m.in. w reakcji na stresujące sytuacje (np. rozwód lub kłótnie rodzinne) lub zaobserwowawszy lęk u innych, np. rodziców lub rodzeństwa. Bliscy malucha mają zresztą bardzo silny wpływ na to, czy lęk przed nocą będzie się powtarzać. Starsze rodzeństwo może w ramach dowcipu „podkręcać" obawy brata lub siostry, opowiadając straszne historie, a sami rodzice próbują nieraz załagodzić lęk, śpiąc z dzieckiem w jednym łóżku – praktyka ta doraźnie je uspokaja, ale zdaniem wielu badaczy w dłuższej perspektywie sprzyja pogłębieniu problemu.

Istnieją również „ostateczne" przyczyny lęków nocnych, czyli czynniki leżące głęboko w naszej ludzkiej naturze. Powiedzieliśmy już o hipotetycznym mechanizmie ewolucyjnym, który skłania nas do strachu przed ciemnością. W przypadku dzieci lęk z pewnością powstrzymywał przed oddalaniem się od grupy i tym samym zwiększał ich szansę na przeżycie. Czy jednak ten „moduł strachu", jeśli naprawdę istnieje, działa jednakowo u wszystkich dzieci?

CHARLIE RIEDEL / AP / EAST NEWS

„Wina księżyca, który bliżej ziemi (...). Nic też dziwnego, że ludzie szaleją"

– pisał Szekspir, wyrażając popularne do dziś przekonanie, że fazy naszego satelity wpływają na człowieka i mogą doprowadzić go nawet do obłędu.

Psycholodzy Richard Coss i Shelley Blozis z Uniwersytetu Kalifornijskiego doszli do wniosku, że w naszej ewolucyjnej przeszłości istniał moment, w którym z powodu silnego dymorfizmu płciowego samce i samice australopiteka zajmowały osobne miejsca do snu. Podczas gdy lekkie i drobne samice mogły pozwolić sobie na sen na drzewie, ciężkie i potężniejsze samce odpoczywały na ziemi. Jeśli tak rzeczywiście było – pomyśleli kalifornijscy badacze – a lęk przed nocą jest reliktem tamtych niebezpiecznych czasów, to współcześni mężczyźni i kobiety powinni doświadczać dziecięcego strachu w inny sposób. Mówiąc dokładniej: chłopcy powinni obawiać się raczej zagrożeń znajdujących się gdzieś obok nich (na przykład w szafie), a dziewczynki tego, co znajduje się pod nimi (np. pod łóżkiem). Niebezpieczeństwa czyhały wszak na australopiteka z różnych stron, w zależności od tego, jakiej był płci!

Brzmi niebywale? Coss i Blozis przepytali ponad 500 osób – po części dzieci, po części dorosłych – o ich doświadczenia (lub wspomnienia) związane z lękiem przed nocą. Jak się okazało, chłopcy i mężczyźni częściej deklarowali, że ich lęk dotyczył czegoś, co czyha na nich „od boku", niż czegoś, co znajduje się „pod" lub „nad" nimi; u kobiet i dziewczynek jednak nie zaobserwowano analogicznej różnicy. Autorzy zaprosili do swoich wywiadów kolejne 500 dorosłych osób. Tym razem jednak postawili na próbę zdywersyfikowaną pod kątem kultury; ochotnicy pochodzili z Wietnamu lub byli żyjącymi na terenie USA Chińczykami. Analiza statystyczna wykazała, że kobiety częściej obawiały się w nocy straszydeł znajdujących się *pod* łóżkiem. Warto przy tym zauważyć, że Wietnamczycy – którzy częściej niż Chińczycy śpią na wysokich łóżkach – w dzieciństwie bardziej obawiali się potwora „na dole". Być może częściowym lekarstwem na lęki nocne jest więc rozkręcenie łóżka i zostawienie na podłodze samego materaca, tak by maluch nie obawiał się czyhających na niego od dołu potworów – przynajmniej tych, które nie zmieniają się na żądanie w cieniutki naleśnik.

Potrzeba więcej badań, by poddać hipotezę Cossa i Blozis bardziej wymagającym testom. Tak czy inaczej, z przejrzanej przez nas literatury wynika, że noc i to, co z nią związane – ciemność, księżyc i strach przed nieznanym – pozostaje inspiracją dla wielu badań, ale i dla wielu mitów. I choć daleko jeszcze do ostatecznego rozstrzygnięcia w sprawie wszystkich wziętych tu na warsztat hipotez, wiemy jedno: czasem naprawdę najlepszym, co możemy zrobić po zmroku, to przytulić pluszowego misia i zapaść w błogie objęcia snu.

© PIOTR SZYMANEK

STANISŁAW

Mancewicz:
Ich noga

Moja noga tam już nie postanie – powiadają chórem, razem i osobno zamożni funkcjonariusze polskiej prawicy. Gdzie ich noga nie postanie? W popularnym sklepie meblowym.

Spośród wielu wydarzeń ostatnich dni, które – nie kryjmy tego – napawać winny nas wszystkich głębokim smutkiem, to akurat wydaje się dość pocieszne. Ogólnie rzecz biorąc, gdzie nie spojrzeć, tam polska prawica jest szalenie pocieszna. Ilekroć jednak uznajemy, że osiągnęła w tej kwestii maksimum, tylekroć okazuje się, żeśmy byli naiwni. Po prostu zdolność do zdobywania nowych szczytów pocieszności jest w tym środowisku absolutnie fantastyczna.

Zorientowaliśmy się właśnie, że prawica polska posiada dwie osobliwe zdolności – zdobywanie nowych szczytów pocieszności z jednej strony, a z drugiej, gdy już wydaje się, że osiągnęła w jakiejś sprawie dno, okazuje się, że nie, że to dopiero parter. Żarty z mordowania, gazowania, z uwięzienia, z tatuowania numerów milionom ludzi wydają nam się takim dnem właśnie, pozornie, bo musimy być i jesteśmy bardzo ostrożni w formułowaniu brawurowych wniosków. Lokalizacja dna na naszej prawicy to temat zawsze otwarty i nic tej otwartości nie ograniczy, bo prawicową windą da się zawsze zjechać niżej. Jeszcze niżej. Jest to paradoks, ale i specyfika architektury świata tego. Tak być najpewniej musi, a wynika to bezwzględnie z zasad ewolucji, czyli nieuchronności zmian zachodzących w czasie. Od tego nie ma odwrotu. Prawica polska odbywa podróż w jedną stronę, jeśli idzie o poziom umysłowy i wszelkie jej kreacje, w tym smakowe i zapachowe, takoż zmierzają ku jedności. Oczywiście powiada się, że o gustach się nie dyskutuje, uważamy jednak, że jest to założenie niemądre, zwłaszcza gdy ktoś każe nam coś smakować bądź – nie daj Boże – wąchać.

Czy mamy jeszcze zamiar wrócić i rozwinąć problematykę nogi, która nie postanie? Niestety nie. Temat uważamy za wyczerpany. Jest to wydarzenie, wziąwszy wszystkie enuncjacje towarzyszące tej akcji, które każdemu cywilizowanemu człowiekowi prawicy – wierzymy, że gdzieś się taki uchował – powinny dać do tzw. myślenia. Nam dało tyle, że chcemy się podzielić taką oto myślą skrzydlatą: doświadczenie popularnego sklepu w produkowaniu mebli do samodzielnego montażu to pikuś w porównaniu z doświadczeniem w demontowaniu państwa i burzeniu porządku publicznego przez polską prawicę, czego doświadczamy w ostatnich tygodniach w nasileniu szokującym.

Przejdziemy teraz płynnie do wydarzenia poniekąd śmiesznego. Poniekąd, bowiem złapaliśmy się na nowym uczuciu. Oto doszliśmy do wniosku, że ocenianie zachowań czy wypowiedzi b. Gospodarza jako śmiesznych wydaje się nam coraz częściej i coraz mniej stosowne. Tak czy owak, chodzi nam dziś tylko o jedno, jakże charakterystyczne dlań sformułowanie. Dla przypomnienia: wedle J. Kaczyńskiego dziennikarze, którzy zadają mu pytania inne, niż lubi, „mają za to płacone". A gdy już wyrzekł te słowa, wzburzony – jak wszyscy widzieli – wyszedł. Powiada się o tak postępujących ludziach, że nie panują nad swoim gniewem. I nie jest to ani przesada, ani mniemanie, ani złośliwość. Tak jest i każdy, nawet pobieżnie oglądający sceny polskiego życia politycznego, przyzna nam rację. Jarosław Kaczyński nie panuje nad gniewem ani małym, ani dużym. Nie ulega żadnej wątpliwości, że człowiek mający problemy z opanowaniem gniewu, nie jest dobrym materiałem ani na zwykłego męża, ani na męża stanu. Howgh!

Czy chcemy coś jeszcze mądrego dodać? Żeby nie kończyć smutno, choć wokół jest smutno? Wypada rozwinąć gniewne słowa b. Gospodarza i rzec krótko, bez gniewu, ale twardo: wszyscy jego koledzy, podwładni i podręczni, mają solidnie nadpłacone. Dużo za dużo. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

NIE DO WIARY

Podwójne wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

Szukaj w miejscach z dobrą prasą lub zamów na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

WSPÓŁWYDAWCA:

Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków

Sopot

ERGO HESTIA

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00